II/1339/2K

ac 1177 z 12.04.1994

J A Z L O W I E C

p o d

o k u p a c j a s o w i e c k a,
n i e m i e c k a i u k r a i n s k a

1 9 3 9 - 1 9 4 5

Opracowal

Stanislaw J. Kowalski

5531 W. Oakton Street

Morton Grove, Il. 60053

II konkurs

ARCHIWUM WSCHODNIE

ARCHIWUM WSCHODNIE

II/1339/2 Kw

J A Z L O W I E C

K r o t k i z a r y s h i s t o r y c z n y

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Jazłowiec, zapomniane miasto polskich Kresów

"Wielkie historyczne miasto", tak pisali starzy kronikarze. "Mała nędzna mieścina", tak powiadali podróżni i wycieczkowicze po I-szej Wojnie Światowej.

Dla mnie rodzinne miasto, Jazłowiec, było zawsze piękne, a kiedy poznałem jego długą i wspaniałą przeszłość, ono w moich oczach nabrało mitu wielkości i uroku pyłem przyprószonej historii. Jego wielkość i wspaniałość widziałem w ruinach starożytnych budowli, w gruzach i zgliszczach wojennego zniszczenia, oraz w archeologicznych odkryciach, jakie od czasu do czasu ziemia odsłaniała przed nami.

Szkielet przedhistorycznego mamuta przemawiał do mnie widokiem przedlodowcowego krajobrazu, kamienne ostrza strzał dawały mi znać o kulturze zakrzewskiego łowcy, groby skrzynkowe w pobliskim Rusiłowie świadczyły o podkarpackiej kulturze, a artefakty z epoki brązu mówiły o wczesnym istnieniu człowieka w cichej i spokojnej kotlinie mego dzieciństwa. Wokół tego powstały liczne legendy w lokalnym folklorze. Od stanicy na słynnym szlaku bursztynowym do obciętej brody ormiańskiego biskupa i tragicznej śmierci ostatniego z potomków Jazłowieckich w bezdennej studni zamkowej.

Cokolwiek czarna i żyzna ziemia podolska oraz stara legenda raczyła odsłonić przed naszym okiem jest tylko cząstką tego, co się jeszcze kryje w jej łonie i co przeszłość zachowała w formie starych ruin.

Codziennie widziałem przed sobą masywne mury zamku, które niczym posąg, przypominały o potędze naszego kraju, o bohaterskich przodkach, o myśli przewodniej Jagiellonów i o historii rodzinnej ziemi. Wtedy cofając się myślą wstecz rzucałem im pytanie: *"Kto wzniósł na tej górze pierwsze drewniane grodzisko i kto dał podwaliny pod tę kamienną budowlę o murach szerokich jak droga?" Czy był nim antyjski książę Jaz o dulebiańskim przydomku Łowiec? Czy mityczna osoba Jana Łowca? Czy w końcu ormiańscy pasterze nazwali zieloną i żyzną dolinę Jasłem Owiec?*

Czasem w ruinach zamku pojawiało się życie - życie inne i niecodzienne. W bieli porannej mgły nad strumykiem ich mury rosły wyżej i wyżej, ich baszty strzelały aż po niebo, w okiennych strzelnicach ukazywały się straże, a z bramy wyjeżdżały w pole oddziały konnicy.

Na ich czele w asyście świty jedzie wódz na białym rumaku. Kim mógł być ten człowiek z mieczem przy boku i w zbroi lśniącej srebrem do słońca? To nikt inny tylko sam Jerzy Jazłowiecki, wielki hetman koronny, wojewoda podolski, pogromca Tatarów i mądry mąż stanu, którego królowie nie jeden raz słali w posły do tureckiego sułtana. Widocznie znów się wybiera na dzikiego Asłana, któremu jeszcze za młodości wieczną zemstę zaprzysięgł. Tym razem chan tatarski nie ważył się tknąć polskiej ziemi, ale daleka Moskwa uległa jego przemocy. Gońcy donieśli, że teraz z łupem i jasyrem powraca do swoich koszy na Krymie. Biada jemu jeśli Jerzy dogoni go w drodze. Lecz nim polski hetman zapuścił się w bujny step, inna potrzeba wezwała go na Pokucie, gdzie hospodar wołoski niegodnie sobie poczynał na polskiej ziemi.

Niedaleko od ojca odszedł jego syn Mikołaj. Po ojcu odziedziczył mądrość polityka, a ziemie kresowe też pilnie strzegł przed tatarskimi zagonami. W uznaniu jego zasług król Stefan zaprosił go na ślub z Anną Jagiellonką i chętnie widywał go na swoim dworze. Aby raz na zawsze przysłużyć się krajowi, zorganizował wyprawę na Krym przeciw chanowi tatarskiemu, ale zdradzony przez kozaków i księcia Siedmiogrodu zaniechał swego planu. Jego brat Hieronim też był nie lada rycerzem. O nim powiadano, że siodło było mu łożem, zbroja codziennym ubraniem, a walka z Tatarem

zabawą i tańcem. Na pewno mały rycerz, Pan Michał Wołodyjowski z pobliskiej Nowosiółki Kostiukowej niejednej sztuki rycerskiej nauczył się od niego.

W komnatach zamku Pani Eleonora Jazłowiecka, księżniczka Ogstrogska z domu, swoich gości hucznie i wesoło przyjmowała. Dla urozmaicenia zabawy często zapraszała do swego dworu pierwszego polskiego kompozytora, Józefa Gomułkę, aby swoimi "sprośnymi" (nie religijnymi) piosenkami bawił brać szlachecką Tam przyszło mu pomrzeć we wczesnym wieku lat 40 i tam na cmentarzu kościelnym pochowano jego doczesne szczątki. Zaś w kościele dominikańskim wmurowano tablicę ku jego wiecznej pamięci.

Mury tego zamku widziały też innych mężów oręża i sławy. Stanisław Koniecpolski, właściciel klucza jazłowieckiego, rycerz spod Cecory i zwycięzca Szwedów pod Trzcianą, rozbudował swój zamek i stworzył z niego twierdzę równą Kamieńcowi. Trzy tysiące wojska i tyle koni mogło się tam jednorazowo pomieścić. Stamtąd nie jeden raz wyjeżdżał na wyprawy przeciwko Tatarom i Kozakom i z wysokich wież, jak sokół strzegł granic polskiej ziemi. Jego potomkowie, idąc śladami ojca i dziada, też nie szczędzili swego wysiłku i swojej krwi, aby służyć Ojczyźnie.

W murach miasta, gdzie lud ormiański z dalekiego grodu Ani już w XII wieku osiedlił się w spokojnej dolinie Jazłowca, inny rycerz bronił ich życia i mienia. Kiedy buntownik Chmielnicki, sprzymierzony z Tatarem, swoje hordy aż po mury Lwowa zapuszczał, Imć Pan Sefarowicz. Ormianin rycerskiego zawodu, swoją własną drużynę wystawił, aby wschodniej dziczy nie dopuścić do bagactw nagromadzonych w mieście. Jego imię wkrótce zasłynęło na Podolu i stało się groźbą dla maruderów kozackich i tatarskich. Za zasługi dla kraju, sam hetman Sobieski przyjął go do stanu szlacheckiego, a Koniecpolski nadał mu swój herb rodzinny.

Ta dotychczas niezwyciężona twierdza poddała się bez wystrzału, gdy turecki Szejtan przejął całe Podole pod swoje panowanie. W ciągu krótkiego panowania Turków żyzna dolina Jazłowca przyjęła wspaniały widok sadów dalekiego Meranu, aczkolwiek bogate i zasobne miasto Ormian zmieniło się w ruinę, a wielu z jego wolnej ludności sprzedano do niewoli na mołdawskich rynkach.

Osiem lat później król Jan Sobieski, wracając spod Wiednia, stanął ze swoją zwycięską armią na wzgórzu naprzeciw zamku. Na widok polskiej potęgi przestraszony basza poddał się bez walki, a królową

Polski kościół - obecnie w ruinie

Marysieńkę prosił ze łzami w oczach, aby przyjęła go pod swoją opiekę, ponieważ w jego kraju czekała go kara śmierci za poddanie twierdzy.

Obok zamku, popadającego w ruinę, nowy właściciel Stanisław Ciołkosz Poniatowski zbudował wspaniały pałac. Mieszkał tam w splendorze równym innym rodzinom polskiej arystokraacji. Zagorzały zwolennik króla Leszczyńskiego, a tym samym poplecznik szwedzkiego króla, Karola XII, dla obrony sprawy polskiej brał udział w bitwie pod Połtawą, gdzie odznaczył się uratowaniem szwedzkiego monarchy od rosyjskiej niewoli. W późniejszym wieku pisał memoriały i listy do braci szlacheckiej, aby opamiętała się w swoich poczynaniach, a lokalnie pomagał Żydom, by dbali o rozwój przemysłu i handlu w jego mieście. Jego syn, Stanisław August, wprawdzie dostąpił honoru królewskiej

Pomnik Bitwy pod Wólką Węglową 19 IX 39, gdzie walczyli sławni Ułani Jazłowieccy

korony, ale nie przysporzyło to wiele zaszczytu jemu i jego jazłowieckim poddanym.

Patrząc na zamek, wystarczyło odwrócić głowę lekko w prawo, aby na innym wzgórzu dostrzec równie masywne i potężne mury starej synagogi. W dalekiej przeszłości synowie wybranego narodu zbudowali ją jako wieczny i bezpieczny przybytek dla Arki i Tory. Tam mały Szmul Czakczes po raz pierwszy słyszał nauki rabina, śpiew kantora i czytał święte pisma swego ludu. Wtedy nawet on nie przypuszczał, że jako Samuel Josef Agnon zdobędzie na świecie sławę i literacką nagrodę Nobla. W zawierusze wojennej znikła świątynia i naród, który się w niej modlił. Po nich pozostał jedynie mur, podtrzymujący drogę do ruin kościoła, zbudowany z żydowskich płyt cmentarnych przez wiernych pod nadzorem ich ukraińskich prześladowców.

Co roku w porze jesiennej bardziej współczesna mi historia docierała do mojej świadomości. Przyczyną tego był oddział 15-go Pułku Ułanów Jazłowieckich, przejeżdżający środkiem miasta, aby w rocznicę ich zwycięstwa nad Ukraińcami złożyć hołd Najświętszej Pannie Jazłowieckiej w kaplicy sióstr Niepokalanek. Widok tego oddziału zawsze przypominał mi brawurową szarżę ułanów na niedalekim wzgórzu Kadłubisk, gdzie w niespełna czterysta koni polski pułk rozbił ukraińską brygadę. W mojej pamięci też zachował się inny wyczyn tego oddziału. Niemal w ostatnich dniach Kampanii Wrześniowej brawurowy atak ułanów jazłowieckich pod Warszawą stał się przedmiotem czci i podziwu, jako klasyczna szarża kawalerii.

W dziejach mego rodzinnego miasta jest jeszcze jedna niema i zapomniana karta - karta historii ludobójstwa popełniona na naszych niewinnych i bezbronnych rodakach przez ich ukraińskich sąsiadów. Jeśli ktoś ją kiedyś otworzy, może znajdzie w niej wzmiankę o jazłowieckim proboszczu, ks. Andrzeju Kraśnickim i jego 142 parafianach, których zaślepiony ukraiński szowinizm pozbawił życia w sposób najbardziej nieludzki.

Dzisiaj tylko uczucie nostalgii budzi we mnie wspomnienie o mojej rodzinnej miejscowości, gdzie polskość była treścią życia, a wielka przeszłość jej niepisaną biblią. Zdrada jałtańska zabrała nam naszą ziemię, ukraiński nacjonalizm pozbawił miasto jego starego imienia, ale jego historii chyba nikt nam nie odbierze, przynajmniej tak długo, jak długo żyć będzie nasz kraj i naród.

Stanisław J. Kowalski

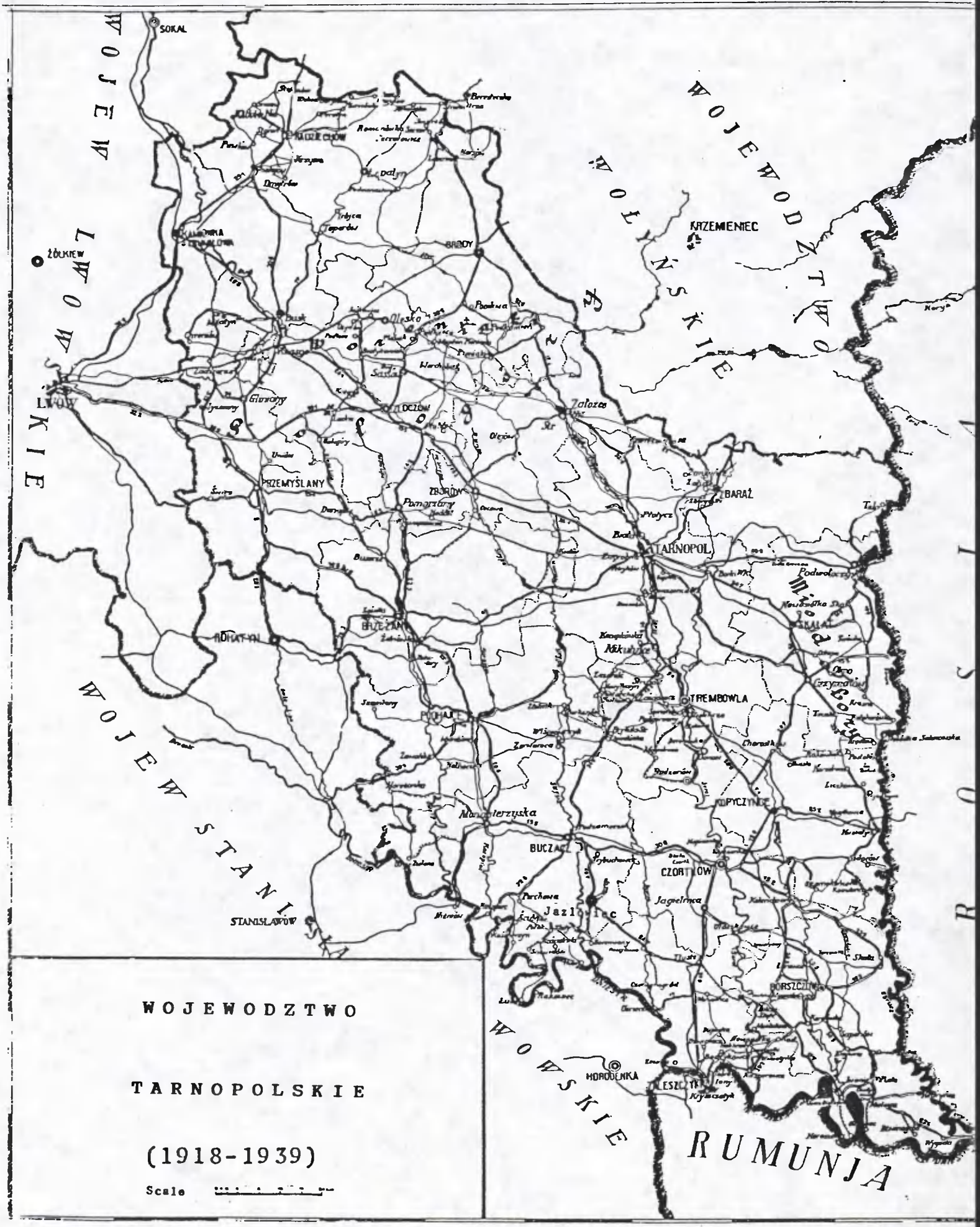

WOJEWODZTWO

TARNOPOLSKIE

(1918-1939)

Scale

J A Z L O W I E C

Okupacja sowiecka

1939 - 1941

WYBUCH WOJNY
UCIECZKA Z OBOZU JENIECKIEGO
RZADY SOWIECKIE.

Mobilizacja zaczęła się już w niedzielę, kiedy trąbka pułkowa zagrała na alarm, zwołując wszystkich żołnierzy do koszar. Natychmiast specjalne rozkazy zostały ogłoszone i niezwykły ruch zapanował w komendzie pułku. W myśl tych zarządzeń nas, młodych podchorążych przydzielono natychmiast do Oddziału Zbierającego Nadwyżki. Tam mieliśmy pomagać przy umundurowaniu i uzbrojeniu nowo-powołanych do służby. Pracowaliśmy nieustannie i z entuzjazmem, starając się podołać nawałowi pracy, jaki okoliczności nam narzuciły.

Ten niezwykły ruch trwał, aż do wymarszu pułku z Brzeżan. W tym czasie wojna z Niemcami już się rozpoczęła. Nikomu z nas nie było wiadomym w jakim kierunku wyjechał i jakie było jego przeznaczenie. Byliśmy jednak dobrej myśli, że nasza armia podoła niemieckim czołgom, piechocie i lotnictwu. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że wojna ta może za-

kończyć się inaczej niż naszym zwycięstwem.

Pierwsze komunikaty z frontu nie wyglądały zbyt pocieszająco, ale to nie odbierało nam wiary w pomyślne dla nas zakończenie tego konfliktu. Z nami przecież były dwie światowe potęgi, Anglia i Francja, którym armie hitlerowskie nie były w stanie podołać. Kiedy ogłoszono ich przystąpienie do wojny, my patrioci optymiści byliśmy pewni, że klęska Niemiec nastąpi jeszcze przed upływem roku.

Tuż po wymarszu pułku na front naszą początkową organizację PZN przemianowano na Oddział Zapasowy, z którego wydzielono Batalion Marszowy, będący w stanie stałego pogotowia do wymarszu. Ja sam pozostałem nadal w Ośrodku Zapasowym, jako kancelista w drugiej kompanii, której dowódcą był por.Monasterski, znany mi jeszcze z podchorążackiego obozu w Pacykowie. Szefem kompanii był stary legionista, sierż.Kaleta, będący już na emeryturze, ale w związku z wybuchem wojny znowu powołano go do służby wojskowej. Naszym zadaniem było przygotowanie stale przybywajacych mężczyzn do ewentualnego wymarszu na front. We wszystkich poczynaniach wyczuwało się podświadome zdenerwowanie i niepewność naszej pozycji. Jednak nawet najbardziej deprymujące komunikaty o walkach w zachodniej części Polski nie odbierały nam nadziei przetrwania tego kataklizmu.

Wszystko jednak wydawało się niepewne, płynne i rzadko skoordynowane z jakąś przewodnią myślą działania. Wkrótce po przeprowadzeniu nowej organizacji przerzucono nas do Złoczowa. Po kilku dniach wymaszerowaliśmy stamtąd do jakiejś wioski, gdzie około dwóch tygodni staliśmy bezczynni.

Nikt nie wiedział jakie było nasze zadanie, co mieliśmy robić w wypadku jakichś niespodziewanych okoliczności i jakie było nasze ostateczne przeznaczenie.

Tutaj po raz pierwszy spotkaliśmy się z tłumami uciekinierów, szukających za bezpiecznym miejscem na wschodnich terenach kraju. Od nich dowiedzieliśmy się o okropnościach wojny, które nie tyle nas przerażały, jak budziły chęć odwetu na wrogu. Na ich widok ktoś poddał myśl, że tych "panikarzy" należy zatrzymać i osadzić w obozach, ale ich było za wielu, aby tą myśl przeprowadzić. Zresztą wkrótce potem staliśmy się świadkami pierwszej akcji wojennej w najbliższym naszym rejonie. Na niebie ukazały się niemieckie bombowce typu Dornier, które obrały stację kolejową w Złoczowie, jako cel swego ataku. Na ten widok otworzyliśmy do nich ogień z karabinów, co okazało się nieskuteczne i bezcelowe. Dlatego zakazano nam używania broni w wypadkach następnych nalotów. To dawało nam do zrozumienia, że nasza sytuacja ulega radykalnej zmianie na naszą niekorzyść.

W kilka dni później, przydzielono do obrony miasta kilka działek przeciwlotniczych. Powtarzające się naloty niemieckie, czasem dwa lub trzy razy dziennie, niewątpliwie wymagały jakiejś obronnej akcji z naszej strony. Obrona nie była jednak bardzo skuteczna. W wielodniowych pojedynkach nasze działka mogły się poszczycić zestrzeleniem tylko jednego Dorniera. Nie obeszło się przy tym bez pomyłki i bez własnej straty. W szarzyźnie nocy zniszczono jeden samochód cywilny, który wzięto za niemiecki czołg.

W radiu nie słyszało się nic wybitnie pocieszającego. Nasz front stale się cofał i codziennie zapowiadano otwarcie no-

wej linii obrony w bardziej dogodnym terenie. Natomiast najbardziej upragniona wiadomość o otwarciu frontu na Zachodzie nie mogła przedostać się przez głośniki radiowe. Pewnego dnia nasze minorowe uczucia zamieniły się w radosną euforię jak gdyby pod działaniem czarodziejskiej różdżki. Radio wreszcie podało, że Linia Zygfryda została przełamana w kilku miejscach i armie alianckie maszerują w głąb Niemiec. Nikt z nas nie przypuszczał, że był to tylko trick propagandowy dla podniesienia w nas ducha.

Wieczorem 15-go września dostaliśmy rozkaz opuszczenia wioski i maszerowania w kierunku Brzeżan. Szybkość marszu była jednak wybitnie ograniczona, ponieważ wszystkie drogi były zawalone uciekinierami i często musieliśmy korzystać z polnych dróg. Następnego dnia doszliśmy do małej wioski Murman i tam dla odpoczynku zeszliśmy do przydrożnego lasku. Jeszcze nie wszyscy zdążyliśmy ukryć się w jego cieniu, kiedy spoza wzgórza wyleciał niemiecki samolot i posiał serię ckm po końcu kolumny. W wyniku tego ataku zapaliło się kilka chat we wiosce, a kilku żołnierzy i kilka koni odniosło rany.

Siedzieliśmy tam do zmroku. W tym czasie zawodowi oficerowie powierzyli dowodzenie nad oddziałami oficerom rezerwy, a sami wyjechali w kierunku południowym, tłumacząc nam, że zostali powołani przez jakiegoś generała do organizowania linii obrony na Dniestrze. O zmroku wymaszerowaliśmy w kierunku Brzeżan. W ciągu nowy przeszliśmy przez miasto i dopiero rano zatrzymaliśmy się w jakiejś wiosce, gdzie zatrzymaliśmy się na cały dzień dla odpoczynku. Tam po raz pierwszy od wymarszu ze Złoczowa otrzymaliśmy ciepłą strawę oraz porcję czarnego chleba. Nieoficjalnie ja i Romek Więcek postaraliśmy się

u chłopów o prywatne zaopatrzenie, wiedząc z doświadczenia, że nie zawsze można być pewnym wojskowej racji żywnościowej. O zmroku opuściliśmy nasze tymczasowe miejsce postoju i ruszyliśmy w dalszą drogę w tym samym kierunku - ku Dniestrowi. Znowu z uwagi na ruch cywilny na szosach musieliśmy korzystać z dróg polnych. Znowu powtórzyła się dawna historia z Kupczyniec. Po raz pierwszy od rozpoczęcia się wojny upadł ulewny deszcz i drogi polne zamieniły się w błoto. Marsz był niezwykle męczący i uciążliwy. Dlatego po drodze do Podhajec zajmowaliśmy byle miejsce, w byle stodole, aby tylko dać odpoczynek swoim nogom i ciału.

Musiałem spać bardzo mocno, bo nawet nie słyszałem kiedy moi współtowarzysze opuścili stodołę. Nie wiem co zmusiło mnie do otworzenia oczu. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że oprócz mnie nikogo więcej nie było w szopie. Wziąłem swoje rzeczy i szybko wyszedłem na szosę. Dołączyłem do jakiejś kolumny taborowej i razem z nimi trochę maszerowałem i trochę jechałem na wozie. Od jednego z ludzi przy drodze dowiedziałem się, że podobno bolszewicy wkroczyli do Polski, ale nie wiadomo czy w roli wrogów czy przyjaciół. Po drodze spotkałem swego kolegę Jasia Kukurydzę, który jeszcze niczego nie wiedział o wydarzeniach na naszej wschodniej granicy.

Maszerując razem po szosie w kolumnie zmęczonych żołnierzy, doszliśmy jeszcze przed południem do wioski Dobrowody. Tam, przy pierwszych domach natknęliśmy się na właścicieli tamtejszego majątku ziemskiego. Ludzie ci, na widok naszych szczerniałych i znędzniałych twarzy, zaprosili nas na obiad do dworu. Wizyta trwała krótko - tylko tyle, aby napełnić żołądki czymś treściwym i ochłonąć przez chwilę z trudów wielodnio-

wego marszu. Przy tym nie obeszło się bez rozmowy. Przedmiotem tego były dwa zasadnicze tematy - sytuacja na froncie oraz inwazja sowiecka. Nikt z nas nie był w stanie odpowiedzieć na to trafnie i aktualnie. Wiadomo tylko było, że znaleźliśmy się w tragicznym położeniu, z którego jedynie cud mógł nas wybawić.

Po niespełna godzinie znaleźliśmy się znów na szosie wśród masy zmęczonych i przygnębionych żołnierzy, kierowanych w swoim nieustannym pochodzie siłą nadrzędnej woli. Tłum ludzi, wozów i koni nie mający początku ni końca zdążał w apatycznym ruchu do nieznanego mu miejsca przeznaczenia. Tak musiała wyglądać armia napoleońska, wycofująca się z terenów Rosyjskich i tak chyba wyglądały wszystkie pokonane armie, pragnące uniknąć ostatecznej konfrontacji ze zwycięskim wrogiem.

Pochłonięta myślą nieustannego marszu, wyciągnięta linia wyczerpanych i zdeprymowanych ludzi, nie zdawała się zwracać uwagi na nikogo i na nic, co mogło oderwać ją od swego głównego zadania. Porzucone armaty, rozbite podwody, nieczynne kuchnie polowe i ich koledzy na boku szosy, którzy doszli już do kresu swego wysiłku nie miały dla nich najmniejszego znaczenia. Prawo wojennych strat i zniszczenia znalazło tu swój najlepszy przykład. Przedsięwzięcie takich rozmiarów wymagało poświęcenia i ofiar, inaczej by się nie stało zadość największej tragedii człowieka, jaką jest wojna. Ale to poświęcenie było małą kroplą w morzu w porównaniu z wielkością ofiar jakie kampania wrześniowa pochłonęła.

W tej depresji ducha dotarliśmy do pierwszych domów miasta Monasterzysk, znanego mi z dawnych obozów harcerskich, orga-

nizowanych w jego okolicach. Jasiek wkrótce potem spotkał się tam ze swoją kompanią. Moja kompania, według orzeczenia przełożonego, musiała być gdzieś w przodzie. Moja droga prowadziła więc dalej w głąb miasta. Maszerując ulicą widziałem tłumy ludzi, stojących na chodnikach, których twarze wyrażały zmartwienie i obawę przed zbliżającą się rzeczywistością.

Niektórzy dzielili się z nami żywnością, inni żegnali nas ze łzami w oczach, a jeszcze inni szukali u nas wiadomości o pocieszającej dla nich treści.

Wkrótce znalazłem się w środku miasta. Tam spotkałem wóz kancelaryjny naszej kompanii, co było dla mnie pierwszym wskaźnikiem, że mój oddział musi być niedaleko w przodzie przede mną. Konie wyglądały jeszcze bardziej zbiedzone niż ludzie. Wobec tego kazałem woźnicy zajechać na plac przed kościołem, aby odpoczęły. W tym centralnym miejscu miasta spotkałem się z kilku koleżankami i kolegami z gimnazjum, którzy hojnie obdarzyli mnie papierosami. Palenie nie było w moim zwyczaju, ale przyjąłem tą darowiznę z myślą, że rozdam ją wśród swoich żołnierzy.

W czasie mojej rozmowy z dawną bracią gimnazjalną, ktoś przyniósł wiadomość, że Sowieci są już w Buczaczu. Na twarzach widać było konsternację. Nikt nie wiedział co oczekiwać od obcych żołnierzy, którzy tradycyjnie nie byli przychylni Polakom. Główną ulicą wciąż przechodziła masa wojska, jedni szli w porządku w zorganizowanych grupach, inni zaś luźno, ale wszyscy z nich dążyli w tym samym kierunku - ku Dniestrowi. Woźnica i ja staliśmy przy wozie, nie wiedząc jak mamy w tym wypadku postąpić. Rozwiązanie naszego problemu wkrótce ukazało się przed nami.

Na ulicy pojawiły się trzy sowieckie czołgi. Jeden z nich zatrzymał się tuż przede mną. Dowódca jego wychylił głowę z czołgu i zawołał do nas "Niech żyje Polska". To najbardziej patriotyczne polskie hasło utwierdziło mnie w przekonaniu, że sowieci przyszli do nas jako nasi sprzymierzeńcy. Czołgi nas minęły i pojechały w tym samym kierunku, w którym wciąż maszerowały polskie oddziały. Kazałem woźnicy dołączyć do jednego z polskich oddziałów. On mi na to odpowiedział, że woli wracać do domu. Nie pozostawało mi nic innego jak zdjąć swoje rzeczy z wozu, oddać je do przechowania w najbliższym domu i samemu dołączyć do najbliższego oddziału.

W tej sytuacji niepewności i niepokoju, wśród stojącego tłumu po bokach ulicy, spostrzegłem małą i ładną twarzyczkę, wprawdzie smutną, ale znajomą. W drugim czy trzecim rzędzie stała Zosia Swidzińska i jej matka z zapłakanymi oczyma. Obie co chwila wyciągały ręce do przodu i obdarowywały maszerujących żołnierzy owocami. Na ich widok natychmiast zatrzymałem się przy nich, żeby przynajmniej zamienić z nimi parę słów. Oprócz owoców chciały mnie też zaopatrzyć w prowiant, co w danej chwili wydało mi się zbyteczne. Owocami natomiast wypełniłem każde wolne miejsce w moim chlebaku. Pozostawiłem je obie płaczące i wstąpiłem do pierwszego szeregu, który mnie w danym czasie mijał.

Droga zakręcała w prawo i za zakrętem lekko wznosiła się ku horyzontowi. Po obu bokach szosy były tylko łąki i tu i ówdzie rosnące krzewy. Tak daleko, jak moje oko sięgało przede mną ciągnął się jednolity wąż mundurów. Drogą tą nie uszedłem daleko. Ledwie minąłem pierwsze wzgórze za miastem i znalazłem się w dolinie, kiedy przed nami i za nami odezwał się

ogień karabinów maszynowych. Nie było trudno domyśleć się kto był sprawcą zasadzki przygotowanej na nas. Zarówno na jednym i na drugim wzgórzu stały sowieckie czołgi, próbując swoje ognie na żywym celu. Polskie oddziały momentalnie zniknęły z szosy. Ogień karabinów skoncentrował się wtedy na koniach, których po kilka wlokło się za każdym oddziałem. Strzelanina trwała przeszło godzinę, mimo że z naszej strony pokazywały się białe chorągiewki, świadczące o naszej chęci poddania się. Zresztą my nie mieliśmy wyboru - w przeddzień zabrano nam broń i o jakiejkolwiek obronie czy walce nie było mowy. Poddanie się było jedyną rozsądną możliwością wyjścia z sytuacji.

Dla mnie był to przysłowiowy chrzest ogniowy. Mówiłbym nieprawdę, gdybym w ciągu tego ognia nie odczuwał bojaźni przed raną lub nawet śmiercią. Siedziałem cicho pod krzakiem i modliłem się, aby mnie Bóg chronił przed jakąś zabłąkaną kulką. Kiedy zauważyłem, że ani ja, ani nikt w mojej okolicy nie jest nawet draśnięty uczucie bojaźni zmalało, a w głowie zaczęła kołatać myśl, co należy zrobić, aby wyjść cało z tej opresji. Pierwszą myślą było ukrycie dwóch granatów, jedynej broni jaką posiadałem. W miękkiej ziemi ręką zrobiłem dołek i tam je pogrzebałem.

Po ustaniu strzelaniny podjechał do nas sowiecki czołg, którego dowódca nakazał nam powiewać czerwonymi, a nie białymi szmatami. Nie wiem skąd, ale takie szmaty gdzieś się znalazły i jego życzeniu stało się zadość. Z uwagi na to, że od czasu do czasu odzywała się jakaś seria, jeden z oficerów z naszej strony, w randze kapitana, wystąpił na szosę i prosił o zaprzestanie ognia. Równocześnie zawiadomił go, że my się pod-

dajemy.

Mój instynkt samozachowawczy podszepnął mnie w tej chwili, że w podobnej sytuacji, a zwłaszcza w wypadku sowietów, najbezpieczniej byłoby być żołnierzem najniższej rangi. Szybko przy pomocy palców i paznokci pozrywałem naszywki podchorążackie ze swojego drelicha. Zrobiłem to dokładnie, aby przypadkiem jakaś mała niteczka mnie nie wydała.

Zgodnie z oświadczeniem polskiego kapitana polscy żołnierze zaczęli wychodzić na szosę. Wkrótce na naszą wysokość przybyła sowiecka ciężarówka z ich piechotą. Na ich żądanie ustawiliśmy się czwórkami - oficerowie, podoficerowie i podchorążowie na przodzie, a szeregowi z tyłu. Ja postanowiłem grać swoją grę do końca. Ustawiłem się wśród szeregowych i razem z nimi pomaszerowałem do miasta pod eskortą bojców. Ulice były już puste, a miasto wyglądało jak wymarłe. Ponadto zmierzch zaczął zapadać i niewiele można było zauważyć w szarzyźnie wieczoru.

Naszym zaimprowizowanym obozem jeńców stała się lokalna fabryka tytoniu, otoczona wysokim drutem i posiadająca dostatecznie dużo przestrzeni, aby masę ludzką pomieścić. Na razie pozostawiono nas na podwórku, gdzie pozostaliśmy aż do północy. Jesienne zimno już dało się odczuwać. Mimo, że należałem do szczęśliwców, którzy mieli płaszcze na sobie, zmarzłem niemal do kości. Szczerze współczułem wówczas tym, których sowieci ogołocili ze wszystkiego cieplejszego jak płaszcze i marynarki. Za czyimś wstawiennictwem około północy wpuścili nas do środka budynków.

Leżałem na podłodze, ale usnąć nie mogłem. Przeżycie tego dnia było za duże, aby nie pozostały po tym gnębiące mnie

refleksje. Podobne myśli gnębiły też innych. Obok mnie leżał jakiś młody człowiek, prawdopodobnie oficer rezerwy, który jak ja pozbył się swoich dystynkcji. On przeżywał tragedię swoją i Polski jeszcze głębiej niż ja. Patrząc uporczywie w sufit, sklinał wszyśtkich piłsudczyków, przypisując im winę upadku Polski. W tym tragicznym momencie prawdopodobnie każdy z nas szukał za winowajcą, aby pozbyć się zbiorowego poczucia winy. Nas stan depresji był całkowicie uzasadniony. Tylko w ten sposób mogliśmy rozładować swój ból, swój żal oraz głębokie rozczarowanie.

Nagle przyszła mi myśl do głowy, aby przekazać przy jakiejś okazji list do rodziców. Znalazłem na jakimś stole papier i napisałem najobszerniejszy i najdłuższy list jaki kiedykolwiek do rodziców skreśliłem. Podświadomie znalazłem inny sposób wyładowania swojej emocji i swoich uczuć.

Rano pozwolono nam wyjść na podwórko i przyjmować żywność od polskich kobiet przez druty ogrodzenia. Dodatkowo lokalny Czerwony Krzyż dostarczył pewną ilość pożywienia dla nas. Ktoś w Monasterzyskach kierował się zarówno rozsądkiem jak i polskim uczuciem, starając się zapewnić nam możliwość przeżycia pierwszych najtrudniejszych dni niewoli. W jednej z pań, zajmujących się podziałem żywności, rozpoznałem swoją koleżankę z ławy szkolnej - Zosię Marakównę. Jej przystojna i szczupła postać oraz jej ładna twarzyczka brunetki od razu rzuciły mi się w oczy. Przystąpiłem do niej, porozmawialiśmy przez chwilę i umówiliśmy się, że przyniesie mi trochę własnej żywności z domu. Istotnie po południu przyniosła mi kilka kanapek, ciepłą herbatę oraz kawał ciemnej czekolady. Przy rozstaniu przyrzekła przynosić mi jedzenie

tak długo, jak długo pozostanę w fabryce. Słuchając jej słów wyczułem w nich dużo troski i zrozumienia dla kogoś, którego losy wojenne rzuciły na sam dół zniewolonego narodu. Zosia nie wiedziała wówczas, że już wtedy we mnie budziła się myśl buntu - myśl wydostania się z tego zamkniętego kojca. Moja podolska i polska natura nie mogła pogodzić się z tym, aby pozostać w niewoli. Niewola była czymś strasznym, czymś krępującym i czymś poniżającym. Od chwili rozstania się z Zosią ta myśl coraz bardziej mnie prześladowała. Coś mnie pchało ku temu, aby działać natychmiast i szukać drogi ucieczki z tego drutami zamkniętego rejonu.

Zacząłem od badania wewnętrznej przestrzeni fabryki. Stwierdziłem, że polscy oficerowie, podchorążowie i podoficerowie zostali odseparowani i umieszczeni pod strażą w jednym ze środkowych baraków. Moja intuicja z dnia poprzedniego uchowała mnie od tego losu. Wprawdzie nie byłem wolny, ale miałem więcej swobody i więcej możliwości wydostania się stąd niż oni. Nie wiedziałem wtedy jaki będzie ich los, ale w żadnym wypadku nie zmieniłbym swojej pozycji z kimkolwiek z nich.

Nie cały rejon fabryki był otwarty do mojej inspekcji. Południowa część była dla mnie całkowicie niedostępna. Zachodnia, przylegająca do głównej ulicy, też nie wiele mi oferowała. Pozostała tylko część północna i kawałek wschodniej. Byłem niemal przekonany, że gdzieś w tych granicach musi być jakieś otwarcie, przez które mógłbym wysmyknąć się na zewnątrz drutów.

Chodząc wokoło, widziałem jednego żołnierza jak wszedł do drewnianej budki przy parkanie. Nie widziałem, aby stamtąd

wyszedł na fabryczne podwórko, ani nie zauważyłem go na ulicy-na zewnątrz. Chciałem pójść w jego ślady, ale zauważyłem, że na końcu drogi stał sowiecki strażnik, który na pewno byłby mnie przyłapał, gdybym próbował uciec tą drogą. Postanowiłem więc szukać innego miejsca, bardziej dogodnego dla moich planów. W drugim rogu rejonu fabryki stał inny wartownik, bardziej zajęty rozmową z cywilami przez druty, niż pilnowaniem jeńców. Podszedłem do niego i przez kilka minut przysłuchiwałem się jego propagandowej mowie o anielskim życiu w Rosji sowieckiej. Cywile prawdopodobnie nie bardzo mu wierzyli, ale co chwila, któryś nich zadawał mu pytanie, jak gdyby dla wysądowania istotnej prawdy. W międzyczasie moje oczy wędrowały po całym tym zakątku, badając dokładnie każdy jego szczegół. U końca mojej wzrokowej wędrówki dotarłem do małej furtki, która prowadziła poza barak wyglądający jak magazyn tytoniowy.

Zbliżyłem się do tej furtki i zaglądnąłem głębiej. Tuż za nią, między ścianą baraku, a parkanem biegła wąska przestrzeń trawnika. Mniej więcej w połowie baraku, po drugiej stronie, zobaczyłem ładny sad owocowy, obładowany czerwonymi jabłkami. Myśl moja zaczęła gwałtownie działać. Pomyślałem wówczas: "gdybym mógł się tam dostać i przeskoczyć parkan, mój problem byłby szybko rozwiązany". Podszedłem jeszcze bliżej do furtki, odwróciłem się do niej tyłem i obserwując wartownika lekko spróbowałem klamkę. Klamka się poddała i furtka lekko się uchyliła. Gdyby było ciemno, mógłbym natychmiast spróbować swego szczęścia. W porze południowej dzień był jasny i pogodny, co absolutnie nie sprzyjało wykonaniu tej myśli. Pozostawiłem więc przeprowadze-

nie mego planu na późniejszą porę.

W międzyczasie usiadłem sobie na podwórku pod jakąś ścianą i delektowałem się kanapkami, które mi Zosia Marakówna przyniosła. Jedząc te kanapki widziałem ją w całej okazałości przed sobą, przystojną, szczupłą i ładną, taką samą jaką widziałem ją w gimnazjum. W tej chwili już nie była moją koleżanką, lecz dobroczyńcą o wielkim i szlachetnym sercu. Pomyślałem wtedy, że jeśli więcej nie ujrzę jej w życiu, to ten obraz ludzkiej kobiety pozostanie na zawsze w mojej pamięci. A z tym pozostanie ciepłe uczucie wdzięczności na tak długo, jak długo sam będę cieszył się życiem. Od czasu do czasu spoglądałem na furtkę i z każdym spojrzeniem coraz bardziej brałem pod uwagę możliwość ucieczki tą drogą. Również przypomniałem sobie swego stryja Ignacego, człowieka, który znał życie oraz świat od St.Louis w Ameryce do głębokich stepów Wielkorusi. Często przysłuchując się jego rozmowie z innymi, chwytałem jego złote myśli, własne lub cudze,które w tej sytuacji zaczęły przychodzić mi do głowy. "Odważnym szczęście sprzyja" albo "do odważnych świat należy", które często powtarzał. Na widok tej furtki powiedzonka te obudziły się we mnie i uporczywie trzymały się mojej myśli.

Siedząc na tym miejscu i spacerując od czasu do czasu doczekałem się wreszcie wieczoru. Podszedłem do swego upatrzonego miejsca i obserwując strażnika, przyjąłem poprzednią pozycję - tyłem do furtki. Tym razem był tam inny bojec, ale nie mniej rozmowny niż jego poprzednik. Zrobiło się już zupełnie szaro, tylko światła elektryczne dookoła rejonu fabryki jaśniały tu i ówdzie ku mojemu zgorszeniu.

Postanowiłem więc działać. Wciąż, mając na myśli słowa swego stryja, uchyliłem lekko furtkę, wszedłem na wąską przestrzeń między barakiem i parkanem i ostrożnie zacząłem posuwać się na wysokość sadu owocowego. Popatrzyłem raz jeszcze do tyłu dla sprawdzenia sytuacji. Bojec wciąż był zajęty rozmową, a ludzie z drugiej strony drutu byli nie mniej hałaśliwi. Być może, że ktoś z nich widział mnie znikającego za furtką i chciał zatrzymać na sobie uwagę strażnika.

Starałem się posuwać w kierunku upatrzonego miejsca jak najszybciej, ale czas wydawał się lecieć za wolno. W końcu dotarłem między dwa światła na wysokości sadu, który teraz tworzył jednolitę ciemną masę drzew. Stanąłem tam i znowu popatrzyłem do tyłu. Sytuacja koło strażnika nie uległa żadnej zmianie. Bez dalszego namyślania się wspiąłem się na parkan, przy czym gwoździe nabite w butach, na które tak bardzo kiedyś narzekałem, bardzo były mi w tym pomocne. U szczytu parkanu spotkałem się z trzema liniami rozciągniętych kolczastych drutów, skierowanych na zewnątrz. Na górze z trudnością zdołałem utrzymać równowagę. Zdołałem się jednak odbić i skoczyć na drugą stronę parkanu. Przez sekundę zawisłem w powietrzu zahaczony chlebakiem o kolczasty drut. Szarpnąłem się całą siłą swego ciężaru, drut się poddał i wylądowałem na trawie po zewnętrznej stronie parkanu.

Bez dalszego zastanawiania się szybko pobiegłem w kierunku światła, widniejącego u końca rzędu drzew. Dobiegłem do ich końca, przeskoczyłem przez drogę i zapukałem do drzwi pierwszego napotkanego domu. Na moje pukanie drzwi się otworzyły i jakaś młoda kobieta wychyliła głowę. Nie pytając się jej o pozwolenie wskoczyłem do środka mieszkania. Oprócz niej

w domu byli jacyś dwaj dorośli mężczyźni. Szybko opowiedziałem im swoją historię i prosiłem o zamienienie mego drelicha na jakieś stare ubranie cywilne i o wskazanie mi drogi do Jazłowca. Jeden z nich udał się do piwnicy i po chwili wrócił ze strasznymi łachami, które ja natychmiast nałożyłem na siebie. Jeden z nich zaofiarował się przeprowadzić mnie przez jego część miasta i wyprowadzić na drogę polną w kierunku na Jazłowiec.

Na skraju miasta rozstałem się ze swoim przewodnikiem, dziękując mu szczerze za jego przysługę. Odtąd rozpocząłem nocną wędrówkę sam i na własną rękę. Wewnątrz siebie czułem olbrzymią radość, która absolutnie głuszyła we mnie wszelkie obawy i strach przed moją nocną wędrówką w nieznanym mi terenie. Noc była ciemna, tylko od czasu do czasu księżyc wychylał się spoza chmur i przez krótki czas oświetlał mi drogę. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego gdzie jestem, ale w przybliżeniu wiedziałem, że byłem po północnej stronie szosy wiodącej z Monasterzysk do Buczacza. Posuwałem się ostrożnie wzdłuż niej, idąc na przełaj polami i lasami. Uszedłem już kawał drogi, kiedy po przejściu szczytu jakiegoś wzgórza ujrzałem przed sobą jaśniejące światła. Domyśliłem się, że musiałem być w pobliżu jakiejś wioski. Główny problem wiązał się z tym, jakiej narodowości byli jej mieszkańcy. Jeśli byłaby to wioska polska, to na pewno byłbym mógł liczyć na ich pomoc; gdyby tam mieszkała ludność ukraińska, wówczas należało postępować bardzo ostrożnie. Przedwojenna propaganda kościoła grecko-katolickiego wyrobiła w wielu z nich niechęć ku Polakom, a w niektórych wypadkach nawet nienawiść. Ostrożnie podszedłem do jednej z chat.

Z daleka zaglądnąłem przez okno, gdzie na ścianie zobaczyłem typowe obrazy ukraińskich świętych. To mi wystarczyło, aby zaniechać próby szukania tam noclegu.

Dla pewności ominąłem tą wioskę i wszedłem do jakiegoś lasu. Na jego brzegu wyczułem ścieżkę, którą doszedłem do jakiejś rzeczki i szosy. Przeszedłem jedno i drugie i znowu znalazłem się na jakichś polach. Wydawało mi się, że zbłądziłem i zamiast na Jazłowiec szedłem w kierunku na Buczacz. Zrobiłem skręt w prawo z myślą, że znowu przekroczę szosę i nad ranem dotrę do Barysza, pierwszej znanej mi polskiej wioski na mojej trasie. Uszedłem w tym kierunku dość daleko, ale na oczekiwaną szosę nie natknąłem się. Natomiast w lewo w odległości kilometra zobaczyłem światła reflektorów i usłyszałem warkot motorów. Domyśliłem się wtedy, że musiała być tam szosa prowadząca na Buczacz, którą wcześniej przekroczyłem jakąś boczną drogą. Również,w tym samym czasie doszedł do mnie daleki odgłos broni maszynowej i ręcznej z tamtego kierunku. Położyłem się w kartoflisku i czekałem tam, aż strzelanina się uspokoiła i warkot motorów zamilkł. Poczułem się wtedy bardzo zmęczony i głodny. Wyciągnąłem z chlebaka resztę z prowiantu darowanego mnie przez Zosię, który zjadłem z apetytem głodnego wilka. I znowu Zosia zasłużyła na moją dozgonną wdzięczność zarówno za kanapkę jak za kawał grubej gorzkawo-słodkiej czekolady.

Po tym odpoczynku wybrałem się w dalszą drogę. Na szosie była już kompletna cisza, natomiast niedaleko w lewo ode mnie było słychać ujadanie psów. Nie wiedziałem jaka mogła to być miejscowość, ale postanowiłem udać się w tamtym kierunku w nadziei, że jakaś poczciwa dusza mnie przenocuje w jakiejś

stodole. Po kilkunastu minutach na tle nieba zauważyłem kontury czyjegoś gospodarstwa. Podszedłem do stodoły, gdzie spotkałęm się ze wściekle ujadającym psem, broniącym do niej dostępu. W jakiś sposób zdołałem go obejść i wewnątrz stodoły wziąłem się do układania legowiska. Nagle otworzyły się drzwi od domu i w ich obramowaniu ukazała się kobieta ze światłem w ręku.

Usłyszałem jej głos, pytający mnie po polsku kto ja jestem. Odpowiedziałem jej na to, że wracam z wojska i szukam miejsca na nocleg. W odpowiedzi na to natychmiast zaprosiła mnie do wnętrza domu. Zapytała mnie zaraz czy jestem głodny. Kiedy odpowiedziałem przecząco kobieta, widocznie gospodyni domu, kazała jakiejś dziewczynie ustąpić mi posłanie, mówiąc przy tym, że w izbie będzie mi wygodniej spać niż w stodole. Oczywiście bez namysłu skorzystałem z tej propozycji i za chwilę zasnąłem kamiennym snem. To była faktycznie pierwsza noc od wielu podczas której mogłem spać na jakimś posłaniu i nareszcie odpowiednio odpocząć.

Obudziłem się dopiero późnym rankiem i chciałem natychmiast wyruszyć w dalszą drogę. Gospodyni z miejsca sprzeciwiła się temu. Kazała mi usiąść przy stole i zaczekać aż przygotuje mi śniadanie. Podczas gdy ona krzątała się koło kuchni do izby weszło dwóch mężczyzn, niewątpliwie jej sąsiadów. Natychmiast między nami wywiązała się rozmowa na temat ostatnich wydarzeń. W wiosce, którą okazał się być poszukiwany przeze mnie Barysz, krążyły już niesamowite bajki. Czyjaś wyobraźnia zaczęła tworzyć międzynarodowe sytuacje, które były pozbawione jakiejkolwiek logicznej myśli. Mimo ich zapewnień nie mogłem uwierzyć temu, aby Anglia i Francja

leżały już w gruzach, a Ameryka była zajęta przez Japonię. Po śniadaniu jeden z nich zaproponował mi wyprowadzenie mnie za wioskę i wskazanie drogi na Jazłowiec, z czego chętnie skorzystałem. Po drodze uprzedził mnie o ukraińskich wioskach, w których nastawienie do Polaków nie było zbyt przyjazne, a przede wszystkim wioska Zubrzec, gdzie już zaatakowano polskich kolonistów. Człowiek ten odprowadził mnie na skraj lasu i wskazał mi dalszą drogę.

Po drugiej stronie tego lasu spotkałem się z grupą kobiet, stojących przy jakimś odosobnionym domku w lesie, który według mojej oceny musiał być siedzibą lokalnego gajowego. Kobiety te natychmiast mnie obstąpiły i po zorientowaniu się kim jestem, zaczęły zadawać mi pytania czy przypadkiem nie spotkałem ich mężów, synów czy braci. Również prosiły mnie o wejście do mieszkania, na co z uwagi na chęć kontynuowania drogi, odpowiedziałem odmownie. Jedna z nich szybko pobiegła do najbliższej jabłoni, narwała jabłek w podołek i napchała nimi mój chlebak.

Znowu uszedłem kilka kilometrów idąc na przełaj, spotkałem jakiegoś ukraińskiego chłopa, orzącego pole. Początkowo odniósł się do mnie podejrzliwie i zaczął mnie wypytywać co ja tutaj robię i gdzie idę, patrząc cały czas na mnie jak na osobę, której nie należy ufać. Kiedy powiedziałem mu, że pochodzę z Jazłowca i wracam z wojny do domu, nabrał do mnie więcej zaufania. Mimo woli spojrzałem na tabliczkę na jego wozie i wyczytałem na niej czysto polskie nazwisko, ale to nie świadczyło o tym, aby miał on jakieś uczucia polskie. Jednak musiało być w nim coś ludzkiego, bo obiecał mi, że po zaoraniu przewiezie mnie przez wioskę Zubrzec, gdzie już

urzędowała ukraińska milicja, która mogła mnie aresztować. W międzyczasie dał mi kawałek razowego chleba i radził przespać się pod stogiem kukurydzianki. Istotnie po zaoraniu pola, wziął mnie na swoją furmankę i przewiózł mnie przez wioskę. Po drodze dowiedziałem się od niego, że po 1-szej wojnie światowej wrócił z Ameryki i za zarobione pieniądze kupił sobie zasobne gospodarstwo. Teraz po przyjściu sowietów, obawiał się, że jego wieloletni trud zakończy się zabraniem mu pola na kołchoz czy sowchoz, o czym widocznie był już uświadomiony.

Pożegnałem go na drugiej stronie wioski, przez którą przejechałem bez najmniejszego niespodziewanego przypadku. Przeszedłem jeszcze kilka kilometrów w kierunku wskazanym przez niego i dopiero wtedy zorientowałem się w terenie. Dochodziłem już do wioski Leszczańce, jednej z tych, które bezpośrednio graniczyły z Jazłowcem. Wiedziałem jednak, że jest to miejscowość ukraińska i dlatego należało być ostrożnym. Okrążyłem wioskę od południa, zszedłem po zboczu jaru Strypy, przeszedłem ją wbród i znalazłem się już w jazłowieckich lasach. Stąd miałem tylko pół godziny drogi do domu.

Ostrożność jednak nakazywała, aby nie pokazywać się w mieście, gdzie mogła już urzędować milicja i która mogła nie być zbyt przychylnie ustosunkowana do Polaków powracających z wojny. Dlatego zdecydowałem się udać najpierw do wuja Leona, którego sad bezpośrednio stykał się z lasem, co pozwoliłoby mi wejść do jego domu niespostrzeżenie. Przy wejściu do sadu wszedłem wprost na niego, który siedział na drabinie i zrywał jabłka. Widząc go natychmiast zawołałem "dzień dobry wuju!" On spojrzał na mnie z wysokości drabiny i w ogóle

mnie nie poznał. Moje podarte ubranie i zarost tak mnie zmieniły, że gdybym nie powiedział mu kto ja jestem, byłby nie rozpoznał we mnie swego siostrzeńca. Gdy się upewnił co do mojej osoby, zszedł z drabiny, rzucił mi się na szyję i z radości się rozpłakał.

Natychmiast razem poszliśmy do jego mieszkania, gdzie z podobnym uczuciem witała mnie jego żona. Zaraz też wysłano najstarszą córkę, aby poprosiła mojego ojca do domu wuja bez podania przyczyny. Wpierw jednak przyszła matka, która aczkolwiek nie będąc powiadomiona z czym Wisia przyszła do ojca, intuicyjnie wyczuła, że to chodzi o jej syna.

Ledwie ona przestała mnie ściskać i całować, za nią przybiegł ojciec, który też witał mnie ze łzami w oczach. Przesiedziałem tam do wieczora i dopiero w szarzyźnie zapadającej nocy razem z nimi powróciłem do domu.

Po długiej nieobecności i wielu przejściach znalazłem się z powrotem w czterech znanych mi od dzieciństwa ścianach i znowu mogłem doznać domowego ciepła i przynajmniej tymczasowego bezpieczeństwa. Dom - drogi dom, ta przystań życia, gdzie człowiek w każdym okresie swego życia znajduje w gronie rodziny spokój, szczęście i zadowolenie życia. Nawet w tak niepewnym czasie w jakim ja do niego powróciłem jego ściany były wciąż tym bezpiecznym miejscem, w którym spodziewałem się przeżyć i przetrwać rozpętaną przed kilku tygodniami burzę wojenną.

Powoli inni jazłowiczanie też zaczęli powracać do swoich domów. W kilka dni po mnie zjawił się mój kuzyn Julek Kuriański, a niedługo po nim dwaj inni krewni Dziunek Kołodziej i Kazio Uruski zawitali do rodzinnych domów.

Kilku młodych ludzi, niespokrewnionych ze mną, też po dłuższej wędrówce znalazło się wśród swoich. Byli znowu tacy, których żony lub matki pukały nieśmiało do drzwi szczęśliwców i pytały o swoich najbliższych. Najczęściej nikt nie miał dla nich żadnej wiadomości. Jedynym wyjaśnieniem losu ich synów i mężów był świat ich własnych domysłów. W najlepszym razie można się było spodziewać, że uszli za granicę lub dostali się do niewoli. Prawdopodobnie nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że ponieśli oni największą ofiarę żołnierza na polu walki.

W tym czasie nikt nie miał pewności, czy po ustabilizowaniu się rządów sowieckich, a przede wszystkim ich pomniejszych organów złożonych z ich lokalnych sympatyków, polska ludność nie stanie się przedmiotem politycznych represji. Można się było liczyć z tym, że w takim przypadku pierwszymi jej ofiarami stanie się polska inteligencja i urzędnicy poprzedniej administracji państwowej. Mając to na względzie, nie śpieszyłem się z ujawnieniem siebie na forum miejskim, aczkolwiek większość lokalnej ludności musiała wiedzieć o moim powrocie. Przez pierwsze dwa tygodnie siedziałem cicho w domu i nawet wieczorami nie pokazywałem się na zewnątrz. Poza tym też kryła się inna przyczyna mego pół-tajemniczego istnienia. Podczas wałęsania się po różnych kwaterach, szopach i stodołach nabawiłem się wstrętnego świerzba, który poważnie rozprzestrzenił się po moim ciele w ostatnich dniach mojej wędrówki. Zaraz następnego wieczora rodzice wezwali lekarza Polaka, który niezwłocznie przyszedł i przepisał odpowiednią maść i kurację. Zapisane środki były istotnie skuteczne, bo jeszcze przed upływem dwóch tygodni

pozbyłem się całkowicie tego nieprzyjemnego pasożyta.
Jeszcze w czasie trwania działań wojennych Jazłowiec stał się przytułkiem dla wielu uciekinierów z zachodniej części Polski. Kiedy zdecydowałem się pokazać oficjalnie na ulicy, ich ilość zmniejszyła się poważnie. Wśród pozostałych zacząłem robić znajomości lub z daleka zapoznawać się z ich zewnętrznym wyglądem. Do najbliższych mnie osób należały dwie młode panie, które zamieszkiwały w domu rodziców, w moim dawnym pokoju.
Młodsza z nich, imieniem Zosia znalazła się w Jazłowcu jeszcze przed wojną, gdzie pracowała jako pielęgniarka w szkole powszechnej rozbudowanej do siedmiu klas. Osoba ta miła, przyjemna i widocznie uczynna zaprosiła do siebie na mieszkanie nieco starszą od siebie niezwykle przystojną panią Halszkę z Warszawy. Mieszkając w tym samym domu wiedziałem już o nich od pierwszego dnia, ale do naszego spotkania doszło dopiero po moim wyleczeniu.
Po kilku przygodnych spotkaniach i okazyjnej wymianie grzecznościowych słówek, jedna z nich zaprosiła mnie na wieczór do ich pokoju, gdzie często gościły swoich partnerów do gry w karty, w osobach dr.Goldstauba i syna ruskiego księdza. Od tego dnia bardzo często spędzałem wieczorne godziny w ich towarzystwie. W cichym małym miasteczku tego rodzaju urozmaicenie życia było chyba praktykowane w każdym domu, gdzie tylko byli młodzi ludzie.
Pewnego wieczoru dr.Goldstaub przyniósł butelkę wina, którą jakimś cudem dostał od jednego ze swoich współwyznawców. Po kieliszku lub dwóch staliśmy się bardziej swobodni między sobą. Halszka wkrótce przysiadła się do mnie, zaczęliś-

my mówić do siebie po imieniu i wzajemnie prawić sobie komplementy. Odtąd zaczęły się między nami bliższe stosunki. Prawie co wieczoru spotykałem się z nią w jej pokoju, ale prawie zawsze w obecności jej współlokatorki. Czasami natomiast korzystając z ciemności jesiennych nocy spacerowaliśmy drogą do klasztoru, w takich wypadkach bez świadków lub niepotrzebnych nam szaperonów.

W tej dziedzinie mego życia wszystko układało się dla mnie jak najbardziej pomyślnie. Sielanka ta prawdopodobnie trwałaby dość długo, gdyby temu nie przeszkodziła zawsze strzegąca mnie matka. Może ona nie miałaby nic przeciwko moim bliższym stosunkom z Halszką, gdyby ta młoda osoba nie była mężatką. Wprawdzie jej mąż według jej przypuszczeń był za granicą, jak wielu urzędników ministerialnych z Warszawy, ale to nie zmieniało jej stanu. Początkowo matka okazywała swoje niezadowolenie kiedykolwiek wychodziliśmy razem, a po pewnym czasie wyraźnie wypowiedziała się przeciwko temu wobec mnie. Z późniejszego zachowania się Halszki wnioskowałem, że między nią, a matką doszło też do jakiejś rozmowy na ten temat. Niedługo potem ta niezwykle przystojna brunetka, o miłym matowym głosie wyjechała do Lwowa z zamiarem przedostania się za granicę. Dostałem od niej kilka listów, jeden nawet ze Stryja - miasta w pobliżu granicy, w których pisała oględnie, ale ja zawsze potrafiłem doczytać się w nich ich ukrytą treść.

Po jej wyjeździe życie moje w Jazłowcu straciło na treści. Dla zabicia pustki i czasu coraz częściej zacząłem zaglądać do moich kuzynek Wisi i Kazi Kuriańskich, gdzie gromadziła się młodzież w moim wieku dla typowej rozrywki gry w karty.

Do stałych bywalców w ich domu należała Marysia Krasna, ich koleżanka ze szkoły, oraz inny ich nabytek szkolny Basia Jostówna. W owym czasie dla mnie była to sprawa niewinnej rozrywki. Nawet Basia, która zasłużenie uchodziła w tym towarzystwie za piękność, była tylko miłą towarzyszką wieczornej zabawy. Gdyby w mojej myśli istniały jakieś zamiary wobec niej, nie miało by to znaczenia, ponieważ stale i ciągle przebywała ona w towarzystwie mego kuzyna Julka. Faktycznie uważałem ich za bardzo dobraną parę - on wysoki i przystojny, a ona szczupła, średniego wzrostu blondynka, razem wyglądali jak para z obrazka. Ich spoglądanie na siebie i trzymanie się za ręce nie przeszkadzało wcale trzem pozostałym pannom oraz mnie i memu kuzynowi Kaziowi w naszej wieczornej grze w karty.

Poza tym życiem towarzyskim w gronie wybranych osób w październiku powstała cicha myśl pracy konspiracyjnej. Myśl ta wpierw przyszła do mnie za pośrednictwem Julka Smólskiego. Człowiek ten pojawił się pewnego dnia w Jazłowcu i w zaufaniu zwierzył mi się z istnienia podziemnej organizacji, do której już należał. Znając mnie jako osobę zawsze udzielającą się różnym sprawom społecznym, powierzył mi zorganizowanie lokalnej komórki. Naszym bezpośrednim zadaniem było staranie się o broń, o którą w Jazłowcu nie było łatwo. Przed wojną nie stacjonował tam żaden oddział wojskowy, a jakakolwiek broń tam była, polska policja zabrała ją ze sobą, uciekając za granicę.

Na moją propozycję cała nasza grupa zgodziła się wejść do tej komórki. Zaczęto od poszukiwań broni. Od sióstr Niepokalanek dowiedzieliśmy się, że w rzeczce za zamkiem ktoś kie-

dyś zatopił dubeltówkę. Kilka wieczorów pod rząd spędziliśmy na poszukiwaniu za tą jedyną znaną nam bronią. Chodziliśmy i brodziliśmy po rzeczce przez dłuższy czas, ale bez skutku. Wreszcie pewnego wieczoru nastąpiłem na jakiś pakunek, który jak się później okazało zawierał rozebraną starożytną dubeltówkę nawet ze srebrnymi okuciami. Niestety była to jedyna nasza zdobycz tego rodzaju.

Nasza mała podziemna organizacja po tym jedynym wyczynie nie miała przed sobą ani żadnego planu ani zadania. Nasz łącznik już się nie zjawił po raz drugi, co definitywnie miało swój ujemny wpływ na morale jej członków. Pewnego dnia udałem się do Buczacza, aby tam wśród kolegów zasięgnąć informacji na ten temat. Spotkałem się tylko ze Zbyszkiem Warszylewiczem, który należał do jakiejś organizacji, ale nie był w stanie skontaktować mnie z jej dowódcą. Liczyłem jednak na to, że kiedy sprawa stanie się bardziej aktualna moja grupa zostanie w to wciągnięta.

Tymczasem życie w Jazłowcu płynęło bez większych wstrząsów i niespodzianek. Ludzie już się przyzwyczaili do nowych warunków i nawet do pewnego stopnia zmienili swoją mentalność. Nikogo zbytnio nie zaskoczyło aresztowanie Michała Kuliczkowskiego i Kazimierza Staneckiego, dwóch przedwojennych policjantów. Przyjęto po prostu, że wśród nas byli ludzie winni jakiegoś politycznego przestępstwa, za które powinni byli ponieść słuszne konsekwencje. Przy tym każdy uważał siebie za niewinnego, aczkolwiek podświadomie każdy obawiał się, że jego też może dosięgnąć ręka stalinowskiego terroru. W moim mniemaniu uważałem sam siebie za kandydata do ewentualnych represji ze strony sowietów. Potwierdzeniem tego była

tajemnicza wizyta jednego z lokalnych komunistów, który ostrzegł ojca, że moje nazwisko znajduje się na liście NKWD. Od ręki trudno było znaleźć jakiś sposób zaradzenia ewentualnemu aresztowaniu. Jedynym krótkoterminowym i niezbyt efektywnym sposobem było spanie poza domem. Aresztowania zawsze odbywały się w nocy, co w wypadku mojej nieobecności w domu dawało mi krótki oddech na szukanie jakiejś kryjówki lub możliwości ucieczki za granicę. Odtąd wszystkie noce spędzałem u wuja Leona pod lasem, w jednym z jego nieopalanych pokoi.

Druga strona mojego życia miała więcej, bardziej pogodnej treści. Głównym punktem tego były nasze karciane spotkania i związane z tym lokalne towarzyskie życie. Za pośrednictwem Basi zbliżyłem się do jej rodziny, zapoznałem się z jej siostrami Krzysią i Jagą, a nawet zostałem zaproszony do ich domu na tradycyjne andrzejki. Po bliższym zapoznaniu się z nimi dowiedziałem się kilku szczegółów o ich rodzinie, a przede wszystkim o ich nieobecnym ojcu. Jego nieobecność była zarówno zagadką dla nich jak i dla nas - ich przyjaciół. Pewnego dnia zagadka ta wyjaśniła się do pewnego stopnia. Z dalekiej Rosji, z jakiejś nieznanej miejscowości Kozielsk, przyszła karta zawiadamiająca rodzinę, że ich ojciec i mąż znajduje się w tamtejszym obozie jenieckim. W tym samym czasie przyszła też kartka do mojej ciotki, że jej brat znajduje się w innym obozie pod nazwą Starobielsk. Dla nas wszystkich obie te nazwy nie miały żadnego specjalnego znaczenia, poza tym co autorzy kartki o nich pisali.

Zbliżenie się do rodziny Jostów miało też swój wpływ na bliższą przyjaźń z urodziwą i przystojną Basią. Stosunki między

nią a Julkiem zaczęły się psuć, a ona wyraźnie zaczęła ciążyć ku mojej osobie. Początkowo miałem pewne skrupuły, co do zabliskiej przyjaźni z Basią, ale z czasem pokusa przezwyciężyła wszystkie rodzinne i towarzyskie hamulce. Basia była zbyt przystojną, aby delikatne uśmieszki, przeciągłe spojrzenia jej niebieskich oczu oraz znaczące uściski rączek nie zrobiły wrażenia na młodym i uczuciowo nie zaangażowanym człowieku. Powoli zacząłem poddawać się uczuciom młodości i ostatecznie staliśmy się sobie bardzo bliscy. Poza spotkaniami, spacerami i grą w karty doszły do tego wycieczki na nartach, co nas jeszcze bardziej zbliżało ku sobie.
Zima w tym roku /1939-1940/ była niezwykle mroźna, co ja spędzający noce w nieopalanym mieszkaniu odczuwałem bardziej niż inni. Jednak nie byłem największą ofiarą klimatu i warunków stworzonych przez władze sowieckie. W ciągu jednej z najbardziej mroźnych nocy, zabrano z domów rodziny tzw. kolonistów i w towarowych wagonach wywieziono ich na daleką północ Syberii. Jedynym ich przestępstwem było to, że ich rodzice czy dziadkowie zakupili trochę ziemi od właścicieli ziemskich i założyli sobie gospodarstwa, a jako przyjezdni z innych okolic zostali nazwani kolonistami. Dla lokalnych komunistów ukraińskiej narodowości wydalenie z ich miejscowości polskich sąsiadów było spełnieniem narodowego obowiązku, dla władz sowieckich, była to skuteczna metoda podporządkowania sobie ludności drogą terroru.
W okolicach Jazłowca ofiarą tego padli koloniści z pobliskiej wioski Zaleszczyki Małe. Według jakichś kryteriów wybrano spośród wielu kilkanaście rodzin i ich użyto jako przestrogę dla pozostałej ludności. Ten nieludzki akt spot-

spotkał się z potępieniem wszystkich tamtejszych Polaków, ale nikt tego nie wypowiedział publicznie, w obawie przed podobną represją wobec niego i całej jego rodziny. Stalinowski terror nie przebierał w środkach i nikt nie pragnął być jego ofiarą.

Oznaką oporu przeciwko temu były tajne polskie organizacje, które w ciągu tej samej zimy przestały być tajnymi. Podobna organizacja w Buczaczu, do której należało wielu moich kolegów, w ciągu jednej nocy przestała istnieć. Pewną winę za to ponosili jej członkowie i organizatorzy. Jak mi później opowiadała koleżanka-Żydówka, Malcia Strauber, ta pozornie tajna organizacja nie była dla nikogo tajną, a przede wszystkim dla sowieckiego NKWD. Mieli oni wszystkie nazwiska na swojej liście i sprawa zaaresztowania "winowajców" była kwestią zastania ich nocą w domu. Pewnej nocy sześciu z nich, dwóch Urbańskich, dwóch Osostowiczów, Iskrzyński i Halkiewicz, znaleźli się pod kluczem w buczackim więzieniu. Inni w panice zaczęli opuszczać miasto z których sześciu zawadziło o nasz dom.

Dwóch Schandlerów, dwóch Dancewiczów, Iwachów i Zbyszek Warszylewicz pewnego popołudnia zjawili się na nartach u nas w domu. W tym celu aby uniknąć ewentualnego aresztowania cała grupa zdecydowała się na ucieczkę za granicę. W czasie sprawowania władzy przez Polaków takie przedsięwzięcie miałoby duże szanse powodzenia, teraz możliwości jego udania się były minimalne. Zarówno pora zimowa jak i zwiększona straż graniczna absolutnie temu nie sprzyjały. Rodzice udzielili im noclegu, dali im pożywienie i trochę sucharów na drogę. Do nich dołączył mój kuzyn Julek i następnego dnia cała sió-

demka na oczach wszystkich wyjechała od nas w kierunku Dniestru. W swojej decyzji nie wzięcia w tej wyprawie udziału było kilka przyczyn. Pierwszą było oczekiwanie wiadomości w tej samej sprawie od jednego z kolegów ze Lwowa, drugą niewątpliwie Basia, a trzecią moja intuicja.

Również tej samej zimy zaczęły krążyć w okolicy pogłoski o powstaniu w Czortkowie. Trudno było w to uwierzyć, ponieważ skromna polska organizacja nie była w stanie podołać silnemu garnizonowi sowieckiemu w tym mieście. Sprawa miała się podobnie jak w Buczaczu. Polska podziemna organizacja została wykryta przez władze NKWD i wielu jej członków znalazło się w lokalnym więzieniu. Tego rodzaju wypadki dawały do zrozumienia, że wśród społeczeństwa istniał pewien odruch, który miał na celu walkę z najeźdźcą, ale ludzie aktywni w tej działalności z powodu braku doświadczenia tylko narażali siebie i innych na aresztowania i inne represje.

Do ogólnego stanu obaw, niepewności i zmian doszła jeszcze jedna, która niemal wyłącznie dotyczyła mnie. Matka mojej panny za pośrednictwem jednego z ich znajomych znalazła dla swej córki pracę w jednym ze szpitali we Lwowie. Przyczyną tej decyzji była obawa wywozu do Rosji, której ofiarą tym razem miała być polska niepracująca młodzież. Dla niej umieszczenie córki w bezpiecznym miejscu było jak najbardziej uzasadnione - dla mnie było to dość trudne i bolesne przeżycie. Na życzenie Basi odwiozłem ją do znajomych w Buczaczu, skąd w następnym dniu miała pojechać pociągiem do Lwowa.

Wokół mnie powstała wówczas pustka, której nie było czym wypełnić. Podjęcie pracy u Sowietów było ogólnie uważane

za czyn niepatriotyczny, sprawa organizacji podziemnej mogła tylko istnieć w wyobraźni, a sprawy osobiste ograniczały się tylko do okazyjnej wymiany listów. Na domiar tego z powodu spania w różnych miejscach nabawiłem się złośliwego wrzodu na lewym policzku, który mimo leczenia lekarskiego nie chciał się goić. W tej sytuacji zdobyłem się na krótki wypad do Stanisławowa celem nabycia tak rzadkich i cennych artykułów jak cukier, ocet i nawet wódka, na zbliżające się święta. Same święta przesiedziałem spokojnie w domu, spędzając je w myśl utartej tradycji z Kurjańskimi.

Ich rodzina była wówczas bardzo zmartwiona losem ich syna Julka, który w lutym podjął się próby ucieczki do Rumunii. Drogą poczty pantoflowej doszły ich wiadomości, że Zbyszek Warszylewicz przysłał już kartkę do domu z zagranicy. Od Julka nie było jednak żadnej wiadomości. Postanowiłem więc razem z Wisią udać się do Buczacza celem zasięgnięcia informacji. W kilka dni potem byliśmy u rodziców Zbyszka, który istotnie napisał do nich, ale w kartce nie było wzmianki o Julku i innych współtowarzyszach jego wyprawy. Wiadomość była na tyle pocieszająca, że jeśli Zbyszek zdołał przedostać się przez granicę, można było się spodziewać tego samego o całej grupie.

Mniej więcej w tym samym czasie, a może nieco wcześniej znowu odbyła się seria aresztowań wśród Polaków. Tym razem nie dotknęło to Polaków w Jazłowcu. Było to następne pociągnięcie ze strony władz sowieckich, aby sterroryzować ludność do głosowania za przyłączeniem naszych ziem do Rosji Sowieckiej pod nazwą Zachodniej Ukrainy. Impreza wyborcza była całkowicie udana. Prawie sto procent ludności głosowało za przyłą-

czeniem. Kilka pustych kartek wrzuconych do skrzynki wyborczej było jedynym głosem sprzeciwu.

Ogólnie życie stało się bardziej niepewne, a tym samym trudne i męczące. Nikt nie był pewny jutra i wielu z nas żyło w obawie przed aresztowaniem i wywiezieniem na Sybir. Jedyna nadzieja, jaka utrzymywała nas przy lepszej myśli, była spodziewana ofensywa aliantów na zachodzie, której zwycięskie zakończenie nie ulegało najmniejszej kwestii według naszej oceny sytuacji.

Brak wiadomości z zachodu był również jednym z tych elementów, który komplikował nasze życie. Do pewnego czasu pewne wiadomości przenikały do nas przy pomocy jedynego radia w mieście, będącego w posiadaniu rodziny Piwowarskich. Po wyczerpaniu się baterii źródło to przestało być czynne i jedyne wiadomości, jakie otrzymywaliśmy, dochodziły do nas drogą ludzi podróżujących do Lwowa i innych większych miejscowości. Najczęściej treść nowinek nabytych z drugiej lub trzeciej ręki była w dużym stopniu zmodyfikowana, najczęściej na naszą korzyść. W tych okolicznościach przydarzyła się mnie, mojej rodzinie oraz wielu innym jazłowczanom najgorsza rzecz jaka mogła komukolwiek sie wydarzyć. We wczesnych godzinach porannych 13-go kwietnia 1940 roku można było zauważyć niezwykłe ożywienie wśród kadry lokalnych komunistów. Zwołanie specjalnego meetingu, tajemnicze szepty wśród ludności żydowskiej i wyjazd orkiestry dla jakiejś niezbyt sprecyzowanej imprezy do Potoka Złotego zaczęły budzić podejrzenia wśród Polaków. Tego wieczoru, tuż po zmierzchu, zawitał do nas jeden z dalekich krewnych matki, który w tajemnicy oświadczył ojcu, że rodzina nasza jest na liście przeznaczonych na wywóz do Rosji.

Wiadomość tą matka początkowo potraktowała żartobliwie. Natychmiast zapakowała wszystkie swoje lekarstwa do jakiejś torby i oświadczyła, że jest już gotowa do wyjazdu. Był to prawdopodobnie samozachowawczy odruch, który nie chciał dopuścić do siebie tej trudnej do przyjęcia myśli. Nieco później zapukała do naszych drzwi gospodyni ks. Krańnickiego celem przekazania wiadomości, że proboszcz chce widzieć się z ojcem. To było niejako potwierdzeniem tego, co nam wcześniej przyniesiono. Po krótkiej rodzinnej rozmowie zdecydowaliśmy, że ja i mój młodszy brat Franek nie będziemy tej nocy spali w domu. Zaraz potem narzuciliśmy na siebie kurtki i udaliśmy się do mieszkania naszej dalekiej krewnej Strzeleckiej, której według naszych przypuszczeń przewidywany na tą noc rodzaj sowieckiej szykany nic groził.

Nad ranem obudził nas turkot wozów na szosie. Franek razem z synem stryja Stanisława, Józkiem oraz drugim kuzynem Kaziem zdając sobie sprawę z tego, że furmanki te jadą po ich rodziców natychmiast w pierwszym strachu uciekli do lasu. Ja postanowiłem pozostać w pobliżu miasta, aby upewnić się czy istotnie moi rodzice są ofiarami tej nieludzkiej perfidii. Ciotka Strzelecka w międzyczasie pobiegła na górę Księżynę i po pewnym czasie powróciła zadyszana, że przed naszym domem stoi furmanka, ale nie była pewna tego, czy ona czeka na moich rodziców, czy na naszych lokatorów, uciekinierów z zachodniej części Polski. Ledwie to dokończyła sam wybiegłem na Księżynę. Moim oczom po drugiej stronie jaru Jazłowca ukazał się deprymujący widok - matka ładowała worki i tobołki na wóz, a ojciec stał na boku pod strażą sowieckiego bojca. W tej chwili obudziła się żądza odwetu. Gdybym wtedy miał

jakąś broń w ręku napewno pobiegłbym tam i strzelałbym do wszystkich napotkanych sowietów. Kierując się tą rozpaczliwą, a przy tym najmniej realną myślą obiegłem miasto dookoła i przez szańce dostałem się na górę naprzeciw naszego domu. Widząc wtedy matkę, ojca i brata Tadzika na furmance, niemal gotowych do wyjazdu zacząłem głośno wymyślać wszystkim komunistom i Stalinowi. Oprzytomiałem dopiero wtedy, gdy ktoś z przyglądających się sąsiadów odciągnął mnie na bok i radził uciekać. Jakaś wewnętrzna żądza zmuszała mnie do tego, aby podjąć jakąś akcję. Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, była chęć ujrzenia raz jeszcze mojej rodziny. Obiegłem więc miasto z drugiej strony i przez Browary dostałem się na cmentarz przy szosie w kierunku na Buczacz. Pierwszych kilka furmanek przejechało obok cmentarza, ale w żadnej z nich nie było moich rodziców. Wreszcie na piątej czy szóstej zobaczyłem ich skulone postacie i bojca siedzącego z tyłu za nimi. Wołałem do nich, spodziewając się, że na dzwięk mego głosu oni przynajmniej odwrócą głowy w moją stronę. Nie widziałem w nich żadnej reakcji - widocznie oni mnie nie słyszeli. Na następnych furmankach jechały rodziny wuja Kuriańskiego i stryja Ignacego Kowalskiego. Oni też nie zwracali uwagi na moje wołanie. Stałem tam bez ruchu, aż ostatnia furmanka zniknęła za grzbietem wzgórza. Potem wyszedłem na szosę i stałem bezradnie w pośrodku, nie wiedząc gdzie się udać i co ze sobą zrobić. Pytania jakie kołatały się w mojej głowie dotyczyły dwóch możliwości - czy udać się do Buczacza za rodzicami, czy wrócić z powrotem do Jazłowca. Ktoś z moich dalekich krewnych podszedł do mnie i zapraszał mnie do swego domu. Doskonale rozumiałem ich dobrą wolę, ale nie skorzystałem z ich zaproszenia. Zdecydowałem się natomiast udać się do jednego z moich wujów na Olchowcu. Jednego z nich nie zastałem w domu,

wobec czego udałem się do drugiego, gdzie przesiedziałem do wieczora. W ciągu dnia mój brat Franek i kuzyn Kazik powrócili z lasu i przyszli do tego samego domu. Inni członkowie najbliższej rodziny starali się znaleźć jakieś bezpieczne miejsce dla nas. Wieczorem przyszedł do nas mój kolega Janek Kołodziej, z którym najpierw udaliśmy się do stryja Stanisława, a potem do Łoguszów mieszkających daleko za miastem. Ludzie ci byli już uprzedzeni o naszym przyjściu - obiad był już dla nas na stole i łóżka w drugim pokoju były przygotowane. Mieszkaliśmy tam przez tydzień. W pierwszym dniu zaczęły budzić się wątpliwości, czy postąpiliśmy właściwie. Obaj moi towarzysze początkowo ciążyli ku myśli, aby dołączyć do swoich rodzin. Ja byłem innego zdania, co ostatecznie przeważyło. Nasi krewni, zwłaszcza ci z młodszej generacji odwiedzali nas nocami, aby pokrzepić nas na duchu. Moja ciotka postarała się o lekarstwo na moją twarz, co okazało się wybitnie skuteczne, bo w przeciągu tygodnia twarz zupełnie mi się oczyściła. W niedługim czasie musieliśmy stamtąd odejść w obawie przed najbliższym sąsiadem Łoguszów, o którym wiadomo było, że współpracował z sowietami. Odtąd zaczęła się nasza wędrówka od krewnych do krewnych, od znajomych do znajomych i od jednej miejscowości do drugiej. Brat Franek ustabilizował się dość szybko. Jako chłopak kilkunastoletni, bez żadnej "szkodliwej" przeszłości, ulokował się u stryja Stanisława i po pewnym czasie pokazał się na mieście. Nikt z miejskiej władzy nie pociągnął go do odpowiedzialności za ucieczkę z domu i cała sprawa powoli ucichła. Natomiast Kazikowi i mnie wszyscy doradzali żyć w ukryciu. Czasami byliśmy razem, czasami rozstawaliśmy się na krótszy lub dłuższy czas. Jednym z najbardziej udanych miejsc była leśniczówka w Dulibach, gdzie stryj Stanisław ulokował nas u mego dawnego

kolegi z gimnazjum, Franka Cygańczuka. Wioska ta wydawała się być jednym z najbezpieczniejszych miejsc w okolicy ze względu na swoją całkowicie polską ludność. Moim mieszkaniem był jeden z czterech pokoi w leśniczówce. Moimi współlokatorami był mój dobroczyńca, dziewczyna Jaga zajmująca się porządkiem w domu i od czasu do czasu mój kuzyn. Podczas jednej z jego wizyt postanowiliśmy udać się, on do Tłumacza, a ja do Lwowa w nadziei znalezienia bardziej stałego rozwiązania swojej sytuacji. Przy tej okazji odwiedziłem Basię, ale byłem tam tylko dwa dni i tylko dwukrotnie z nią się spotkałem. Nasze dawne bliskie stosunki wybitnie się rozluźniły, co zadecydowało o moim wcześniejszym wyjeździe ze Lwowa. W drodze powrotnej chciałem wstąpić do Tarnopola, aby spotkać się ze Staszkiem Schmidtem w sprawie ewentualnej ucieczki do Węgier, o czym rozmawialiśmy poprzedniej jesieni. Rozebrane tory nie pozwoliły mi tam dojechać. W wiosce pod Tarnopolem dowiedziałem się, że nie ma go w domu - prawdopodobnie był już za granicą. Z kolei wstąpiłem do Monasterzysk, gdzie korzystając z oparcia wielu kolegów i koleżanek chciałem znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Wpierw skierowałem swoje kroki do domu Zosi Swidzińskiej. Tam przyjęto mnie bardzo serdecznie. Pozostałem tam dwa dni, w którym to czasie spotkałem się z Zosią Marakówną, Aleksandrą Kardasiewicz i Janką Radłowską. Dwie pierwsze pracowały w fabryce, co w moim pojęciu było bardzo rozsądne z ich strony. Janka natomiast, jako patriotka o silnych uczuciach narodowych, nie chciała przyjąć żadnej pracy. Za moją poradą jeszcze w tym samym dniu udała się do fabryki i podjęła jakąś pracę w biurze. Przez nią próbowałem sam dostać tam pracę, ale ze względu na stosunkowo niedaleką odległość Jazłowca od Monasterzysk ta myśl wydawała się jej zbyt ryzykowną. Po pożegnaniu się z Zosią

i jej rodziną zatrzymałem się w następnym etapie mojej tury. Tym etapem oczywiście był Buczacz. Na ulicy spotkałem się z prof. Pelcem z którym zamieniłem parę słów na temat mojej sytuacji. Za jego poradą udałem się do ks. Dziurzyckiego, który przeniósł się wówczas ze swego prywatnego domu na parafię. Znowu porozmawialiśmy między sobą o wszystkim co nas mogło zainteresować, ale on też nie miał dla mnie żadnej konkretnej propozycji. Moim następnym przystankiem była wioska Trybuchowce, gdzie odwiedziłem kolegę, Kazia Switalskiego. Tam mnie przyjęto bardzo gościnnie, ale oni sami byli w trudnej sytuacji i nie było jakiejkolwiek mowy o zamieszkaniu tam nawet na krótki okres. Podobnie historia miała się u Zbyszka Starczewskiego, którego rodzina mieszkała w pobliskiej Cwitowie. Po tym wszystkim zdałem sobie ostatecznie sprawę, że mój status uciekiniera spod prawa zamienił mnie w osobę non grata i że w ostateczności będę się musiał zdać na własne siły. Akurat w tym czasie jakaś procesja wracała z odpustu, dołączyłem się do niej i późnym wieczorem doszedłem do Jazłowca. Tu znowu zaczęła się wędrówka od domu do domu i od rodziny do rodziny. Jedną noc u Strzeleckiej, inną u Uruskich, jeszcze inną u Jasia Kołodzieja, sam nie wiedząc u kogo powinienem a u kogo nie byłoby wskazane się ukrywać. Ostatecznie po kilku dniach zdecydowałem się szukać schronienia u krewnych w miejscowościach bardziej odległych od Jazłowca. Jako pierwszy punkt zaczepienia obrałem dom mojej kuzynki Mynci w Jagielnicy. Jak w każdym innym miejscu przez kilka pierwszych dni byłem tam mile widziany, ale po pewnym czasie stałem się dla nich ciężarem, jako niezbyt bezpieczny lokator i oczywiście jako wspólnik do ich niezbyt bogatej racji żywnościowej. W następnym miejscu, u mojej ciotki Stefanii w Tłustem, sprawa przedstawiała się podobnie. Po tygodniu mu-

siałem jednak opuścić miejsce i z braku innego punktu zaczepienia nocą wróciłem do Jazłowca. Podróżowanie po tych wszystkich miejscowościach było sprawą ryzykowną. Bez przepustki wydanej przez lokalne władze, łatwo było dostać się do więzienia, skąd ktoś w mojej sytuacji już byłby się nie wydostał. Dla uniknięcia tej możliwości, jeszcze podczas mego pobytu w Dulibach wyciąłem w desce identyczną kopię pieczątki jazłowieckiej sielrady. Przepustki były pisane ręcznie, wobec czego jej kopię i podpis łatwo było odrysować na papierze pod szkłem. Od tej pory faktycznie poruszałem się legalnie i wielokrotnie pokazywałem taką przepustkę przy zakupie biletów kolejowych, oraz przy okazyjnych kontrolach w pociągu.

W Jazłowcu nie pozostałem długo. Ostatecznie wróciłem do Dulib. Do leśniczówki w międzyczasie wprowadziła się rodzina leśniczego z Potoka Złotego, oraz żona naczelnika poczty. On sam zdążył ujść za granicę tuż przed przyjściem sowietów. Obie rodziny więc żyły razem pod opieką jednego mężczyzny i przy pomocy Franka Cygańczuka. Dom się bardzo zaludnił, jednak przybyło mi nowe towarzystwo, co bardzo urozmaiciło mi życie. Pewnego dnia nawet urządzono potańcówkę co było niebywałą rozrywką w moim nieustalonym trybie istnienia. Porobiłem też znajomości we wiosce. Między innymi poznałem Józka Kulczyka, młodego człowieka po maturze z którym szybko się zaprzyjaźniłem. Było u niego jedno jedyne radio w wiosce, wprawdzie kryształkowe, ale dostatecznie silne, aby przyłapywać wiadomości z zachodu. Niestety wiadomości te były coraz mniej pocieszające. Niemiecka ofensywa robiła szybkie postępy na froncie francuskim, co dla nas Polaków, było wybitnie deprymującą wiadomością. Dla mnie było to szczególnie przykre, ponieważ z tym wiązały się moje najbliższe losy. Każde niepowodzenie armii alianckich pozbawiało

mnie ostatniej nadziei przetrwania w ukryciu aż do wyzwolenia Polski. W tej rozterce ducha często błąkałem się myślą w nieznanym szukając jakiejś drogi wyjścia. Ostatecznie pozostawała mi tylko jedna możliwość zgłoszenia się do władz sowieckich i szukania u nich zrozumienia i rozwiązania mojego problemu. Z trzech możliwości - ujawnienia się i przyjęcia pracy, deportacji do Rosji i więzienia - to trzecie najbardziej mnie przerażało. W obawie przed murami tiurmy wstrzymywałem się od podjęcia jakiegokolwiek kroku, który w konsekwencji pozbawiłby mnie wolności.

Jednym z miejsc, gdzie spędzałem wiele samotnych godzin na rozmyślaniu był duży stary las, tuż przez drogę od domu. Tam wśród starych drzew, pod olbrzymią kopułą zieleni, znalazłem sanktuarium dla moich trosk i myśli, gdzie spokój natury wpływał kojąco na mój stan ciągłego niepokoju. Urok starego lasu, jego wspaniała przyroda i tajemniczość bezdennej ciszy stwarzały we mnie nastrój zapomnienia. Błąkając się po leśnych dróżkach lub siedząc na słonecznej polanie, oddawałem się innym myślom, które przenosiły mnie do świata wyobraźni, świata spokojnego życia oraz cudu wolności i bezpieczeństwa. Jednak złośliwy chochlik zawsze wracał z powrotem, a z nim szarzyzna moich codziennych kłopotów.

Czasami przy śniadaniu zwierzałem się z moich kłopotów Frankowi Cygańczukowi. On je rozumiał i nawet wziął na siebie rolę mego zaufanego doradcy. W jego ocenie dalsze ukrywanie się wobec niepowodzenia armii alianckich na zachodzie stawało się coraz bardziej problematyczne i coraz mniej uzasadnione. Im dłużej będę się ociągał z podjęciem jakiejś akcji kompromisu, tym bardziej drastyczne mogą być ich represje w stosunku do mnie i do ludzi u których by mnie znaleziono i aresztowano. Ten

drugi argument był szczególnie przykry dla mnie, bo mogłem narazić swoich dobroczyńców na wiele nieprzyjemności, nawet takich jak deportacja na Sybir.

Ostateczną konkluzją jego i moją była konieczność zgłoszenia się do urzędu NKWD w Potoku Złotym z prośbą o wydanie mi dowodu osobistego, celem podjęcia jakiejś pracy zarobkowej. Kiedy nasze myśli zbiegły się mniej więcej razem, Franek nawet zaangażował się aktywnie w mojej sprawie. Jako głowa /przewodniczący/ rady wiejskiej, jego kontakty z urzędnikami sowieckimi były dość częste. To dało mu możność zasięgnięcia pewnych informacji i wysondowania ich intencji w przypadku mojego zgłoszenia się do nich. Po kilku dniach dostałem od niego wiadomość, że moja sytuacja nie przedstawiała się zbyt tragicznie. W myśl wypowiedzi znanych mu urzędników istniała duża możliwość otrzymania pracy lokalnie, aż do następnej serii deportacji, kiedy odstawiono by mnie do rodziców. Takie rozwiązanie było o wiele lepsze niż moja obecna sytuacja.

Pewnego popołudnia czytałem książkę w swoim pokoju, kiedy do moich uszu doszedł niezwykły ruch na podwórku. Wyjrzałem przez okno, a przede mną ukazał się widok oficera NKWD wysiadającego z powozu. Moja myśl bezwiednie zaczęła szukać rozwiązania w tej sytuacji. "Trzeba uciekać" - to było wszystko co mi moja intuicja podszepnęła. Zaczekałem, aż nieoczekiwany gość w asyście gospodarza wejdzie do kuchni. Wtedy drugimi drzwiami wyszedłem na podwórko, przeszedłem przez drogę i ukryłem się w podszyciu lasu. To jednak nie dawało mi możliwości obserwacji tego co się działo w leśniczówce. Poszedłem trochę dalej, przekroczyłem drogę w odwrotnym kierunku i wszedłem do szopy, aż na sam szczyt nagromadzonej tam słomy. Siedziałem tam aż do wyjazdu gościa, obserwując przez dziurę w desce wydarzenia na podwórku.

Po wyjeździe oficera NKWD podszedłem do Franka, aby dowiedzieć się jaki był cel tej wizyty. Wyjaśnienie nie było zbyt jasne, ale mogłem się domyśleć, że tu chodziło o prywatne zapoznanie mnie z oficerem co mogło być przydatne w dalszym rozwiązaniu mojej sprawy. Narazie nic mnie nie groziło i nic specjalnego się nie działo, wobec tego nadal korzystałem z towarzystwa moich współlokatorów, oraz mego przyjaciela Józka Kulczyka. Akurat w tym czasie jedna ze sióstr Józka wychodziła za mąż i w ich domu miało się odbyć huczne wesele. Mnie, jako zadomowionego już gościa, też zaproszono na rodzinną imprezę, nawet w roli honorowego gościa. Takie wyróżnienie powinno było wpłynąć pozytywnie na moje samopoczucie - tak jednak nie było. Widok innych osób i rodzin biorących udział w weselu w radości i pogodzie ducha, był jak gdyby kolcem, który ranił moje sumienie i uczucia. Moje bóle i obawy nie trwały zbyt długo. Ktoś z gości dał mi musztardową szklankę wódki do wypicia, co kompletnie wyeliminowało mnie z weselnej grupy. Pod działaniem tak silnej dawki alkoholu straciłem przytomność i znalazłem się na słomie w stodole, jako pierwsza ofiara wódczanej zabawy.

Wieczorem poczułem, że ktoś mnie budził i starał się włożyć jakąś wiadomość do mojej na wpół przytomnej głowy. Kiedy ostatecznie zdałem sobie sprawę z tego co się dzieje koło mnie, zobaczyłem przed sobą miłą postać Krysi Jostównej, siostry Basi. Dziewczyna zrobiła chyba osiem kilometrów na piechotę, aby zobaczyć się ze mną w leśniczówce. Stamtąd ktoś ją skierował na wesele, gdzie zastała mnie na wpół przytomnego w stodole, na słomie.

Godzina była już późna, chyba szósta wieczorem. Dla niej była to najwyższa pora powrotu do domu. Dlatego zaoferowałem się odprowadzić ją do Jazłowca. Podczas długiego spaceru wśród zieleni bujnych łanów zboża, wśród okolicznych łąk, sadów i wiejskich chat

rozmawialiśmy o wielu sprawach. Najbardziej dominującą była sprawa mojej najbliższej przyszłości. Powtórzyłem jej wówczas moją rozmowę z Cygańczukiem i jej ostateczną konkluzję. Kiedy mówiłem o tym widziałem w jej oczach przerażenie a w słowach odczułem silną chęć wpłynięcia na zmianę mojej decyzji. Kiedy upierałem się przy tym, uważając takie postanowienie, jako jedyne rozsądne rozwiązanie mojej sprawy, widziałem jak łzy popłynęły jej z oczu. Dało się łatwo zauważyć że bardzo to przeżywała i była jak najgorszej myśli. Rozstaliśmy się w pewnej odległości od miasta, w jak najlepszej komitywie z nadzieją w sercu, że w najbliższym czasie spotkamy się znowu w nieco lepszych okolicznościach.

Od rodziców przyszło już kilka listów adresowanych do krewnych , w których uskarżali się na trudne warunki życia.W odpowiedzi na to, niektórzy zdobyli się na posłanie im paczek żywnościowych. Moja sytuacja nie pozwalała mi na udzielenie im materialnej pomocy. Mój młodszy brat Franek, ze względu na swobodę ruchów, oraz możliwości dostępu do rzeczy pozostawionych przez rodziców, był bardziej pomocny w tej sprawie. Jedyną rzeczą jaka leżała w moich możliwościach było pisanie do nich listów. Pod obcym nazwiskiem pisałem do nich dość często. Od nich otrzymywałem odpowiedzi drogą moich krewnych, gdzie było wiele treści o mnie i o Franku, ale nigdy nie wymieniano nas po imieniu. Listy ich do pewnego stopnia miały wpływ na moją ostateczną decyzję zgłoszenia się do NKWD, ponieważ zdawałem sobie sprawę z tego, że wiadomość o ewentualnym moim aresztowaniu na pewno by ich zasmuciła.

Moje dni na wolności były jednak już policzone.

Pewnego dnia Cygańczuk powiadomił mnie, że moją sprawę omówił już z oficerem NKWD, który spodziewa się mnie w najbliższym

czasie w swojej kancelarii. W myśl umowy między nimi, moja sprawa miała być załatwiona pomyślnie dla mnie. Zrozumiałem to, że w najbliższym czasie nie grozi mi możliwość aresztowania. Rankiem, jednego z tych pięknych i pogodnych dni czerwcowych, jakie się tylko zna na Podolu, wsiadłem na furmankę razem z Cygańczukiem, nie będąc wcale pewnym tego, że powrócę do leśniczówki. Moje przeczucie jak gdyby ostrzegało mnie przed tym krokiem, ale moja zmiana decyzji nie miałaby już wówczas uzasadnienia. Z żalem w sercu przejeżdżałem obok starego lasu, z którym się tak zżyłem przez ostatnich kilka tygodni. Smutno było mi patrzyć na bystre wody Strypy, płynące pode mną, kiedy przejeżdżałem po moście. Też bez większej radości patrzyłem na krajobraz po drugiej stronie rzeki, chociaż ten tak bardzo przypominał mnie okolice Jazłowca. Moje minorowe uczucia udzieliły się też Cygańczukowi, bo rzadko rzucił jakieś słowo i z obojętnością w oczach patrzył na otaczające nas widoki. On też musiał mieć wątpliwości co do zamiarów sowieckich urzędników, może nawet większe niż ja, ponieważ znał ich lepiej ode mnie.

Jeszcze przed południem furmanka wjechała na żwirowane ulice miasta jadąc jego główną ulicą, do mojego miejsca przeznaczenia. Kiedy zatrzymaliśmy się na rynku to miejsce było już niedaleko. Cygańczuk wskazał mi budynek NKWD i sam poszedł w inną stronę załatwiać swoje służbowe sprawy. Po jego odejściu, wciąż pełen wątpliwości, postanowiłem odszukać w mieście swoją koleżankę szkolną, Malcię Strauberównę, aby zasięgnąć jej zdania w mojej sprawie. Malci nie było w domu. Zastałem tylko jej matkę i jej młodszą siostrę. Zaproszono mnie do domu, gdzie posiedziałem kilkanaście minut rozmawiając z nimi na temat mojej decyzji. Matka miała wątpliwości co do szczerości zapewnień danych Cygańczukowi przez urzędnika NKWD. To w żadnym wy-

padku nie rozwiązywało mojej sytuacji. Byłem wtedy pewny tylko jednej rzeczy, czy chcę czy nie chcę muszę podjąć ryzyko. Wkrótce potem stanołem przed biurkiem jakiegoś umundurowanego urzędnika i prosiłem o widzenie się z jego przełożonym, którego nazwisko miałem na kawałku papieru. Upłynęło trochę czasu, aż w drzwiach zjawił się ten sam szczupły i wysoki oficer NKWD, którego widziałem przeszło tydzień temu na leśniczówce. Nasza rozmowa odbyła się w jak najbardziej przyjaznym tonie. We mnie wstąpiła otucha, że za godzinę znajdę się na ulicy z papierkiem w ręku, który upoważni mnie do normalnej egzystencji wśród świeżo uznanych obywateli sowieckich. Nieco zdziwiło mnie to, że ociągał się z wydaniem mi tego papierka i często dawał wymijające odpowiedzi na moje pytania odnoszące się do tej sprawy. W końcu wstał od biurka i kazał mi pójść do pobliskiego budynku milicji i tam czekać aż mnie ponownie wezwie. Idąc ulicą widziałem w pobliżu ten budynek, będąc niemal pewny, że już dostałem się w ręce swoich prześladowców. Popatrzyłem wtedy w lewo i prawo szukając jakiejś ucieczki. Ale naprzeciw mnie w niedalekiej odległości stał milicjant z karabinem w ręku, czekając aż podejdę do niego. Podszedłem do niego i usłyszałem stereotypowe sowieckie wezwanie : "Chodź ze mną !".....

WIĘZIENIA I ŁAGRY

Zewnętrzne drzwi budunku milicji zamknęły się z trzaskiem za mną i moim konwojentem. Instytucja tego rodzaju jak areszt w Potoku Złotym miała już ustaloną procedurą, która mnie nie mogła ominąć. Dość obszerny pokój kancelaryjny, wielkie portrety Lenina i Stalina na frontowej ścianie, duży stół w pośrodku pokoju i kilka krzeseł przy nim, oraz dwóch milicjantów to był pierwszy widok mego nieuniknionego doświadczenia. Od razu spotkałem się z arogancją ludzi, którzy albo posiadali, albo wyrobili w sobie charakter człowieka-policjanta, okazującego swoją wyższość wobec osoby nagle pozbawionej wolności. Proces przyjęcia mnie i zarejestrowania był wprawdzie nieprzyjemny, ale w zasadzie krótki i prosty. Kilka ustalonych pytań, osobista rewizja, skonfiskowanie dokumentów, pieniędzy, paska i nawet sznurowadeł do butów i na zakończenie mój podpis na jakimś świstku papieru. Potem rozkaz do wyjścia i krótka droga wzdłuż korytarza do ciemnych drzwi z okienkiem na wysokości oka ludzkiego. To co było poza tymi drzwiami było dla mnie proste i oczywiste: "cela lokalnego aresztu". Ciche echo mojej wizji jutra powtórzyło to dosłownie, kiedy ciemne drzwi z przenikliwym zgrzytem otwarły się przede mną. Za tymi drzwiami znalazłem to, czego obawiałem się szereg miesięcy ukrywania się po ludziach. Przeklęta cela więzienna, która według moich danych poglądów służyła wyłącznie jako

narzędzie kary dla pospolitych przestępców. Od czasu, kiedy pierwsi Polacy znaleźli się za murami sowieckich więzień moje pojęcie tego terminu zmieniło się diametrycznie. Areszt czy więzienie stało się wówczas miejscem kaźni dla niewinnych ludzi. Stojąc w drzwiach, w obliczu twardej rzeczywistości, jeszcze bardziej upewniłem się w tym przekonaniu.

W ciemnej , dusznej i bezkształtnej przestrzeni powitały mnie dwie pary oczu odbiciem dziennego światła w ich źrenicach . Za mną usłyszałem zgrzyt zamykających się drzwi i suchy dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Powoli z szarzyzny przestrzeni zaczęły wyłaniać się kształty ludzi i zarysy wewnętrznych przedmiotów. Duże żelazne łoże w pośrodku iokno w bocznej ścianie, dopuszczające tylko nieznaczną ilość światła. Poza tym brudne ściany z opadającym tynkiem i chwiejące się deski podłogi. To było wszystko co mój wzrok zdołał uchwycić na pierwszy rzut oka.

Dwie postacie ludzkie przedstawiały bardziej interesujący przedmiot mojej bezpośredniej obserwacji.

Do moich uszu dochodzą dźwięki ukraińskiej mowy - słowa padają od jednego lub drugiego. Mój umysł jest jakby odurzony, słyszę ich głosy, ale nie rozumiem tego co oni mówią. Ich ukraińskie dźwięki nagle zamieniają się w polskie słowa. To z miejsca daje mi do zrozumienia, że moi przypadkowi towarzysze to Ukraińcy. Natychmiast budzi się we mnie pytanie "dlaczego oni?" Nie mogę zrozumieć dlaczego ci bliscy współpracownicy sowietów znajdują się pod zamknięciem. Może pospolici przestępcy, ale oni na to nie wyglądają.

Odpowiedź na moje pytanie przyszła dopiero później.

Niemal natychmiast po moim oswojeniu się z widokiem celi, drzwi się znowu otworzyły przy dźwiękach znanego mi już zgrzytu.

"Wychody wsiej czas!" osoba stojąca przed drzwiami zawołała natychmiast po wywołaniu mojego nazwiska.

Przez otwarte drzwi budynku każą mi wyjść na zewnątrz."Może zdecydowali się wypuścić mnie na wolność," budzi się we mnie nieuzasadniona myśl nadziei. "Płonne życzenia..." odzywa się przykra rzeczywistość na widok białego budynku z czerwoną flagą na dachu. Znowu budzi się we mnie uporczywe uczucie nadziei: "Może po następnym przesłuchaniu jednak puszczą mnie na wolność."

Znowu pokój kancelaryjny, większy i lepiej urządzony. Znowo biurko i fotel, oraz portrety Lenina i Stalina, dominujące urządzenia pokoju. Przed biurkiem jest nawet krzesełko dla mnie. "Sadiś," słyszę głos za biurkiem. Poznaję jego twarz - jest to ten sam enkawudzista, który przyjął mnie wcześniej rano. Widzę. że się uśmiecha do mnie i nawet częstuje mnie papierosem. Pada kilka osobistych pytań i widzę jak moje odpowiedzi są zapisywane na świstku papieru. Nagle po jednej z moich przeczących odpowiedzi jego nastawienie się zmienia. Pytania są rzucane szybko i ostro. Jego podniesiony głos wypowiada przeklęcia i groźby. Każda moja odpowiedź tylko potęguje jego gniew. Za sobą słyszę szmer otwieranych drzwi i uderzenia obcasów o podłogę. Odwracam się lekko do tyłu i z ukosa widzę kontury dwóch osób w zielonych mundurach. Zdaję sobie sprawę z tego, że do kancelarii weszło dwóch oficerów NKWD. Na razie stoją spokojnie i słuchają.

Oficer za biurkiem wciąż krzyczy i grozi na każdą moją przeczącą odpowiedź.

Jak przez sen słyszę zarzuty posiadania broni, należenia do polskiej podziemnej organizacji i szpiegowania na rzecz burżuazji Zachodu. Na dowód ostatniego oskarżenia pokazują mi kartkę znalezioną w moim ubraniu podczas rewizji. Wyjaśniam im, że są

to zapiski wiadomości wziętych z ich radia.

Oni mnie nie słyszą, albo nie chcą słyszeć. Cały czas wołają "Mów prawdę, mów prawdę."

Po mojej przeczącej odpowiedzi na jedno z ich pytań, czuję silne uderzenie pięścią w twarz. Przewracam się razem z krzesłem na podłogę. Jeden z nich każe mi się podnieść. Ledwie uniosłem się na nogach z obu stron znowu padają uderzenia. Staram się uchronić twarz i głowę wyciągniętymi ramionami. To nie wiele pomaga, od czasu do czasu ich pięści dosięgają swego celu.

Po tej nawałnicy uderzeń nagle następuje cisza. Oficer za biurkiem każe czekającemu milicjantowi odprowadzić mnie do aresztu. Po drodze ocieram twarz. Na ręce widzę ślady krwi i czuję obolałe miejsce w okolicy ust. W kilka minut później jestem z powrotem w celi i siadam na krawężniku, jedynego barłogu na celi. Nawet nie patrzę na swoich współtowarzyszy. Dla mnie w tej chwili oni nie istnieją. To nie trwa długo, powoli dochodzę do siebie. W czasie tego słyszałem tylko ciche szepty, jakie moi towarzysze wymieniali między sobą. Upłynęło chyba piętnaście minut zanim starszy z nich przemówił do mnie. On starał się mnie pocieszyć, że tego rodzaju przesłuchanie jest wcześniej czy później doświadczeniem każdego więźnia. W czasie rozmowy poznałem ich bliżej. Starszy musiał być w wieku późnej czterdziestki, lub wczesnej pięćdziesiątki. Młodszy w myśl mojej oceny nie przekroczył jeszcze dwudziestu lat.

Po mojej krótkiej wypowiedzi na temat mojego przestępstwa wobec systemu sowieckiego, ich języki też zaczęły się rozwiązywać, aczkolwiek żaden z nich nie wynurzył się do dna ze swoich grzeszków. Ich wypowiedzi były nie jasne i zawikłane, ale z tego co usłyszałem mogłem zrozumieć, że zarzucano im należność do podziemnej organizacji ukraińskiej. Też nie powiedzieli

tego, czy ich organizacja miała zabarwienie komunistyczne czy nacjonalistyczne - niewątpliwie drugie miało więcej uzasadnienia. Za czasów rządów Polski kultywowanie uczuć narodowych i własnej kultury było tolerowane, natomiast w myśl prawa sowietów był to kryminał. Oni zrozumieli to trochę za późno, a zwłaszcza starszy z nich. Tuż po przyjściu sowietów nawet poczuł się w obowiązku służenia oswobodzicielom Ukrainy. Nowi władcy przyjęli go z otwartymi rękoma i nawet dali mu odpowiedzialną funkcję komendanta milicji. Jego początkowa współpraca i wykazane dobre chęci, niewiele mu jednak pomogły. Dawne jego przekonania nacjonalistyczne nie uszły uwagi jego nowych przełożonych. Pewnego dnia kazano mu wyspowiadać się z całej jego przeszłości. Za wyznane winy wsadzono go do aresztu i niemal każdej nocy szukali dalszych informacji, aby wyłowić tych, którzy zatailli się gdzieś po kątach.

Następnego dnia rano milicjant znowu wywołał moje nazwisko. Znów prowadzono mnie tą samą trasą do białego budynku. Tym razem kazano mi wejść do innej kancelarii. Przy biurku siedział znany mi już z poprzedniego dnia oficer. Od mojego współtowarzysza i byłego komendanta milicji, dowiedziałem się, że był to sam naczelnik NKWD, Soroka. Skinieniem ręki kazał mi usiąść na krześle, przed biurkiem. Po doświadczeniu z dnia poprzedniego, spodziewałem się następnej serii wyzywań i rękoczynów. Podczas stosunkowo łagodnego przesłuchiwania odezwał się dzwonek telefoniczny. Z jego krótkiej rozmowy zrozumiałem, że został nagle wezwany przez kogoś. Po odłożeniu słuchawki skinął na milicjanta i kazał mu odprowadzić mnie do aresztu.

To bardzo krótkie, a przy tem bezbolesne przesłuchanie było moim ostatnim spotkaniem z oficerami służby bezpieczeństwa w Potoku Złotym. W tym czasie jednak nie wiedziałem, że ich

zainteresowanie się moją osobą zmalało do zera. Dlatego, kiedykolwiek klucz zazgrzytał we drzwiach budziła się we mnie obawa, że chcą znowu zaprowadzić mnie do białego budynku. Moi współtowarzysze natomiast mieli tych wezwań i przesłuchiwań, aż za dużo. Noce z reguły były dla nich ciężką przeprawą. Często wracali nad ranem z sińoami na twarzy i śladami krwi. Ich niedawni sprzymierzeńcy i oswobodziciele nie kierowali się wcale uczuciami braterstwa, jeśli w grę wchodziły sprawy polityczne. Tego rodzaju przesłuchiwania doprowädziły starszego do psychicznego załamania. W ciągu dnia chodził dookoła oeli i często wołał płaczliwym głosem "szczo ja zrobyw, szczo ja zrobyw". Czasami zatrzymywał się przy mnie i pytał w jaki sposób popełnić samobójstwo. Najczęściej groził roztrzaskaniem głowy o ścianę. Do tej skrajnej ewentualności jednak nie doszło. Dzieki swojej wcześniejszej służbie, wszyscy milicjańci byli jego dobrymi znajomymi. Poprzez nich kontaktował się z zewnętrznym światem, a w szczególności ze swoją rodziną. Za ich pośrednictwem otrzymywał wiądomości z domu, oraz bieliznę i artykuły żywnościowe. Korzystając z tej nieoficjalnej poczty, przesłałem wiadomość o sobie do stryja Stanisława, prosząc go równocześnie o odzież i żywność. W kilka dni potem dostałem cały komplet odzieży łącznie z kurtką i nieco żywności. Również nad moim zaopatrzeniem czuwała matka mojej gimnazjalnej koleżanki, Malci Strauberównej. Co pewien czas otrzymywałem od niej gorącą strawę i chleb. Wprawdzie w tym czasie nie byłem jeszcze wygłodzony, ale za ciepłe w domu przygotowane potrawy czułem dla tej osoby, ledwie mi znanej, głęboką wdzięczność.

Każdy więzień ma swój własny świat ukrytych myśli, którymi wypełnia godziny bezczynności. W moim wypadku świat tego rodzaju towarzyszył mi stale i wszędzie. On był ze mną kiedy spacerowałem na podwórku więziennym i kiedy patrzyłem w kawałek

otwartego nieba przez zakratowane okno. Często poddawał mi myśli rozwiązania moich problemów, najczęściej całkowicie nierealne. Kiedy spacerowałem pod nadzorem strażnika i patrzyłem na świeżą zieleń, oraz otwartą przestrzeń pola przychodziła mi myśl, aby przeskoczyć przez parkan i biec na przełaj do lasu, gdzie czekała na mnie utracona wolność. Jednak zdrowy rozsądek zawsze powstrzymywał mnie od tak ryzykownego kroku. Poza tym nawet w wypadku udanej ucieczki powstawało pytanie: "A potem co?"

Pewnego dnia klucz zazgrzytał w zamku, drzwi się gwałtownie otworzyły i na celę wleciał jakiś mało rozgarnięty człeczyna. Z jego przybyciem stan więźniów na celi powiększył się o jedną osobę. Tym razem był to istotnie pospolity przestępca z jakiejś zapadłej, ukraińskiej wioski. Człowiek ten chudy, zarośnięty, z nieuczesanymi włosami i niespokojnymi oczyma z miejsca usiadł sobie w kącie celi. Moi współtowarzysze wnet się z nim dogadali. Przysłuchując się ich rozmowie dowiedziałem się, że ten człowiek w płóciennej koszuli i portkach zdobył się na niesamowicie ryzykowne przedsięwzięcie. Akurat w tym czasie dostarczano sól do kooperatywy. On i jego koleżka postanowili zaopatrzyć się w ten ciągle brakujący artykuł na dłuższy czas. W ciągu nocy, przez dach wkradli się do sklepu i w chwili przenoszenia worka ktoś zaalarmował sąsiadów. Jego wspólnik zdołał uciec, a jego złapano na gorącym uczynku.

Teraz we czwórkę byliśmy stałymi mieszkańcami małej, szarej i ciemnej celi, razem dzieląc jedno duże łoże z jednym słomianym siennikiem. Czasami wrzucano kogoś na godzinę lub dwie, a nawet na całą noc. Byli to czasowo przetrzymywani mężczyźni, których po przepytaniu i sprawdzeniu dokumentów, wypuszczano

na wolność. Taki stan rzeczy utrzymywał się do czasu mojego wyjazdu.

Rankiem, pewnego dnia, wywołano starego Ukraińca, mnie i pospolitego złodzieja i kazano zabrać swoje osobiste rzeczy. Tuż przed wyjściem z budynku jeden z milicjantów wręczył mi bochenek chleba i kilkadziesiąt rubli. Cały ten przekaz, jak się później dowiedziałem, pochodził od Malci Strauberównej. Na przejeździe między budynkami czakała już na nas furmanka, a przy niej dwóch, uzbrojonych milicjantów.

Dzień był szary i ponury, który swoim wyglądem upodobniał się do naszych wewnętrznych nastrojów. Nędzne wiejskie koniki z wielkim wysiłkiem ciągnęły ludzki ciężar szutrowaną drogą, czasami uginając swoje grzbiety w kabłąk, aby podołać swemu zadaniu. Czasami szosa wznosiła się do góry, czasami spadała na dół do jaru. Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy wśród rzędu chat pokrytych słomą, albo raczyliśmy się widokiem bujnych lasów i otwartych pól. Na widok zboża i zieleni znowu budziła się we mnie myśl, aby chwycić za karabin, wyrwać go milicjantowi z ręki i uciec w ciemny, liściasty las. Ale zdrowa myśl zdecydowanie odciągała mnie od tego, powtarzając to samo pytanie: "A co potem".

Pod koniec podróży zaczęłem rozpoznawać znajome mi okolice Buczacza. Pałac Potockich, na pewno zamieszkały już przez innych panów, wysoki kamienny most nad strumykiem i główną ulicą Kolejową.Jadąc tą ostatnią obserwowałem ludzi na ulicy w nadziei, że rozpoznam jakąś znajomę twarz. Na całej jej przeszło kilometrowej długości, nie rozpoznałem nikogo znanego mi z gimnazjalnych czasów. Objechaliśmy rynek z jego słynnym ratuszem, przejechaliśmy most na Strypie i znaną mi ulicą na Fedor, nędzne, wiejskie koniki zawiozły nas do bramy

buczackiego więzienia.

Obok tego więzienia przechodziłem wielokrotnie, ale nigdy nie doszło do mojej świadomości, że za jego fasadą mieści się cały kompleks małych, zakratowanych pomieszczeń, z małymi okienkami wychodzącymi na drugą stronę. Nim dostałem się do jednego z tych pomieszczeń, wpierw musiałem przejść nieuniknioną osobistą rewizję i potem pod nadzorem strażnika przejść niemal cały korytarz. Przechodząc obok zakratowanych ścian poszczególnych cel, nie widziałem nikogo w ich wnętrzach. Wyglądało na to, że więzienie było zupełnie puste.

Niemal jak w hotelu, dostałem cały pokój dla siebie. W rogu miałem barłóg wyłącznie do mego użytku, a okno chociaż zakratowane dawało mi szeroki i otwarty widok na kościół parafialny, zamek, Strypę, oraz na plac, gdzie niejednokrotnie oglądałem pokazy przejezdnych cyrków. Następny dzień był dniem kościelnego odpustu w Buczaczu. Mając cały kościół na widoku, miałem okazję wysłuchać Mszę Swiętą odprawianą na dworze i wysłuchać kazania ks.Staufera, kapelana lokalnej szkoły powszechnej. Słyszałem wyraźnie każde jego słowo, jak gdyby było mówione bezpośrednio do mnie. Na ten widok obudziły się we mnie refleksje i żal za tymi studenckimi czasami, kiedy niemal codziennie byłem w kościele i niemal codziennie przechodziłem obok widoków, na które teraz patrzyłem spoza kraty więziennej.

Mój pobyt w tej wygodnej celi był bardzo krótkotrwały. Już w następnym dniu rozpocząłem swoją dalszą wędrówkę w kierunku mego przeznaczenia. W godzinach porannych wyprowadzono nas z więzienia. Ku mojemu zdziwieniu liczba więźniów powiększyła się do pięciu - dwóch dodatkowych musiało być ukrytych w jakimś zakątku, który uszedł mojej uwadze, kiedy przechodziłem korytarzem. Tym razem środkiem więziennej lokomocji była czarna zakratowana karetka z oddzielnym przedziałem dla kon-

wojenta i kierowcy. Podróż trwała krótko - może tylko pół godziny. W ciasnocie i zaduchu pojazd wiózł nas w gorący dzień lipca do więzienia czortkowskiego. Po drodze przez okno kierowcy docierały do mnie urywki całkowicie nierozpoznawalnych dla mnie krajobrazów.

Karetka zatrzymała się przed żelazną bramą, widzianą przeze mnie tylko w małych fragmentach. Po chwili dotarła do mnie rozmowa konwojentów ze strażnikami więzienia. Krótka konferencja i pojazd powoli wjechał na podwórko wewnątrz więziennych murów. Zaraz po wyładowaniu nas z karetki rozpoczęła się procedura przyjęcia do więzienia. W wypadku moich współtowarzyszy cały proces odbył się bez żadnych problemów. Wyczytano ich nazwiska, sprawdzono osobiste dane i potwierdzono wszystko znanym mi już słowem "da". Moja sprawa nie przeszła tak łatwo. W moich papierach zrobiono mnie młodszym o całe dwa lata. Chciałem na miejscu to sprostować. W odpowiedzi na to spotkałem się z zarzutem strażnika, że kłamię. Potem w ostrych słowach kazał mi uznać moją nową datę urodzenia jako jedyną i właściwą datę. Wobec takiej jego postawy nie pozostało mi nic innego tylko pogodzić się z moimi młodszymi latkami.

Całą piątkę nowo-przyjętych więźniów wrzucono do małej, wąskiej celi, gdzieś w podziemiach budynku, oświetlonej ledwie żarzącą się żarówką. W ciągu dnia, co pewien czas dorzucano innych wieźniów. Ostatecznie na noc znalazło się w tym pomieszczeniu jedenaście osób.W celi zrobiło się ciasno i duszno. Powoli zaczeliśmy zdejmować części swojej garderoby, pozostając ostatecznie tylko w bieliźnie. W ciągu dnia podano nam dwukrotnie rzadką, cuchnącą zupę, której nie mogłem przyjąć. Wypiłem tylko jakiś zabarwiony płyn, który miał uchodzić za herbatę i zjadłem kawałek swojej porcji chleba.

Rano strażnik powiadomił nas, że przed dalszym zadysponowaniem nami, przejdziemy obowiązującą kąpiel. Z powodu braku wody w łaźni zamiar ten został porzucony. Zaczęto więc dzień od rozprowadzania nas po celach. Z workiem i strachem na plecach, uzbrojony w cierpliwość maszerowałem długim, ledwie oświetlonym korytarzem. Po drodze mijałem szereg czarnych drzwi ciągnących się po obu stronach, każde posiadające mały otwór na wysokości oczu człowieka. Uderzenie moich butów o kamienną posadzkę rozlegało się głuchym echem w głębokiej i ciemnej przestrzeni niewidocznego końca. Wreszcie głośny rozkaz strażnika do zatrzymania się. Przed sobą zobaczyłem wyraźny numer 23 na czarnych drzwiach.

Nic innego tylko cela więzienna 23-cia z kolei na poziomie pierwszego piętra. Zgrzyt klucza w zamku, wolno otwierające się drzwi okute blachą i przerażający widok piekielnych czeluści. Nagle poczułem jak jakaś niewidoczna ręka popchnęła mnie do wnętrza szarej, zadusznej przestrzeni. Niemal natychmiast klucz znowu zazgrzytał w zamku i drzwi z trzaskiem zamknęły się za mną. Przez chwilę stałem oniemiały, przerażony widokiem ludzkiej masy, leżącej na podłodze u moich nóg. Blade, niemal wapienne twarze, głębokie oczodoły i powiększone źrenice wlepione we mnie jak w jakąś niespodziewanie przybyłą nadziemską zjawę. W tej krótkiej chwili milczącego stania nie byłem pewien co mam ze sobą zrobić.

Ktoś z leżących musiał zauważyć moją niezdecydowaną minę. Jedna z białych postaci uniosła się z podłogi i podeszła do mnie. Usłyszałem jej męski głos, który kazał mi usiąść na podłodze. Popatrzyłem na przestrzeń przede mną zasłaną białymi duchami i nie mogłem dostrzec ani odrobinę wolnej przestrzeni. W końcu kucnąłem na tym samym miejscu, gdzie stałem - tuż przed

samymi drzwiami. Po chwili, jakiś pan w bieliźnie o bladej, ale inteligentnej twarzy powstał ze swego miejsca pod ścianą i podszedł do mnie. Czułem jak wziął mnie za rękę i przez leżące ludzkie ciała prowadził mnie do swego miejsca. Przykucnąłem na końcu jego siennika. Pan ten spokojnym głosem i jak najlepszą polszczyzną zaczął wypytywać mnie o wiadomości ze świata. To co przyniosłem ze sobą było co najmniej o trzy tygodnie przestarzałe, ale dla niego wydawało się być nowością. W pewnym momencie moich zwierzeń poczułem lekkie uderzenie łokciem w plecy. Obejrzałem się i zobaczyłem wpatrzoną we mnie twarz człowieka o ciemnym zaroście i czarnych włosach, który mrugał do mnie okiem. Od razu zorientowałem się, że ktoś ostrzega mnie, aby być ostrożnym w rozmowie. Jak później dowiewiedziałem się człowiek, który wypytywał mnie o nowości, nazywał się Matiaszek, był z zawodu lekarzem i przed aresztowaniem pełnił zaszczytną funkcję ukraińskiego posła w kijowskim sejmie.

Znowu stałem się świadkiem nieudanej współpracy ukraińsko-sowieckiej. Przed wojną wiedzieliśmy doskonale, że szowiniści tej mniejszości narodowej kokietują zarówno Sowietów jak i Niemców prowadząc wybitnie anty polską politykę. Pierwszy z ich "oswobodzicieli" dał im wolną, sowiecką Ukrainę, ale za to żądał całkowitego podporządkowania się ich systemowi. Wielu poszło tak daleko w swojej współpracy, że sięgnęli po wysokie funkcje w nowej administracji. Jednak ich dobre chęci to była tylko drobna część tego, co sowieci od nich żądali. Najważniejszą dla nich sprawą była czysta karta, sięgająca wstecz aż do daty urodzenia. Tego rodzaju kartą tylko niewielu mogło się pochwalić.Ich zainteresowania polityczne idące po linii niemieckiego nacjonalizmu od chwili wejścia sowietów na tereny

polskie, stały się grzechem nie do wybaczenia.
Ledwie odstąpiłem od niego, dwóch innych panów zaprosiło mnie do siebie. Podążyłem więc w ich kierunku, starając się ominąć na wpół nagie ciała na podłodze. Miejsca, które oni zajmowali należały chyba do najlepszych na celi. Trudno byłoby wyobrazić sobie coś lepszego niż siennik pod ścianą między obydwoma oknami celi. Już po pierwszych słowach wyczułem, że rozmawiam z prawdziwymi Polakami. Obaj pochodzili z powiatu zaleszczyckiego, pierwszy z nich, inż.Pocztar, pełnił jakąś funkcję w urzędzie powiatowym, a drugi nazwiskiem Makowski był kierownikiem szkoły powszechnej w jakiejś małej wiosce.Rozmowa z nimi układała się szczerze i otwarcie, utwierdzając mnie w przekonaniu, że żaden z nich nie sprawował ubliżającej funkcji ukrytego szpiega. Szybko nawiązałem z nimi bliższy kontakt. Wprawdzie na celi było niemal czterdziestu ludzi, z czego większość stanowili Polacy, ale robienie bliższych znajomości z innymi mogło być tylko przypadkowe i czasowe. Już w pierwszym dniu rozmawiałem z kilkoma na utarty temat świeżych wiadomości ze świata. Po odbyciu tej tury stałem się na tyle znaną osobistością, że przy poparciu bardziej wpływowych osób dostało mi się miejsce na środku celi, niedaleko Pocztara i Makowskiego. Było to dla mnie duże osiągnięcie, bo obawiałem się, że z konieczności będę siedział pod drzwiami lub zapcham się w bardzo niemiły kącik pod klozetem.
Miejsce wydawało się na ogół wygodne i bezpieczne, ale już pierwszej nocy stałem się ofiarą ludzkiej nieuczciwości. W czasie nocy mój dotychczas nietknięty bochenek chleba znikł całkowicie ze szczelnie zawiązanego worka. Tylko drobne okruchy pozostały na jego dnie. Ktoś z moich sąsiadów musiał wyrobić lub w sobie wykryć wybitne zdolności złodziejskie i zastosował

je wobec mnie. Rano każdy mi współczuł, ale nikt nie starał się wchodzić w tę sprawę. Zresztą ja doskonale rozumiałem sytuację. Gdyby nawet wykryto sprawcę, nie byłby on w stanie powetować mojej straty.

Moje współżycie z sąsiadami przez głowę, Pocztarem i Makowskim, układało się przyjemnie i przyjaźnie, chociaż dla wielu przyczyn raczej lgnąłem ku Pocztarowi. Człowiek ten o dużym zasobie wiadomości i o jeszcze większym wyrobieniu życiowym mógł naprawdę zaimponować takiej młodej osobie jak ja. Dyrektor Makowski, jak go ogólnie nazywano na celi, był do pewnego stopnia dziwakiem na punkcie religijnym. Jeszcze przed moim przyjściem uznał się za duchowego przewódcę. Codziennie rano i wieczorem prowadził wspólne modlitwy, a w niedzielę improwizował jakiś rytuał, który miał zastąpić Mszę Swiętą. Tego rodzaju dewocja w naszych okolicznościach miała absolutne uzasadnienie i każdy z nas łączył się z nim w jego modlitwach. Inne cechy jego charakteru były trudniejsze do przyjęcia, a zwłaszcza jego plotkarskie tendencje i nieustanne użalanie się nad losem rodziny wywiezionej na Syberię. Jednak w grupie ludzi, zamkniętych w małym pomieszczeniu trzeba było iść na kompromisy, aby nie zrobić piekła w miejscu, które samo nie odbiegało daleko od skrajnych nizin życia ludzkiego.

Z każdym dniem moje znajomości w tym więziennym społeczeństwie coraz bardziej się poszerzały. Prawie wszystkie ograniczały się do najliczniejszej grupy polskiej, w dużym stopniu dla tej zasadniczej przyczyny, że ona składała się z inteligentnych ludzi. Adler, zarządca majątku, czy Wilk, student prawa na uniwersytecie lwowskim, czy Kulczycki, nauczyciel, wszyscy reprezentowali pewien poziom umysłowy, który imponował nie tylko mnie, ale też wszystkim więźniom

na celi.

Grupa ukraińska była zdecydowanie mniejsza. Oprócz dr.Matiaszka i jego przyjaciela Gila, kleryka grecko-katolickiego, reszta to byli albo pospolici przestępcy albo zawiedzeni kolaboranci z sowietami. Wśród nich nie widziało się ani wspólnoty ani współżycia. Prawdopodobnie dwóm inteligentom trudno było znaleść wspólny język z ich niższą klasą, a zwłaszcza jeśli oni reprezentowali stronę niezbyt moralną.

Żydowska grupa składała się tylko z dwóch osób. Jedną z nich był adwokat z Zaleszczyk Wielkich, którego jedynym przestępstwem było to, że za czasów polskich przegrał sprawę jednego z lokalnych komunistów. W zmienionych okolicznościach ktoś zdecydował, że powinien ponieść tego konsekwencje. Drugim był komunistyczny aktywista, którego oskarżono o sprzeniewierzenie funduszów partyjnych.

Reszta składała się z Rumunów, uciekinierów ze swego kraju. Każdy z nich, ulegając błędnej propagandzie, przeszedł przez granicę w nadziei otrzymania ziemi z parcelowanych "latyfundiów" po polskich panach. Teraz zawiedzeni w swoich nadziejach, siedzieli przy sobie w jednej kupce i rozmyślali nad swoim losem. Było też kilku nierozpoznawalnych co do ich narodowości i przestępstwa. Oni byli widoczni, ale o nich prawie się nie mówiło. Jeden z nich nazywał się Wołk, wyglądał jak osoba niedorozwinięta i przez cały dzień siedział pod kocem, nie odzywając się do nikogo. Podobno zatrzymano go na drodze bez żadnych dokumentów i oskarżono go o szpiegostwo. Pospolici przestępcy nie czuli się zbyt pewnie w grupie, złożonej przeważnie z inteligentów. Wprawdzie nigdy nie stworzyli jednolitej zwartej grupy, ale w codziennych sprawach ciążyli ku sobie. Tylko czasami ukazywali się na widowni i wów-

czas byli nieprzyjemni i uciążliwi dla pozostałych. Ich prowodyrem był Ukrainiec Mikita, pochodzący z Ułaszkowiec, który jeszcze przed wojną nabrał doświadczenie życia więziennego. Po wkroczeniu sowietów natychmiast przyjął funkcję komendanta milicji, co dało mu możność przysporzenia sobie majątku. Jakiś niezadowolony wspólnik wsypał go przed władzami sowieckimi i w wyniku tego powędrował do kryminału. Na celi więziennej uważano go za szubrawca. Chcąc zaskarbić sobie względy u władz więziennych przyjął na siebie obowiązki kapusia i donosił im wszystko co się działo na celi.

Był też niejaki Sobota, narodowości polskiej, który co kilka dni pukał do drzwi i co kilka dni był wywoływany do naczelnika. Często po takim wezwaniu strażnicy wpadali na celę i robili szczegółową rewizję. Celem ich poszukiwań były noże, igły, szachy, karty itp.,wszystko produkcji wieziennej. Czasami przysyłano na celę wędrownych kapusiów /donosicieli/, którzy z reguły nie przebywali długo na jednym miejscu. Z czasem ich nazwiska stały się znane i gdziekolwiek oni zawitali więźniowie od razu wiedzieli jaka była przyczyna przydzielenia ich do tej, czy innej celi.

Bezczynność i monotonia życia były najbardziej uciążliwe dla każdego z nas. Wszyscy szukali takiego rodzaju zajęcia, aby ich działalność nie została dostrzeżona przez strażnika. Przy takiej ilości razem ściśnionych ludzi, wiele rzeczy musiało ujść jego uwadze, tym bardziej, że sprawdzanie celi odbywało się sporadycznie.

Wiekszość z nas zajmowała się szyciem. Do tego służyły igły zrobione z drutu niewiadomego pochodzenia oraz nici wyciągane ze szmat. Z fachem tym zapoznałem się dość szybko i korzystając z osiągalnej igły uszyłem sobie pantofle z moich sta-

rych i rozlatujących się spodni narciarskich. Inni kręcili sznurki, też z wyciągniętych nici, lepili cygarniczki z chleba, kleili szachy z tego samego cennego materiału, lub cieli pudełka od zapałek i malowali karty do gry. W ten sposób stałem się właścicielem kart i szachów.

Regulamin więzienny nie pozwalał na tego rodzaju rozrywki jak gra w karty lub szachy. Dlatego tego rodzaju urozmaicenie życia musiało odbywać się ukradkiem. Przestępcy pospolici mieli swoje zabawy, bardzo proste i nieprzyjemne. Zwyczaj ten podobno przechował się wśród nich jeszcze z czasów przedwojennych. Każdy z nowo-przybyłych z reguły przechodził przez ich ręce i dla przejścia chrztu musiał przejść przez obskurną zabawę, ku radości niektórych więźniów. Mnie to szczęśliwie ominęło z tej racji, że z miejsca zostałem uznany za politycznego przestępcę.

Dla utrzymania ogólnego porządku na celi ustalił się system dyżurów, pełnionych przez każdego według pewnej kolejności. Nikt nie był zwolniony od tego, nawet starsi ludzie. Czasami ochotniczo wyręczali ich młodsi, jeśli oni istotnie nie mogli podołać obowiązkom. Do czynności dyżurnego należało zmywanie podłogi wodą z klozetu, przestrzeganie porządku na celi, odliczanie pobieranych porcji i odpowiedzialność za należyte zachowanie się więźniów.

Jednym z zasadniczych i koniecznych zwyczajów, jaki się przyjął wśród więźniów było bicie wszy. Czynność ta odbywała się dwa razy dziennie, rano i po południu. Ten sposób osobistej dezynfekcji polegał na szczegółowym przeglądaniu wszystkich szwów garderoby i mordowaniu dokuczliwych pasożytów. Mimo stałej wojny z nimi, nigdy ich nie brakło w naszych ubraniach.

Prawdziwą przyjemnością dla nas były półgodzinne spacery, którymi raczono nas kilka razy na miesiąc. Najczęściej w porze popołudniowej wyprowadzano nas na podwórko więzienne otoczone murem, gdzie pod okiem strażnika chodziliśmy w kółko przez określony czas. W czasie tego musieliśmy trzymać ręce założone z tyłu i nie wolno było spoglądać na górne okna więzienia. Czasami takie spacery, w miejszym wydaniu, urządzaliśmy na celi. Wtedy podsuwaliśmy sienniki do góry i kolejno małymi grupkami maszerowaliśmy w kółko na stworzonym w ten sposób przejściu. Jeśli było za dużo hałasu, strażnik natychmiast interweniował i zabraniał tej przyjemności.

Innego rodzaju urozmaiceniem naszego życia było niespodziewane wywoływanie więźniów razem z ich osobistymi rzeczami, najczęściej w ciągu nocy. Na celę wpadał urzędnik więzienny w obecności strażnika i z listy wyczytywał pewne nazwiska. Zwykle po tym czytaniu kilka osób znikało z naszej grupy. Wtedy wiedzieliśmy, że zanosi się na jakiś transport ludzi w głąb terenów rosyjskich. W związku z tym ilość więźniów obniżała się na dzień lub dwa. Pewnego razu nasz stan spadł do bardzo niskiej cyfry 25 ludzi. To otwierało możliwości zmiany miejsc na lepsze, z czego ja skorzystałem kiedy wywołano z celi inż.Pocztara. W spuściźnie po nim otrzymałem prestiżowe miejsce pod ścianą między dwoma oknami.

Powstały luki szybko wypełniałe się nowo-przybyłymi - zapas kandydatów na zewnątrz wydawał się nie mieć końca. Razem z nimi przybywały wiadomości ze świata. Dla nas Polaków one nigdy nie były pocieszające. Cała Zachodnia Europa była pod dominacją niemiecką z wyjątkiem Anglii, która nie przejawiała żadnych intencji natychmiastowego rozprawienia się z Hitlerem.

W listopadzie 1940 r., dostaliśmy uzupełnienie z innego źródła. Na naszym piętrze rozwiązano jedną celę, a jej mieszkańców porozdzielano po innych. Do nas przybyła dość duża grupa nowych ludzi, wyłącznie Polaków. Dla mnie osobiście był to nabytek o szczególnym znaczeniu. W grupie tej było kilka osób, z którymi się zaprzyjaźniłem i przez cały okres naszego wspólnego istnienia na celi utrzymywałem jak najlepsze stosunki. Szczególnie odnosiło się to do dwóch Polaków o nazwiskach Snarski i Bałandiuk, obaj z zawodu byli kierownikami szkół powszechnych w powiecie zaleszczyckim.

Dyrektor Snarski, jak go ogólnie tytułowano, był człowiekiem starszym, blisko sześćdziesiątki i przy tym nie najlepszego zdrowia. Już w pierwszych dniach po jego przybyciu byłem u niego w odwiedzinach, kilka kroków przez salę. Z człowiekiem tym rozmawiało się łatwo i przyjemnie na różne tematy, w których zawsze przebijała troska o jego rodzinę wywiezioną na Sybir. Do rozmowy często włączał się jego sąsiad Skawiński, człowiek z tej samej miejscowości co Snarski i były komendant Strzelca, co niewątpliwie przyczyniło się do jego aresztowania.

Mój drugi nowo-przybyły towarzysz, dyr. Bałandiuk, był człowiekiem młodszym, ledwie 38 lat według własnego zeznania, i raczej niskiego wzrostu, ale za to dla swoich wybitnych cech charakteru, cieszył się ogólnym szacunkiem na celi. Poza niezwykłą inteligencją i zdrowym rozsądkiem miał też dar zjednywania sobie ludzi - dla nas Polaków, jako były legionista był typowym przykładem Polaka-patrioty. Bardzo często siadywałem przy nim na podłodze i bez końca wsłuchiwałem się w jego wojenne opowiadania. Dla mnie młodego i niedoświadczonego człowieka był to szczyt fantazji nie mającej sobie równej w świecie.

Jednym z tematów, który nas łączył były nasze sprawy rodzinne. Zarówno jego jak i moja rodzina były na Syberii, co tworzyło pewną więź między nami.

Bliskie współżycie między nami wpłynęło też na to, że razem spędzaliśmy czas na potajemnym graniu w szachy i karty. Popularną grą w karty była gra w brydża. Do pełnej partii dobieraliśmy Żyda adwokata, nauczyciela Kulczyckiego i czasami na piątego Adlera, zarządcę majątku w rejonie zaleszczyckim. Ten ostatni był trudnym, wybuchowym graczem, co przyczyniło się do tego, że ostatecznie zrezygnowaliśmy z jego towarzystwa.

Zarząd wiezienia również przysparzał nam rozrywki swojego rodzaju w najmniej spodziewanej porze. Co pewien czas, w ciągu nocy, na celę wpadało kilku strażników i robiło szczegółową rewizję. W czasie tego wszystkie nasze rzeczy, łącznie z siennikami, latały w powietrzu. Po tej złośliwej procedurze musieliśmy zbierać się co najmniej przez pół godziny nim doprowadziliśmy siebie i celę do porządku. Komiczną stroną tego było to, że w czasie osobistej rewizji musieliśmy pokazywać strażnikom tylną część ciała, co było powodem późniejszych żartów i śmiechu.

Podczas jednej z takich rewizji znaleziono u Kulczyckiego kawałek blachy, przypominający wyglądem kształt prymitywnego noża. Nikt z więźniów na celi nie przyznał się do jego posiadania. Za karę wstrzymano nam wydawanie ciepłej strawy, oraz obniżono rację chleba. Po kilku dniach głodówki Kulczycki przyznał się do winy, za co odsiedział pięć dni w karcerze. My natomiast niezwłocznie powróciliśmy do naszej normalnej racji.

Największym i najbardziej oczekiwanym wydarzeniem dla każde-

go z nas było otrzymywanie paczek od rodzin, t.zw. "peredaczy". W myśl przepisów więziennych mieliśmy prawo do otrzymywania bielizny, oraz takich artykułów żywnościowych jak tłuszcz, cukier i cebula, oraz tak przydatną rzecz jak mydło. Przesyłki były przyjmowane według liter alfabetu i w połączeniu z tym ustalonej tabeli dat. Każdy był uprawiony tylko do jednej przesyłki miesięcznie.

W pierwszym miesiącu swego pobytu na celi nie otrzymałem niczego. To było zresztą do przewidzenia, ponieważ moja najbliższa rodzina była na Syberii. W następnym miesiącu, ku mojemu zdziwieniu, strażnik przyniósł mi torbę z czystą bielizną. Potem każdy dziesiąty dzień miesiąca był tym wielkim dniem, kiedy otrzymywałem czystą bieliznę i dozwolone artykuły żywnościowe. Później dowiedziałem się, że moim dobroczyńcą w tym wypadku była moja chrzestna matka, ciocia Kołodziejowa. Ona na pewno nie zdawała sobie wówczas sprawy z tego, jak wdzięczny byłem jej za dobre serce.

Co pewien czas zdarzały się specjalne okazje, które umożliwiały nam zakup żywności i innych artykułów codziennej potrzeby. Przewilej ten był tylko dostępny dla tych, którzy posiadali jakieś pieniądze zdeponowane na końcie więziennym. Dzięki Malci Strauberównej należałem do tej wybranej grupy szczęśliwców. Korzystając z tej kwoty zakupiłem trzykrotnie w kantynie więziennej chleb,kiełbasę, cukier i świeże jarzyny, niestety w bardzo ograniczonej ilości. Pieniędzy tych jednak nie miałem za dużo, dlatego kilkakrotnie przekazywałem wiadomości do krewnych przez tych, którzy opuszczali więzienie z prośbą o przysłanie mi więcej rubli. Prawdopodobnie żadna z nich do nich nie dotarła, bo nigdy nie otrzymałem tego o co prosiłem. Pisanie listów do rodziny lub porozumiewanie się przez trzecie

osoby było z zasady niedozwolone. Przemycenie czegoś w bieliźnie było zarówno ryzykowne jak i nieefektywne. Przy wykryciu czegoś w bieliźnie, danemu przestępcy groziła kara utraty prawa otrzymywania przesyłek. Mimo to niektórzy zaszywali wiadomości w rąbek bielizny lub pod improwizowaną łatę. Prawie w każdym wypadku dany artykuł powracał z wypranym papierkiem w nietkniętym miejscu. Pewnego miesiąca też uciekłem się do tego sposobu, ale również bez skutku.

W ciągu zimy, po długiej przerwie, wezwano mnie na przesłuchanie. Dla mnie było to kompletnym zaskoczeniem. Sądziłem bowiem, że moja sprawa jest już zamknięta. W kancelarii zastałem znanego mi enkawudzistę Derkacza, jednego z trzech, którzy przesłuchiwali mnie w Potoku Złotym. Jego widok przypomniał mi o krzykach, groźbach i biciu. Byłem więc w obawie, że podobna historia może powtórzyć się ponownie. W przeciwieństwie do poprzedniego naszego spotkania, człowiek odniósł się do mnie spokojnie, z wyrozumieniem i nawet poczęstował mnie papierosem. Całe przesłuchanie polegało wyłącznie na sprawdzeniu moich danych osobistych.

Niedługo potem moje życie więzienne uległo radykalnej zmianie. Wczesnym rankiem dnia 2o-go lutego 1941 r., na celę wpadło dwóch strażników i zaczęło wyczytywać nazwiska. Tym razem posypało się ich wiele. Poza mną w wyczytanej grupie znalazły się nazwiska Makowskiego, Bałandiuka, Snarskiego, Dziubińskiego i wielu innych. Widocznym było, że zanosi się na większy transport w głąb Rosji. Wszystko odbyło się według pewnej procedury. Najpierw zaprowadzono nas do łaźni, gdzie długo czekaliśmy na następny punkt dyspozycji. W ciągu nocy zrobiono nam szczegółową rewizję i kazano przejść do drugiej sali. Pomieszczenie to było bardziej obszerne i wyglądało na punkt zborny

przed ostateczną wysyłką ludzi z więzienia.

W sali tej przez resztę nocy wywoływano nazwiska więźniów. Wywołani znikali za drzwiami, prowadzącymi na zewnątrz. Liczba ludzi na sali jednak ulegała minimalnym zmianom - w miejsce tych, którzy odeszli przybywali inni z tobołkami w rękach. Nie ulegało wątpliwości, że przygotowywany transport będzie składał się wyłącznie z Polaków, ponieważ polska mowa była jedyną jaką słyszałem wokół siebie. Widocznie celem tego transportu było opróżnienie więzienia z naszej grupy narodowej.

Od zewnątrz dochodził do naszych uszów warkot motorów i odgłosy ruchu ciężarówek po brukowanej jezdni. Nietrudno było się domyśleć, że zadaniem tych ciężarówek było przewożenie więźniów na stację kolejową. Mimo pośpiechu i całonocnego wożenia, wozy te nie były jednak w stanie podołać swemu zadaniu. Masa ludzi wciąż czekała na sali i wciąż wielu nowych pacjentów przybywało.

Nad ranem musiano zarządzić przyspieszenie tej operacji. Nazwiska zaczęto wyczytywać szybciej, a wyczytanym kazano ustawić się w piątki na więziennym podwórku. Po zebraniu pewnej grupy, strażnicy natychmiast wyprowadzali ją poza bramę. Wreszcie kolejka też przyszła na mnie i moich współtowarzyszy. Na dźwięk swego nazwiska zabrałem swoją torbę i wyskoczyłem na zewnątrz, na świeże i mroźne poranne powietrze.

Świeże powietrze po tak długim przebywaniu w zamkniętym pomieszczeniu było cudowną rzeczą. Za każdym oddechem czułem jego orzeźwiające działanie - moje płuca otwierały się do granic swoich możliwości, a moje mięśnie z miejsca nabrały rzeźkości ruchów. Również z zadowoleniem patrzyłem na parę wychodzącą z moich ust i z prawdziwą radością patrzyłem na biel śniegu, mimo że jego widok raził moje oczy. Po ośmiu miesia-

cach ciemnej i zadusznej celi pierwsze zetknięcie się z dobrodziejstwami natury czułem się jak nowo-narodzony.
Dzień ten szczęśliwie nie był typowym dniem najzimniejszego miesiąca roku. Temperatura była zupełnie znośna. Nawet wiatr, często dający się ludziom we znaki w tej porze zimy, gdzieś się zagubił w szerokich przestrzeniach rosyjskich stepów i zostawił okolice Czortkowa w spokoju. W tych warunkach śnieżna biel na dachach, polach i ogrodach, oraz skrzyp brudnego śniegu pod nogami był raczej urozmaiceniem niż utrudnieniem naszego życia, przynajmnie na pozór. Nawet szare mury, nagie konary drzew i ponure niebo były dla mnie przyjemnym, a nawet miłym i czarującym widokiem.
Po drodze towarzyszyły nam krzyki strażników i szczekanie psów, dla których znaleziono inne zajęcie, niż pilnowanie podwórka. Co robiło na mnie silniejsze wrażenie, to długa kolumna więźniów, uginająca się pod tobołkami, której początku ani końca nie byłem w stanie dojrzeć. Przypomniał mi się wówczas obraz Grottgera przedstawiający zesłańców na Sybir oraz nieco inny widok ukazujący murzyńskich niewolników, prowadzonych do czekającego na nich okrętu.
Mimo długiego pobytu w więzieniu i utraty wagi czułem się na tyle silny, że bez większego trudu mogłem podołać wysiłkowi marszu. Swieże powietrze wpłynęło pozytywnie na moje samopoczucie, co samo w sobie dodawało mi energii fizycznej i umysłowej. Nie wszyscy jednak mieli podobną kondycję do mojej. Ludzie starsi, a zwłaszcza ci, którzy spędzili więcej niż rok w zamknięciu mieli trudności z dotrzymaniem nam kroku.
Dla niektórych był to absolutnie za duży wysiłek. Dla ulżenia sobie ci nieszczęśliwcy wyzbywali się częściowo swoich rzeczy, które na celi strzegli jak najcenniejszy skarb. Dużo

też pozostawało z tyłu, nie zwracając uwagi na ponaglania strażników.

Pociąg towarowy z czerwonymi wagonami był już nam widoczny z daleka. Początek kolumny wnikał jak wąż w otwarte drzwi wagonów, które po wypełnieniu się wnętrza zamykały się szczelnie. Po dojściu na wysokość wagonów musieliśmy przykucnąć na drodze, aż jeden ze strażników odliczył 4o osób i wpuścił nas do ciemnego wnętrza. Będąc jednym z ostatnich w odliczonej grupie dostałem dość niewygodne miejsce na dolnej pryczy. Na początku tłok w wagonie zdawał się być niemożliwy do zniesienia. Po rozlokowaniu się po pryczach zrobiło się dość luźno, a zwłaszcza w pośrodku wagonu.

Na środku wagonu był wprawdzie blaszany piecyk, ale nic nie wskazywało na to, aby był kiedykolwiek używany. Też nie zanosiło się aby w tej podróży mogliśmy z niego zrobić użytek, nie było przy nim ani szczypty drzewa lub odrobiny węgla. Innym urządzeniem, a przy tym bardzo potrzebnym, była wygódka przy drzwiach. Ten prymitywny środek sanitarny składał się z kawałka blachy skręconej w lejek, włożony do otworu w podłodze. Poza tym były tylko prycze, na których mieliśmy spać ściśnięci jak śledzie.

Nastrój w wagonie nie był jednak najgorszy. Poza nieco niedorozwiniętym Jaworskim, który tuż po wejściu do wagonu wsunął się pod dolną pryczę, reszta towarzystwa prowadziła ożywioną rozmowę na temat najbliższej przyszłości. Samo opuszczenie murów więziennych napajało nas nadzieją, że przed nami otwiera się droga do lepszego jutra. Długie miesiące czekania były już za nami. Natomiast według naszych oczekiwań była możliwość pracy na świeżym powietrzu, lepsza racja żywnościowa i wolność ruchu. Niektórzy nawet snuli domysły, że

jest prawdopodobieństwo połączenia się z wywiezionymi rodzinami na Syberii. Każdy śnił i marzył, że przed nami otwiera się nowy okres sowieckiego życia, niewątpliwie lepszy od poprzedniego.

Długi, czerwony pociąg, załadowany więźniami opuścił stację kolejową w Czortkowie. W początkach jechaliśmy wolno, zatrzymując się często w polu i na małych przystankach. Z chwilą, kiedy noc zasłoniła nam zewnętrzne widoki trudno było zorientować się jaka była trasa naszej podróży. Rano dopiero po zatrzymaniu się, stwierdziliśmy, że jesteśmy w znanym mi mieście Tarnopolu. Przypomniały mi się wówczas podchorążackie czasy i przez górne okienko starałem się rozpoznać okolicę miasta. Niestety, miejsce gdzie staliśmy, nie wiązało się wcale ze znaną mi częścią stacji.

W ciągu dnia przybyło do nas więcej więźniów z więzienia tarnopolskiego. Przez okienko w wagonie przyglądaliśmy się kolumnie maszerującej ku tylnej części pociągu. Sam proces załadowania nie był widoczny. Dla obserwowania tego trzeba było wychylić głowę, a kraty okienne na to nie pozwalały. Opierając się na własnym doświadczeniu, mogliśmy sobie wyobrazić jak wyglądało ulokowanie ich w wagonach.

Pociąg musiał opuścić stację w ciągu nocy. Dopiero rano zorientowałem się, że jesteśmy w drodze i że pociąg pędzi całą parą. Przejeżdżaliśmy przez wioski, miasta i miasteczka, zatrzymując się tylko dla nabrania wody i wydania żywności więźniom. Dzienna racja składa się z 800 gramów chleba, trochę słonej ryby i miarki wody. Ilość jedzenia była zasadniczo wystarczająca, ale jedno wiaderko wody na 40 ludzi - to było absolutnie za mało. Często na postojach stukaliśmy do drzwi i prosiliśmy o dodatkowe wiaderko wody. W większości wypadków

nasze prośby nie odnosiły skutku.

Tylko czasami znalazł się jakiś wyrozumiały człowiek i ukradkiem wepchał nam dodatkową rację wody.

Nikt z nas nie zaobserwował momentu przekroczenia granicy polskiej.Prawdopodobnie przejechaliśmy przez punkt graniczny w ciągu nocy. Natomiast bez trudności zorientowaliśmy się, kiedy pociąg znalazł się po stronie sowieckiej. Dobrze utrzymane miejscowości znikły z widoku, a w ich miejsce ukazały się przed naszymi oczyma obrazki biedy i zaniedbania. Kiedy ktoś z górnej pryczy udzielił mi trochę swego miejsca, wówczas starałem się odcyfrować zarówno nazwy miejscowości jak i tajemnicę sowieckiego życia i biedy.Nawet spod powłoki śnieżnej można było dojrzeć niski stopień ludzkiej egzystencji. Domy wiejskie po drodze wyglądały biednie, szaro i obskurnie, miasta i miasteczka nie przedstawiały się lepiej, ludzie, a były to przeważnie kobiety, nosiły na sobie łachy. Szukałem też kołchozów, o których tyle słyszałem, ale w okresie zimy nie rzucały się one nikomu w oczy.

Nasza podróż trwała całe dwanaście dni. Wiem, że w czasie jej trwania przejechaliśmy Kijów oraz rzekę Dniepr. Chociaż natężaliśmy swój wzrok i trzymaliśmy twarze tuż przy kratach, niewiele mogliśmy zobaczyć z tego starego, historycznego miasta dawnej Rusi.Dniepr przez który przejeżdżaliśmy wolno, zaimponował nam swoją szerokością, ale też nie odsłonił przed nami żadnych szczegółów godnych widzenia. Wszystko co nam z tego pozostało, to krótka notatka w pamięci, że przejeżdżaliśmy przez stolicę Rusi i jej główną rzekę Dniepr.

Dwunastego dnia rano dotarliśmy do docelowej stacji naszej podróży. Nazwa jej Starobielsk szybko ujawniła się przed nami. Na widok tej nazwy przypomniał mi sią stempel pocztowy na

kartce, którą moja ciotka otrzymała od swego brata Jana Kuliczkowskiego, polskiego jeńca wojennego. Zaraz zacząłem snuć przypuszczenia, że w obozie jeńców, czy obozie pracy spotkam się z osobą ze mną spokrewnioną. Mój pozytywny sposób myślenia w każdej sytuacji starał się doszukać lepszej strony życia i skierować moje nadzieje w tym kierunku.

W wielkoruskiej miejscowości Starobielsk znaleźliśmy się w pierwszych dniach marca. Tutaj zima miała się prawie ku końcowi. Wszystko było rozmokłe, a szczególnie ulice, które po prostu płynęły błotem. W ciągu dnia wyładowano nas z wagonów i kazano maszerować główną ulicą do nieznanego nam celu. Wkrótce celem tym okazał się stary klasztor prawosławny otoczony wysokim murem, z wielką, żelazną bramą prowadzącą do środka. Nim dotarliśmy do tego punktu, musieliśmy wpierw przebrnąć przez miasteczko. W moim mniemaniu miało to być wielkie miasto. W rzeczywistości było to małe miasteczko, składające się z kilku zabudowanych ulic,których domy w wielu wypadkach były zbudowane z drzewa i przykryte słomą. Główna ulica była imponująco szeroka, ale nie posiadała twardej nawierzchni. Ludzie wybiedzeni i ubrani w łachy snuli się jak cienie po na wpół wymarłej miejscowości.

Z chwilą przejścia przez żelazną bramę staliśmy się częścią olbrzymiego kompleksu więziennego - większego niż mogliśmy sobie wyobrazić. Mała cerkiewka do której wpuszczono nas na samym początku i główna cerkiew, gdzie nas ostatecznie ulokowano, były tylko małą cząstką zespołu budynków wchodzących w skład obozu. Poza kilku budynkami, które natychmiast rzuciły się nam w oczy, były też inne zabudowania i cała seria nowopobudowanych baraków. Łącznie ten olbrzymi obóz, czy więzienie mógł jednorazowo pomieścić 20 000 osób. Zasadniczym zadaniem

tego kompleksu było niewątpliwie odizolowanie niewygodnego elemenu od reszty społeczeństwa. Pod tym względem utrzymywanie olbrzymiej masy ludzkiej w odosobnieniu mogło mieć swoje polityczne uzasadnienie. Strona moralna w systemie stalinowskiego terroru nawet nie wchodziła w rachubę. Natomiast strona ekonomiczna tego przedsięwzięcia miała jak najbardziej swój uzasadniony cel. Istota rzeczy tej sprawy doszła do naszej świadomości nieco później. W nowym jej zrozumieniu obóz starobielski był niejako olbrzymim magazynem niewolniczej pracy, skąd dysponowano siłą roboczą w zależności od potrzeb różnych ośrodków rozrzuconych po całym imperium sowieckim. Powyższe sprawy należały dopiero do przyszłości. W danej chwili byliśmy częścią mniejszej organizacji, która zamykała się w granicach murów cerkiewnych. Budynek głównej cerkwi, podzielony na dwa poziomy, mieścił w sobie około tysiąca osób. Z kolei podzielono nas na mniejsze jednostki po pięćdziesięciu ludzi, zwane brygadami. Administracyjne funkcje starostów i brygadierów powierzano więźniom oskarżonym o niezbyt wyraźne przestępstwa polityczne, jak np. przekroczenie granicy. Pierwszym starostą górnej części cerkwi był Polak-komunista, uprzednio żołnierz międzynarodowej brygady, walczącej przeciwko gen. Franco w hiszpańskiej wojnie domowej. Po upadku rządu komunistycznego uciekł do Francji, gdzie przebywał do czasu wkroczenia wojsk niemieckich. Korzystając wtedy z dobrych stosunków, jakie istniały między Sowietami i Niemcami, postarał się o sowiecką wizę z zamiarem powrotu do swojej rodziny w Przemyślu. Na granicy z miejsca go aresztowano i osadzono w więzieniu za sprzeniewierzenie się myśli, że dobry komunista nie opuszcza swego posterunku. Po jego odejściu, prawdopodobnie do transportu, na funkcję

starosty wyznaczono innego kominstę z pochodzenia Słowaka. Człowiek ten, jako sekretarz lokalnej partii komunistycznej w Czechosłowacji pod okupacją niemiecką, szukał za bezpieczniejszym miejscem dla siebie na terenie Sowietów. Jego przestępstwo było tego samego rodzaju, jak jego poprzednika, z tym że dodano mu oskarżenie o szpiegostwo. Za jego rządów funkcje brygadierów zostały obsadzone przez jego rodaków, którzy tak jak on szukali opieki u swoich domniemanych protektorów. W zasadzie to nie miało najmniejszego znaczenia dla nas, ponieważ ich władza i obowiązki były bardzo ograniczone. Niemal natychmiast po usadowieniu się na swoim miejscu na górnej pryczy między Makowskim i Bałandiukiem wziąłem się do odszukania śladów po moim dalekim krewnym Kuliczkowskim. Myśl tą powziąłem po skonstatowaniu faktu, że na bocznych deskach prycz nasi polscy poprzednicy napisali lub wyryli w drzewie listy swoich nazwisk. Razem ze mną wielu innych chodziło od pryczy do pryczy i szukało znajomych nazwisk. Niektórzy doszukali się śladów swoich znajomych lub krewnych, ja natomiast nie doszukałem się niczego.

W tym czasie polscy oficerowie byli już tylko mitem w Starobielsku. Cokolwiek dotarło do nas były to tylko niepełne wiadomości, na których nie można było budować całej ich historii. Jedną z ważniejszych była informacja o buncie polskich oficerów w obozie. Co było przyczyną i jakie były skutki tego, to już do nas nie dotarło. Niewątpliwie wiadomość ta doszła do nas za pośrednictwem obozowego personelu, starostów i brygadierów, którzy musieli otrzymywać ją od strażników. W pogłosce tej też była ujęta wzmianka, że tuż po buncie wywieziono ich do innych rejonów Rosji. Podobnym mitem w obozie były dzieci i uchodźcy hiszpańscy, którym Stalin

udzielił azylu w czasie trwania wojny domowej w ich kraju. Według tych wiadomości oni byli bezpośrednimi poprzednikami polskich oficerów w starobielskim obozie.

Podczas rzadkich i krótkich spacerów na więziennym podwórku mogliśmy zaobserwować częściowo układ obozu i jego zewnętrzne urządzenia. Cerkiew mieściła się jakgdyby na uboczu kompleksu. W jej pobliżu było kilka murowanych budynków, a na dalszym planie pewna ilość drewnianych baraków. Cały rejon obozu był otoczony kilku rzędami kolczastych drutów, między którymi biegały luźno puszczone psy. Na rogach sterczały wysokie wieże strażnicze zaopatrzone w silne reflektory. Ponadto, na zewnątrz miał też być szeroki rów z wodą, jako ostateczne urządzenie izolacyjne. Przy zastosowaniu takich środków nie było mowy, aby jakiś więzień mógł się zdobyć na ucieczkę. Ktokolwiek znalazł się poza drutami tego więzienia, musiał się zdać całkowicie na łaskę swoich "opiekunów" i niełaskę swego losu.

Będąc ulokowani blisko budynku administracyjnego i bramy, byliśmy w stanie śledzić pewne czynności obozowe, a przede wszystkim przybywanie i odsyłanie transportów. Ilekroć słyszeliśmy ruch przed cerkwią wiedzieliśmy, coś nowego dzieje się na terenie obozu. Czasami natychmiast potem przybywała do nas nowa grupa ludzi. Jedną z większych grup przydzielono do nas w maju.

Tym razem na celę przybyło kilku moich znajomych z czasów przedwojennych. Jednym z nich był Kazimierz Stanecki, posterunkowy z Jazłowca . Dla nas obu była to miła niespodzianka. Zaraz podzieliłem się z nim wiadomościami o jego rodzinie w Kazachstanie i podałem mu ich adres. Drugim był mój starszy kolega z gimnazjum i bursy, Zbyszek Waruszyński,

pochodzący z Monasterzysk i znany mi w swoim czasie jako jeden z lepszych graczy w piłkę nożną. Wreszcie trzecim i ostatnim był niedawny instruktor w podchorążówce tarnopolskiej, Bieniowski, z którym łączyła mnie przejściowa znajomość z oficerskiej szkoły.

Współżycie między mną, a moimi współtowarzyszami układało się różnie. Z jednymi łączyły mnie bliższe stosunki i przyjaźń, a z innymi dochodziło do małych i często nieistotnych nieporozumień. Pewnego dnia doszło do małej scysji słownej między mną a Makowskim, ale szczęśliwie sprawa ta poszła szybko w zapomnienie. W tym czasie zawiązał się miły przyjazny stosunek między mną a dyr. Bałandiukiem. Naszym wspólnym upodobaniem, a nawet pasją, była gra w szachy. W wolnym czasie, którego zawsze mieliśmy za wiele, bez końca przekładaliśmy figury po szachownicy ze zmiennym szczęściem, ale zawsze z osobistym zadowoleniem.

Pewnego dnia starosta, Słowak, ogłosił na celi, że istnieje możliwość wysłania kartek pocztowych do swoich rodzin. Na 500 osób przyznano jednak tylko 20 kartek. W takiej sytuacji tylko szczęśliwcy mogli skorzystać z tego udogodnienia. Poza tym kryło się także inne ograniczenie. Kartki te można było zakupić tylko za pieniądze, a posiadanie pieniędzy na celi było zabronione. Przepisowa cena kartki wynosiła 20 kopiejek, co na zewnątrz było niczym, w więzieniu kwota ta nabrała nagle na wartości.

Jedyną bardziej cenną rzeczą był tylko chleb. Tylko za taką cenę ktoś kto przemycił pieniądze na celę był skłonny pozbyć się takiego skarbu. Na celi zaraz powstał handel. Mając dwie zaoszczędzone porcje chleba zdecydowałem się sprzedać je za marne 20 kopiejek. Nabywca znalazł się bez trudności, a ja z monetą w ręku pobiegłem do starosty i natychmiast wpłaci-

łem mu należność.

Kiedy dostarczono kartki na celę ja byłem pierwszy u niego, aby wziąć to co mi się słusznie należało. Słowak bez zastanowienia od razu wręczył mi jedną. To szybkie załatwienie mojej sprawy odbyło się ze szkodą jednej z brygad. Na każdą z nich były przeznaczone dwie kartki, w naszej brygadzie było aż trzy - dwie oficjalne i moja. Starosta wprawdzie przyszedł do brygady i powiedział nam o tym, ale nie robił z tego większej kwestii. Kartkę natychmiast wysłałem do stryja Stanisława, podając mu krótkie wiadomości o sobie i prosząc o przysłanie paczki żywnościowej i kilku rubli. Odpowiedzi od niego, oraz artykułów, o które prosiłem nigdy się nie doczekałem. Obawiałem się, że moja kartka nigdy do niego nie doszła.

Wiadomości ze świata dochodziły do nas rzadko i zawsze z dużym opóźnieniem. Jedna z większych wiadomości dotarła do nas w marcu. W myśl tej informacji stosunki sowiecko-niemieckie zaczęły ulegać radykalnej zmianie. Jeśli w tym było trochę prawdy to należało liczyć się z tym, że ich dotychczasowa przyjaźń została dla jakiejś przyczyny zakłócona. Na ten temat zaczęły powstawać domysły sięgające nawet tak daleko, jak możliwość zbrojnego konfliktu między obu mocarstwami. Jakby dla potwierdzenia tego na celę dostał się urywek sowieckiej gazety, w którym była wyraźna wzmianka o wizycie Mołotowa w Londynie. Dyr.Bałandiuk po przeanalizowaniu tej wiadomości pochylił się do mnie i ściszonym głosem powiedział: "Panie kolego może pan być pewny, że w krótkim czasie znajdziemy się w szeregach Polskiej Armii."

Prawdopodobnie na celi był on pierwszym zwiastunem nowej myśli politycznej, która kilka miesięcy wstecz byłaby absolu-

tnym absurdem. Krótka wiadomość na papierku nadała jej realnych kształtów i dla nas stała się nadzieją wielkiej zmiany na naszą korzyść. Należało też wziąć pod uwagę to, że z chwilą dojścia do nas była już spóźniona o szereg dni czy tygodni i dlatego zewnętrzne wypadki polityczne mogły przyjąć inny charakter.

Na świecie musiało się dziać coś niezwykłego. Zaraz to się dało wyczuć na ożywionej działalności wewnątrz więzienia. Przejawem tego był wzmożony ruch na podwórku przed cerkwią, co świadczyło o przyjmowaniu i odsyłaniu transportów. Nie ulegało wątpliwości, że wkrótce przyjdzie też na nas kolejka opuszczenia więzienia.

Dnia 15-go czerwca 1941 r., rano na celę weszło kilku urzędników z listami w ręku i zaczęli wyczytywać nazwiska. Każdy z wyczytanych zabierał swoje rzeczy i wychodził na zewnątrz. Moje nazwisko zostało również wyczytane. Przez całe popołudnie siedzieliśmy na podwórku przechodząc stereotypową rewizję osobistą. Wieczorem kazano nam ustawić się w piątki i pod strażą bojców i psów opuściliśmy bramę więzienia. Znowu maszerowaliśmy przez miasto, ale tym razem Starobielsk był dla nas prawie niewidoczny z powodu nocnych ciemności. Nasza grupa z cerkwi została całkowicie rozbita. W nowej grupie razem ze mną znalazł się tylko Makowski i Jaworski, młody człowiek niespełna rozumu. W nocy wagony były dla nas prawie niewidoczne. Przy świetle elektrycznym skierowano nas do wnętrza, po czterdziestu ludzi jak poprzednio. Tym razem miałem więcej szczęścia i zdołałem ulokować się na górnej pryczy w pobliżu okna. Doświadczenie już mnie nauczyło, że jeśli mam się wybrać w daleką "wycieczkę krajoznawczą" to lepiej jest postarać się o odpowiednie miejsce. Musiałem spać dobrze tej nocy mimo ścisku, bo nawet nie słyszałem kiedy pociąg ruszył. Jak obu-

dziłem się pociąg był już w pełnym biegu.
Stalowe koła nieustannie stukały o szyny kolejowe, wagony kołysały się swoim wahadłowym ruchem, a przenikliwy gwizd lokomotywy rozdzierał powietrze, kiedy pociąg pełną parą niósł nas w nieznane. Przed nami równocześnie przewijała się taśma stepowego krajobrazu z szybkością goniącego pociągu. Bezbrzeżne stepy Wielkorusi - szerokie i otwarte, Wołga wielka, majestatyczna i olbrzymia jak morze i bardziej urozmaicone podgórze uralskie były początkowymi widokami jakimi panorama syciła nasze oczy. Czasami na bezgranicznej przestrzeni wiosennej zieleni ukazywało się osiedle - wioska lub miasteczko - najczęściej zbyt odległe, aby wydać miarodajny sąd o nich oraz ich mieszkańcach. Stepowa równina zaczeła powoli ustępować miejsca bardziej urozmaiconemu krajobrazowi. Pociąg wciąż stukając o szyny rozpoczął swoją podgórską wspinaczkę, zmniejszając przy tym szybkość, jak gdyby dla udostępnienia nam wspaniałych widoków górskiej natury. Zielone szczyty gór, pocięte dolinami i wąwozami, bogata roślinność na zboczach i wąska linia kolejowa znikająca od czasu do czasu w ciemnościach tunelu wykutego w skale - to obraz panoramy gór uralskich. Przy linii toru tu i ówdzie stacyjka kolejowa, kilka drewnianych domków i czasami bardziej przykry widok baraków otoczonych drutami oraz więźniów pracujących przy wyrębie lasu. W jakiejś kotlinie nawet jakaś szkółka z bawiącymi się dziećmi wyłoniła się w polu naszego widzenia jakby dla odsłonięcia przed nami innego i może lepszego życia. Jeszcze kilka pagórków i kotlin i wysokie góry Uralu pozostały poza nami. Przed nami natomiast ukazał się widok bezbrzeżnej równiny, z lekka urozmaiconej samotnymi drzewkami brzozy. Rozległe tereny syberyjskie, gubiące się gdzieś na horyzoncie, niemal gotowe do rozpadnięcia się w drobne części, gdyby

żelazna więź torów nie trzymała ich razem. Krajobraz nizinny, prosty, smutny i pojedyńczy niczym żywot więźnia, nie ma końca w swojej monotonii. Czasami bezbarwny równinny krajobraz zamienił się nagle w ciemną masę budynków większych miast jak Tomsk, Omsk i Nowosybirsk, pozbawiając siebie dziewiczego piękna i uroku, jakim go natura obdarzyła. Szare brudne budynki, dymiące kominy, małe drewniane domki i biednie wyglądający ludzie to jak gdyby kontrast swoistego piękna pustkowia sybiryjskiego.

Mój sąsiad patrząc na przewijające się widoki wypowiedział swoje zdanie w kilku prostych słowach :

"Rosja to kraj wielki, ale taki durny."

Jego uwaga nie była wcale skierowana przeciwko zwykłym obywatelom tego kraju. Oni nie ponosili odpowiedzialności za jego stan. Było to po prostu wyrażenie braku zaufania dla tych, którzy nim rządzili. Przez wieki car i jego arystokracja utrzymywali kraj i ludzi w biedzie i głupocie. Przez wieki rosyjski lud żył nadzieją lepszego jutra. Hasła rewolucyjne miały przynieść zmianę na lepsze, ale one okazały się tylko pustym słowem. Zamiast poprawy warunków życia nowi rządcy pogorszli sytuację przez prześladowania, tworząc w rezultacie biedę dotychczas nieznaną w tym kraju. W tym wszystkim nie było mądrości, to była bezmyślność i nieuczciwość nowych władców.

Na wschód od Nowosybirska, dalsza monotonia równin i pustkowia, gdzie tylko pojedyncze brzózki ozdabiają krajobraz. Znowu kilka większych miast, jak Krasnojarsk, Tajga, Irkuck oraz monotonia szarych murów i dymiących kominów. W Irkucku zatrzymaliśmy się na cały dzień z powodu kąpieli i dezynfekcji naszych zawszonych ubrań. Przez okres dwóch tygodni,

kiedy w ciasnocie można było tępić je własnym sposobem, weszki stały się przekleństwem życia. Tutaj po raz pierwszy spotkaliśmy się z weszobojką, której działanie polegało na niszczeniu pasożytów w gorących kotłach parowych. Wykąpani, oczyszczeni i odświeżeni rozpoczęliśmy dalszą podróż na wschód w tych samych niewygodach i ciasnocie, ale z zawartym przewilejem oglądanie syberyjskich krajobrazów, które znaliśmy tylko z książek i opowiadań.

Za szarym i niepozornym Irkuckiem malownicze okolice jeziora Bajkał nawet dla nas, ludzi pozbawionych wolności, były czymś niezwykle pięknym i uroczym, czymś co porywa oczy i o czym nigdy się nie zapomina. Skaliste szczyty Gór Jabłonnych sięgające, aż po błękitny nieboskłon, niekończąca się przestrzeń zielonych lasów i srebrzyste lustro wód jeziora to był cud artyzmu natury. Widok dziewiczych gór napajał nas zachwytem, świeże górskie powietrze rozpierało nasze piersi, a silny zapach żywicy durzył nas swoją wonią. Dla urozmaicenia tego, co najmniej pięćdziesiąt tuneli bawiło się z nami w chowanego, raz chowając nas w głębi ich ciemności, a za chwilę odsłaniając przed nami krótki urywek wspaniałej pancramy. Wkrótce potem ukazała się nieduża połać żyznego kraju, nazywanego przez Rosjan Zielonym Klinem, gdzie według ich opowiadań życie miało być wygodne, syte i wolne - kraj utopii w kraju biedy, nędzy i niewolnictwa. Mongolskie twarze, które od czasu do czasu ukazywały się na taśmie naszego widoku niestety nie zdradzały wielkiego szczęścia, radości i dostatku.

Widok tego zielonego kraju budził w nas skryte życzenie, aby tam nas wysadzono i tam dano możliwość egzystencji, aż do czasu jakiejś zmiany. Z tą bujną zielenią łączyły się

nadzieje lepszego życia nawet przy łopacie, kilofia i siekierze, ale na świeżym powietrzu i przy lepszym wyżywieniu. Niestety zadyszany pociąg wiózł nas dalej przez krajobrazy górzyste i pagórkowate, przez Ułan-Ude, Czitę, Birabejdżan i Chabarowsk - do docelowej stacji Buchta Nachodka. Tam się kończyła trans-syberyjska kolej. Tam dotarliśmy do wschodnich brzegów azjatyckiego kontynentu w pobliżu słynnego portu Władywostoku.

Za niewygody długiej podróży, za ciasnotę na pryczach, za skromne racje jedzenia oraz za dokuczliwy brak wody zostaliśmy hojnie wynagrodzeni pocieszającymi wiadomościami, które okazyjnie do nas docierały. Wielkim wydarzeniem dla świata i chyba większym dla nas było wypowiedzenie wojny Sowietom przez Trzecią Rzeszę. Szybkie postępy armii niemieckiej w głąb terenów sowieckich przemawiały za tym, że wkrótce staniemy się sojusznikami Związku Sowieckiego, co przywróci nam wolność i w rezultacie czego znajdziemy się w szeregach Polskiej Armii. Wiadomości o przybyciu polskiej delegacji do Kujbyszewa jeszcze bardziej potęgowały nasze nadzieje. Pociąg wtoczył się wolno do olbrzymiego kompleksu baraków podzielonego na prostokątne działki wysokimi drutami kolczastymi, strzeżonymi przez wysokie wieżyczki strażnicze. Znowu znaleźliśmy się w zawszonych i zapluskwionych barakach, żywieni głodową racją zupy i chleba, ale z uczuciem nadziei, że nasze przeżycia więzienne mają się już ku końcowi. Ostatni przystanek na brzegach Pacyfiku w myśl racjonalnego rozumowania musiał być granicą naszej " krajoznawczej wycieczki" po sowieckich przestrzeniach. Tu należało się spodziewać, że nasza podróż przyjmie swój odwrotny kierunek. Zachowanie się władz sowieckich jednak nie wskazywa-

ło na taką zmianę.

Los rządzi życiem człowieka bez jego wiedzy i czyni mu niespodzianki w najmniej spodziewanych miejscach. Taką niespodzianką dla mnie było spotkanie się z dawnym kolegą gimnazjalnym Tadzikiem Warszylewiczem. W tej olbrzymiej masie ludzi nagle moje i jego nazwisko zostały wyczytane w tej samej grupie. W tym musiała być jakaś tajemnica systemu ewidencyjnego, która była poza naszymi możliwościami rozwiązania. Obaj byliśmy w innych więzieniach, obaj przybyliśmy innymi transportami i niespodziewanie znaleźliśmy się w tej samej grupie więźniów.

Odnawianie dawnych znajomości gimnazjalnych jednak nie skończyło się na tym. W ciągu jednego z tych dni czekania wyznaczono naszą grupę do przyniesienia z zewnątrz obozu jakąś drewnianą belkę. Podczas krótkiego pobytu na zewnątrz spotkałem się twarz w twarz z Pawełkiem Januszewskim. Od niego dowiedziałem się, że razem z nim było kilku innych Buczaczan, których ewidencja obozowa też połączyła w jedną grupę.

Nasze przewidywania spotkały się z wprost przeciwnym pociągnięciem władz sowieckich. Po tygodniu czekania kazano nam spakować rzeczy i przygotować się do dalszej podróży, tym razem do podróży morskiej. Z tobołami na plecach i w towarzystwie nieodzownych konwojentów odbyliśmy krótki marsz do portu. Ani miejscowość Buchta Nachodka, ani port nie wyglądały lepiej niż mała wioska i przystań rybacka - kilka drewnianych chat i budynków, małe drewniane molo i ani śladu cywilnej ludności.

Duży czarny okręt stał w pewnej odległości od brzegu, między nim, a molo ciągle krążyły małe barki, a na brzegu masa więźniów czekała na swoją kolejkę do załadowania się. Naszą

pięćdziesiątkę wtłoczono do jednej z barek razem ze strażnikiem i za kilkanaście minut drapaliśmy się po drabinie sznurowej na pokład okrętu. Nieszczęśliwym trafem nasza grupa była jedną z ostatnich , przeznaczonych do luki okrętowej. Wobec czego dostaliśmy najgorsze miejsca. Z chwilą wejścia do ciemnej, gorącej i dusznej luki cała wewnętrzna przestrzeń była już wypakowana ludźmi po brzegi. Ludzkie ciała i twarze widziało się wszędzie - w każdym przedziale pięciopiętrowych prycz, w każdym przejściu i wielu wiszących między pryczami i posuwających się powoli w poszukiwaniu za wolnym miejscem. Tadzio Warszylewicz i ja też rozpoczęliśmy tą mozolną wędrówkę w zawieszeniu za przykładem innych. W końcu, w szarzyźnie luki dojrzałem szary kawałek podłogi, który natychmiast zająłem. Tuż obok pod pryczami znalazło się też miejsce dla Tadzia. Miejsca te wprawdzie nie należały do najlepszych, ale były po przeciwległej stronie luki, gdzie mieściły się "parasze"-prowizoryczne przenośne urządzenia sanitarne. O miejsce mego towarzysza musieliśmy stoczyć słowną walkę z jednym z naszych współwięźniów, który uważał, że w jego działce może się pomieścić tylko cztery osoby. Ostatecznie przy dobrej woli obu stron cała sprawa została załatwiona polubownie.

Tylko władze okrętowe mogły znać dokładną ilość ludzi w naszej luce. Ja mogłem tylko opierać się na przybliżonej ocenie. Biorąc tak na oko w tej małej przestrzeni stłoczono co najmniej 800 osób, co prawdopodobnie było skromną oceną. Cała grupa musiała być wyłącznie polskiej narodowości, ponieważ rosyjskiej mowy w ogóle się nie słyszało. Na skutek zagęszczenia temperatura i zaduch były wprost nie do zniesienia. Sprawy fizjologiczne były po prostu męczarnią. Do

zewnętrznego ustępu trzeba było ustawiać się w kolejce i czekać co najmniej dwie godziny wisząc w przejściach między pryczami nad głowami innych. Do paraszy czekało się nieco krócej. Wprawdzie też trzeba było wisieć w kolejce, ale do jednej beczki kilka osób mogło załatwiać się jednocześnie, co wybitnie przyspieszało proces zaspokojenia tej potrzeby.

Następnego dnia rano usłyszeliśmy przyspieszony ruch śruby okrętowej i poczuliśmy kołyszący się ruch okrętu. Około południa wypłynęliśmy na pełne morze. Dla mnie była to pierwsza podróż morska. Będąc typowym "szczurem lądowym" obawiałem się, że wcześniej czy później stanę się ofiarą morskiej choroby. Pierwszy dzień podróży minął spokojnie, utwierdzając mnie w przekonaniu, że jestem odporny na tego rodzaju chorobę. W swojej południowej części Morze Japońskie było raczej spokojne. Nikt z nas nie był pewny, gdzie się znajdujemy, a morze widzieli tylko ci, którzy doczekali się swojej kolejki do zewnątrznego ustępu.

Kiedy znaleźliśmy się na pełnym morzu otworzono szerzej pokrywy luki, co pozwoliło na lepszą wentylację miejsca i na większy dopływ świerzego powietrza. Wewnętrzny zaduch i wyziewy z latryn przynajmniej częściowo ulotniły się z luki wypełnionej po brzegi masą ludzką. Również ten zabieg pozwolił na obniżenie się temperatury. Mimo to zasadniczym ubraniem więźniów była ich bielizna, najczęściej tylko jej dolna część.

Na pełnym morzu też wydano nam racje żywnościowe, które składały się z kawałka chleba i garści kwaśnej kapusty. Do tego przydzielono jedno wiaderko wody na każdą grupę. Wewnątrz luki powstała pewna organizacja, która zapewniała równy i spra-

wiedliwy podział przydziałów żywnościowych. Brygadierem naszej grupy został młody człowiek, Żukowski, student lwowskiego uniwersytetu. Ten energiczny i przedsiębiorczy człowiek miał w sobie prawdziwe cechy przywódcy, uczciwego, solidnego i dbającego o swoich ludzi.

Już w Buchce Nachodce obiła się nam o uszy nazwa Kołymy, kraju w kole podbiegunowym, gdzie odkryto bogate pokłady złota. Pierwsze wiadomości przyjmowaliśmy tylko jako jedną z informacji więziennych, która doszła do nas drogą nieoficjalnej poczty. Nie braliśmy nawet pod uwagę tego, że kraj ten może być naszym następnym przeznaczeniem. Kiedy znaleźliśmy się na okręcie stało się jasne , że płyniemy w kierunku północnym, niewątpliwie w stronę strasznego kraju, skąd nikt nie wraca. Nam wciąż było trudno z tym się pogodzić - kraj złota i śmierci mógł uchodzić jako taki wśród Rosjan, ale my Polacy, jako obcy obywatele nie możemy być podporządkowani temu.

Łagodna pogoda pierwszego dnia gwałtownie ustąpiła miejsca niespodziewanej morskiej burzy. Wpierw odczuliśmy jej skutki, a potem dowiedzieliśmy się od strażników, że "bolszaja kaczka" rozszalała na wodach Morza Japońskiego. Nikt z nas nie był na tyle zaznajomiony ze sprawami morskimi, aby dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, co nam groziło w dalszej części podróży. Mogliśmy się jednak domyśleć, że tajfun na Pacyfiku dotarł do rejonu naszej podróży i nie szczędził nam niespodzianek morskiej przygody.

Gwałtowne kołysanie okrętu w każdą stronę szybko odbiło się na moim samopoczuciu. Żołądek zaczął dawać znać o sobie, ostre bóle głowy spowodowały nagle zawroty, a całe moje wnętrze domagało się natychmiastowego wyrzucenia z siebie małej

racji jedzenia, które przyjąłem wcześniej. Nie ulegało wątpliwości, że morska choroba dawała znać o sobie. Tadzio był pierwszym, który jej uległ, a ja niedługo potem poszedłem jego przykładem. Tak jak mówiły książki, to natychmiast przyniosło nam ulgę. Epidemia tej choroby chyba objęła każdą osobę w luce. Ślady tego były szczególnie widoczne w przejściach, gdzie wielu padło ofiarą swoich kolegów z góry.
Burza na zewnątzr szalała ze zdwojoną siłą. Przód okrętu gwałtownie podnosił się do góry, a następnie nurkował w głębie wodnej pustki. Za każdym razem środkowe prycze w swoich powiązaniach odzywały się skrzypiącym głosem ostrzeżenia. Przy niektórych ruchach nawet odczuwało się lekkie kołysanie do przodu i tyłu. Nagle razem z ruchem okrętu ku przodowi środkowe prycze runęły w tym samym kierunku. Uczułem uderzenie deską po udzie i szybko skoczyłem na nogi. Na moich oczach splot desek i nagich ciał zaczął się mieszać i ruszać przy okropnych wołaniach i krzyku przygniecionych ludzi. W luce momentalnie powstała panika.
W pierwszej chwili popatrzyłem na Tadzia. On leżał przygnieciony deską, próbując się stamtąd wydostać. Chwyciłem za koniec tej deski i całą siłą starałem się ją podnieść. Tadzio wreszcie wydostał się. W tej chwili porwała mnie fala ludzka i czułem jak niosła mnie w kierunku schodów. Pod ciężarem uciekających schody też nagle runęły. Ci którym udało się wydostać z luki, zaczęli wyciągać rękami innych. W pewnym momencie kilka par rąk chwyciło mnie i znalazłem się na zewnątrz w piekle szalejącego morza.
Ubrany tylko w kalesony znalazłem się na pokładzie przez który co chwila przewalały się fale zimnej wody. Natychmiast stałem się przedmiotem ich ataku i z konieczności musiałem

chwycić się jakiegoś sznura, aby nie być zmytym do morza. Obok mnie szereg więźniów trzymało się kurczowo różnych trwałych przedmiotów dla utrzymania się na pokładzie. Ciężki stalowy okręt co chwila zanurzał się przodem w wodę, a następnie podnosił się na fali, otrząsając się z wody. Szczęśliwie zabrałem ze sobą koc i kurtkę, które w odpowiednim momencie nałożyłem na siebie. Podczas gdy inni dygotali z zimna, ja przynajmniej do pewnego stopnia zaoszczędziłem sobie tego doświadczenia. Koc zaoferowałem najbliższej mnie osobie , a sam siedząc na zwoju lin trzymałem się ich w obawie przed zmyciem z pokładu.

Obok mnie ludzie biegali tam i z powrotem na wpół obłąkani ze strachu. Niektórzy krzyczeli jak gdyby wzywając pomocy, niektórzy płakali, inni znowu błagali strażnika, aby wpuścił ich do środka. Dwaj strażnicy, stojący niepewnie przy wejściu odpychali kolbą każdego kto się tylko zbliżył do wejścia. Do czasu postawienia prycz nikomu nie pozwolono wejść do wnętrza luki.Kilku wdarło się siłą, kiedy bojcy odpychali innych. Widząc to poszedłem za ich przykładem i w odpowiednim momencie skoczyłem do środka. Prycze stały już w pozycji pionowej. Natychmiast zacząłem szukać za Tadziem. Chodząc w przejściu nagle usłyszałem jego głos u góry. Ten obrotny człowiek zdążył już zająć miejsce na samej górze prycz tuż pod samym otworem do luki. Dla mnie też znalazło się tam trochę wolnej przestrzeni, za co byłem mu niezmiernie wdzięczny. Przed nami otworzyły się lepsze perspektywy dalszej podróży - świeże powietrze, większa swoboda ruchów i bliskość miejsca przez które wydawano prowiant i wodę. Byłem mu również wdzięczny za przechowanie moich rzeczy, których w pośpiechu nie zdążyłem wziąć ze sobą.

Po pewnym uspokojeniu się morza rzuciłem okiem na lukę. odniosłem wtedy wrażenie, że przybyło trochę wolnej przestrzeni. Pewna część więźniów musiała ubyć z pomieszczenia. Musieli być ranni i może zabici, których w jakiś sposób usunięto z luki. Może dlatego Tadzio i ja mieliśmy lepsze pomieszczenie na pozostałą część naszej morskiej podróży. Siedząc na górnej pryczy z widokiem na ograniczoną część pokładu mogłem zauważyć niektóre szczegóły okrętu. Już wcześniej było mi wiadome, że ten towarowy okręt o wyporności 8-10 tysięcy ton nosił dziwną nazwę "Dżurma". Na dolnej części masztu wyczytałem belgijską nazwę Antwerpia, co wskazywało, że okręt był zbudowany w dokach Schilde i może nawet przez pewien czas należał do jakiegoś belgijskiego towarzystwa okrętowego. Najbardziej interesowało mnie to ilu ludzi w danej chwili było na jego pokładzie, a raczej w jego lukach. W tym wypadku musiałem polegać na zdaniu innych, którzy ocenili nasz stan na 8 tysięcy ludzi. Taka ilość ludzi na stosunkowo niedużym statku towarowym to był niesamowity tłok. W swojej przeszłości oglądałem filmy przedstawiające masowy transport Murzynów do kolonii amerykańskich. Żaden z nich nie był podobny naszemu. Ich sposób transportowania był bezwzględnie bardziej ludzki. Czy oni dostawali lepsze racje żywnościowe niż my, o tym nic konkretnego nie mogłem powiedzieć, ale musieli mieć oni więcej swobody niż my - straszny tłok ludzi tam nie był wcale widoczny.

Dnia 29-go lipca, po ośmiodniowej podróży, zawinęliśmy do północnego portu Nagajewo na wybrzeżu Morza Ochockiego. Piękne letnie słonko powitało nas jak wyszliśmy na zewnątrz z ciemnych, gorących i dusznych luk okrętowych. Niezwłocznie ukazał się przed nami krajobraz pięknej zatoki, ledwie

tkniętej cywilizacją człowieka, a na dalszym planie wysokie góry, lekko przyprószone zielenią u swojej podstawy i przykryte czepkiem białego śniegu. W innych okolicznościach można było w nieskończoność rozkoszować się tym widokiem natury północnego kraju. Czyste niebieskie niebo, cudne szaro-zielone morze i wspaniałe orzeźwiające powietrze-to niezapomniane wrażenie, jakie odniósł człowiek po wyjściu ze zgniłej, cuchnącej i ciasnej przestrzeni okrętowego wnętrza. Lecz rozkosz wrażenia była krótkotrwała. Ostry rozkaz bojców kazał nam powrócić do twardej rzeczywistości. Przed nami szara masa więźniów już siedziała na żwirowanej przestrzeni portowego podwórka, czekając na dalsze dyspozycje. My wnet dołączyliśmy do nich. W czasie tego czekania ujrzałem znajomą mi twarz Romka Wójcickiego. Powitaliśmy się na odległość kiwaniem ręki. Szukałem innych, ale w tej olbrzymiej masie rozpoznanie pojedyńczego człowieka było szukaniem szpilki w stogu siana. Wkrótce rozpoczęliśmy sześciokilometrowy marsz do stolicy Kołymy, miasta Magadanu. Kolumna więźniów rozciągnęła się na całą długość drogi. Tadzio Warszylewicz i ja trzymaliśmy się ciągle razem, uważając na to aby nikt nas nie rozdzielił. Po drodze ukazał się nam smutny widok szarych baraków zawieszonych na stromej ścianie wzgórza, które wznosiło się raptownie ku niebu od brzegów zatoki. Kolczaste druty i wysokie wieżyczki niedwuznacznie dawały nam możność zrozumienia ich przeznaczenia. Kilka kilometrów dalej ukazał się następny kompleks baraków o nieco innej konstrukcji, co mogło świadczyć o ich użyciu jako olbrzymie składy magazynowe. Dalej znowu wieżyczki, baraki i szerokie bramy, wszystko otoczone kolczastym drutem, jakby w obawie, że cały zestaw urządzeń lagiernych mógłby się bez nich rozlecieć. Po drodze kilka

drewnianych budynków i gdzieś na uboczu inny zestaw budynków, a przed nimi masa ludzi, czekających na swoją kolejkę następnej procedury. Bojcy powiedzieli nam "eto bania" - myśmy wiedzieli już z doświadczenia, że w zakres tego wchodziło odwszenie naszej garderoby i umycie się pod prysznicem kawałątkiem mydła. Kiedy na nas przyszła kolej wejścia do jednego z budynków otrzymaliśmy rozkaz pozostawienia wszystkich naszych osobistych rzeczy na miejscu, z wyjątkiem ręczników i chusteczki do nosa. Nie wszyscy byli chętni podporządkować się temu zarządzeniu. Niektórzy darli swoje ubrania i buty, inni starali się je przemycić w zwiniętym ręczniku. Tadzio i ja wyciągnęliśmy swoje dobre ubrania z worka i śladem innych zdołaliśmy bezboleśnie przejść kontrolę przy drzwiach. Po godzinie, ogoleni z każdej części naszego owłosienia, umyci w zimnej wodzie ledwie funkcjonującego tuszu i ubrani w nowowydane nam ubrania więzienne, wyszliśmy na zewnątrz drugimi drzwiami rozległego budynku łaźni. Teraz byliśmy wszyscy równi i jednakowi, ubrani w kufajki, buszłaki i granatowe czapki. Dziwnym zbiegiem okoliczności po drugiej stronie spotkaliśmy się z całą grupą Buczaczan. Roman Wójcicki, Paweł Januszewski, młody Vidak i jego rówieśnik Urbański, Siwak z Podzameczka, Tadzio Warszylewicz i ja znaleźliśmy się w tej samej grupie maszerującej w kierunku naszego następnego celu - do tranzytki magadańskiej. W czasie marszu oglądaliśmy nieliczne budynki śródmieścia, kilka nieznanych nam urządzeń i boisko sportowe, gdzie grupa kilkunastu wolnych grała w siatkówkę. Wówczas przypomniały się nam zawody we Lwowie. Z naszej ówczesnej drużyny gimnazjalnej nas czterech maszerowało po żwirowanej drodze, życząc sobie możliwości ponownego uprawiania tego spor-

tu. Tymczasem przed nami stała otwarta brama tranzytki, skąd mieliśmy rozpocząć dalszą podróż do nieznanych nam terenów Północy - do osławionych łagrów przy kopalniach złota, gdzie zima trwa tylko dziewięć miesięcy, a potem piękne lato trwa w nieskończoność. Tak mawiali Rosjanie, żeby mordercze życie w tundrze i tajdze ubrać kolorem paradoksu.

Przy bramie powitano nas wydaniem kartek na zupę i zaprowadzono nas do kuchni. Na każde osiem osób wydano jedną miskę zupy - szarej wodnistej zupy zrobionej na owsie i rybie. Do jedzenia trzeba było ustawić się w pierścień i kolejno pobierać łyżką po łyżce swoją należność. Do spania wyznaczono nam jeden z baraków ze stalowym urządzeniem piętrowych prycz i jak się później okazało solidnie zawszonych i zapluskwionych. Miejsca było jednak dużo. Ta prawie nieograniczona przestrzeń była luksusowym komfortem w porównaniu z ciasnotą na okręcie. Odszukaliśmy resztę Buczaczan i razem ułożyliśmy się na jednej pryczy.

Od wczesnego rana, a raczej po wydaniu identycznej zupy jak poprzednio oraz porcji chleba, aparat obozowy rozpoczął swoją pracę nad rozlokowaniem niedawno przybyłych niewolników. Urzędnik, lista, wyczytywanie i ładowanie po pięćdziesięciu ludzi na samochód ciężarowy powtarzało się co kilka godzin w miarę przybywania środków transportu. Naszej grupy buczackiej przez dłuższy czas nie wywoływano. Pierwszym, który odszedł od nas był Pawełek Januszewski, ale szczęśliwie nie do obozu pracy. Jego ropiejące nogi, na skutek awitaminozy, były przyczyną jego odejścia do szpitala. Wśród pozostałych Siwak, Urbański i Vidak cierpieli na tak zwaną kurzą ślepotę - o zmroku i nocą oni nic nie widzieli. Ich niedomagania nie były jednak uznawane za niedomaganie

nadające się do szpitalnego leczenia. Innych wywoływano i wywożono, a nas trzymano jak gdyby w rezerwie dla specjalnego przeznaczenia. Na kilka dni przeniesiono nas do 4-go obozu po drugiej stronie rzeczki, gdzie używano nas do robót przy nowo-budujących się barakach i przy kopaniu rowów w porcie. Przez ten krótki okres czasu Tadzio i ja trzymaliśmy się razem w tej samej grupie. Na 4-tym obozie udało się nam sprzedać ubrania Rosjanom za mało wartościowe ruble. Posiadając pieniądze nawet udało się nam zakupić po bochenku chleba w obozowym sklepiku. To obudziło w nas fałszywe przekonanie, że sprzedaż chleba w sklepikach będzie trwałym zwyczajem. Niestety tego rodzaju możliwość nabycia tak cennego artykułu żywnościowego zdarzyła się tylko raz i nigdy już się nie powtórzyła.

Po kilku dniach przeniesiono nas z powrotem do obozu tranzytowego, chociaż stamtąd też wysyłano nas do robót na terenie miasta. Romek i Tadzik niemal natychmiast zostali wyczytani i wyjechali w teren jednym z czekających przed bramą wozów ciężarowych. Moje nazwisko zostało wywołane w tej samej grupie, ale ktoś inny się odezwał i kazano mu wsiadać do wozu. Byłem zawsze przekonany, że w tym miejscu nastąpiła pomyłka i że ktoś inny wyjechał razem z tą grupą do której należałem dość długo.

Następny raz moje nazwisko wyczytano ponownie dopiero 4-go sierpnia rano. Całą grupę 50 ludzi składającą się z różnych narodowości, w tym pięciu Polaków załadowano na wóz i pod strażą dwóch bojców wysłano w teren. Podróż w ścisku, gdzie jeden drugiego ciągle stukał kolanami, była niezwykle uciążliwa i męcząca. Jechaliśmy przez kraj niemal zupełnie pusty, o bardzo ubogiej roślinności. W dolinach często widziało się

olbrzymie połacie wyschniętych lasów, rzeki pokryte rozmiękłym lodem, szare skaliste zbocza gór i ich wklęsłości oraz szczyty, pokryte płachtami białego śniegu. Jedynym urozmaiceniem krajobrazu były łagry pracy, spotykane co kilkadziesiąt kilometrów. W ciągu doby, jadąc dzień i noc, przejechaliśmy ponad 4oo kilometrów w kierunku północno-zachodnim od Magadanu. Rankiem dotarliśmy do jakiejś rzeczki, gdzie kończyła się droga i gdzie tylko prowizoryczna kładka prowadziła na drugą stronę. Od tego punktu musieliśmy odbyć dalszą drogę na piechotę.

Po drugiej stronie były jedynie ślady traktora, które służyły nam jako wskaźnik naszego kierunku. Jak się ta ciężka maszyna tam dostała, można było się tylko domyślać. Prawdopodobnie traktor przedostał się przez rzeczkę, kiedy woda była jeszcze zamarznięta. Jedyny strażnik, jaki nas konwojował, był bardzo wyrozumiały w stosunku do nas w czasie tego marszu. Wiedząc o tym, że nie dostaliśmy żadnego jedzenia od czasu wyjazdu z Magadanu, pozwalał nam zrywać jagody z krzaków borówek, rosnących nad rzeczką. W porze południowej nawet pozwolił nam na kąpiel w kuszącej nas czystej wodzie. Z wielkim entuzjazmem wskoczyłem do rzeczki i jeszcze z większą szybkością z niej wyskoczyłem. Lodowato zimna woda absolutnie przechodziła granice mojej wytrzymałości.

Pod koniec marszu zabłądziliśmy w tajdze i tylko dzięki jakiemuś więźniowi z komanderówki weszliśmy z powrotem na właściwą trasę.

Do obozu dotarliśmy dopiero o zmierzchu. Zaraz po przyjściu uraczono nas kolacją, która składała się z kawałka chleba i miski wodnistej owsianej zupy. Na nasze wygłodniałe żołądki ta skromna dawka była absolutnie za mała. Do spania

wyznaczono nam barak bez dachu, który służył w czasie dnia jako stołówka. Szczęśliwie przybyliśmy do obozu w czasie lata, kiedy deszcze prawie się nie zdarzały. W czasie podróży zaprzyjaźniłem się z Jankiem Kubasem z Jagielnicy, młodym kapralem z jakiegoś pułku piechoty. Tej nocy, przykładem innych, postanowiliśmy dzielić wspólne łoże na twardych deskach podłogi. Jeden z buszłaków użyliśmy jako materac, a drugim przykryliśmy się niczym kocem. Cały następny dzień był dla nas dniem odpoczynku. Wykorzystałem to do zapoznania się z obozem. W pierwszym rzędzie dowiedziałem się, że to miejsce na syberyjskim pustkowiu nazywa się PRYISK PIONIER. Słowo pryisk w moim zrozumieniu było jakimś skrótem, który oznaczał kopalnię złota. Również zauważyłem na samym początku, że baraki w obozie nie były jeszcze wykończone . Żaden z trzech baraków nie posiadał dachu, dwa z nich były jednak przykryte korą, co niewątpliwie chroniło tylko przed śniegiem. Brak wykończenia przypisywano temu, że obóz ten istniał dopiero dwa lata. Pośrodku każdego baraku był piecyk blaszany, a po obu stronach stały dwupiętrowe prycze. Zewnętrznie obóz był otoczony rzędem kolczastych drutów i przepisowo na rogach stały wysokie wieżyczki strażnicze. Gdzieś w kącie był karcer dla niepoprawnych i obok niego składnica trupów, dla których zabrakło dołów wykopanych w ciągu lata. Od strony kopalni stała szeroka brama z napisem u góry "Ojczyzna potrzebuje metalu". Obok niej po stronie obozu były dwa pomieszczenia na strażnicę i kancelarię obozu. Obóz i kopalnia mieściły się w dolinie małej rzeczki, która niewątpliwie pośrednio lub bezpośrednio wpadała do głównej rzeki Kołymy. Po jej obu stronach wznosiły się wysokie góry, u podstaw których rosły dość wysokie drzewa szpilkowe. Nieco

wyżej rozpoczynało się pasmo krzewów, następnie szeroka przestrzeń szarych skał i na samej górze bieliły się płaty śniegu. Na zboczach zwróconych ku północy roślinność była bardziej uboga. Tu widziało się dużo uschniętych drzew, które ginęły kiedy ich korzenie doszły do wiecznie zamarzniętej ziemi. Między zboczami ciągnęła się płaska przestrzeń na szerokość 300-400 metrów. Przednia jej część była oczyszczona z drzew i używana jako rejon kopalni, reszta w górę rzeczki była wciąż zarośnięta lasem. Na zewnątrz obozu było kilka specjalnych zabudowań. Na górce tuż przy drutach mieścił się barak z przeznaczeniem dla strażników. W dolnej części, koło kopalni, stało kilka ziemianek-szałasów, w których mieszkali tzw. "wolniaszki". Byli to ludzie, którzy odbyli swoją karę, ale nie mając pozwolenia nie mogli opuścić tego rejonu. Jeśli ktoś upierał się i żądał odesłania go do swojej rodzinnej miejscowości, wówczas wyszukiwano mu inne przestępstwo i szedł z powrotem do obozu. Takich, którzy odsiedzieli karę, było ledwie kilku. Większość więźniów wymierała z głodu, zimna i choroby w ciągu zimy. W ciągu dziewięciu długich i zimnych miesięcy stan więźniów zmniejszał się co najmniej o połowę. W ciągu lata /czerwiec, lipiec, sierpień/ przychodziły uzupełnienia, tak samo przeznaczone na wymarcie.

W tym pierwszym dniu również zapoznałem się z warunkami wyżywienia. Ilość jego, wydawana więźniowi dziennie, była uzależniona od jego wydajności. Ten kto wyrabiał normę dostawał 800 gramów chleba, kto osiągał przeciętną otrzymywał 600 gramów, a reszta musiała zadowolić się 400 gramami. Te racje odnosiły się tylko do letniego okresu, w zimie wszystkie były obniżone do 200 gramów. Uzasadniano to tym, że wykonywanie takiej lekkiej pracy jak odrzucanie śniegu i rąbanie drzewa

nie wymaga lepszego odżywiania. Przy tak głodowych racjach i przy mrozie sięgającym 70 stopni Celsjusza poniżej zera ludzie ginęli jak muchy. Opowiadano mi, że w ciągu zimy ludzie zamarzali siedząc przy ogniu, wielu zaś odmrażało kończyny, co kończyło się natychmiastową operacją. Jak się później dowiedziałem co roku zbierano w Magadanie około tysiąca takich inwalidów, których odsyłano do południowej Syberii dla odbycia dalszej kary. W okresie letnim również wydawano trzy gorące posiłki dziennie składające się z miski zupy z owsa, oraz kawałka śledzia. Zimą wydawano tylko dwa posiłki dziennie.

Pierwszą pracą do jakiej nas wyznaczono było gaszenie pożaru lasu. Te były wzniecane jedynie w czasie lata, na skutek ludzkiej nieostrożności. Więźniowie przydzieleni do komanderówki /pojedyńcze szałasy dla ludzi spełniających specjalne zadania w lesie/ rozniecali ognie i nie gasili ich przed odejściem. Od ogniska zapalał się torf, a następnie drzewa i krzewy. Jeśli to nie zagrażało żadnemu objektowi nikt się o to nie troszczył. Po dojściu do rzeki lub bagna, ogień wygasał siłą rzeczy. W naszym wypadku wiatr wiał w kierunku obozu, trzeba więc było temu zapobiec. Łopatami musieliśmy zdejmować torf na szerokość jednego do dwóch metrów i wyrąbywać drzewa w pewnym pasie. Po stworzeniu tej zapory ogień poszedł w innym kierunku a my wróciliśmy do obozu. Rano dnia następnego przydzielono nowoprzybyłych do brygad pracy na kopalni złota. Każdy z kolei dostał przydział do zwiena, najmniejszej komórki pracy, złożonej z pięciu ludzi. Normą dzienną dla takiej grupy było wykopanie 10 metrów kubicznych ciężkiego gliniastego iłu i przewiezienie taczkami po wąskiej kładce do płuczkarki /butary/. Praca tego rodzaju była

niezwykle męcząca i dla nas wykonanie takiej normy było wprost niemożliwe. Wpierw wziąłem się do taczek, ale już z pierwszą przewróciłem się po zrobieniu kilku kroków. Z konieczności musiałem podjąc się kopania iłu. To mi też szło bardzo nieskładnie. Przy tym rozbita ziemia niemal natychmiast tężała i zachodziła potrzeba ciągłego pracowania nad nią. W tym dniu prawdopodobnie nie wyrobiłem więcej niż ćwierć normy. Moja przyszłość na kopalni nie zapowiadała się zbyt różowo.

Sposób płukania złota był raczej prymitywny. Ziemię przewoziło się taczkami do pasa transmisyjnego, który przenosił ją do rynny z wodą spływającą z lodowca. Strumień spadający z ziemią dzielił ją na złoto i brud. Złoto jako cięższe spadało bliżej butary, a brudna woda i kamienie spadały dalej. Dziennie wydobywano w ten sposób około czterech kilogramów cennego kruszcu. Na to składały się dwie zmiany - dzienna i nocna. Drugim sposobem wydobywania złota było wypłukiwanie samorodków z piasku. Praca ta była zarezerwowano wyłącznie dla wolniaszków. Znalezione samorodki dochodziły do wielkości 25 gramów, za które pracownik otrzymywał po 25 rubli za gram. Podobno największa grudka złota wypłukana w tej kopalni ważyła 80 gramów. Złota nie wolno było zatrzymywać dla siebie. Za takie przestępstwo groziła kara śmierci. Wyrok tego rodzaju z reguły zamieniano na dożywotnie roboty.

Po całodziennym borykaniu się z łopatą i trudną do rozbicia ziemią, skorzystałem z pierwszej okazji, aby zmienić pracę. Następnego dnia kierownik kopalni potrzebował kogoś do odrzucania kamieni spod butary. Bez namysłu zgłosiłem się na ochotnika. Praca też nie była łatwa i absolutnie za ciężka dla mnie. Przy następnej nadarzającej się okazji zgłosiłem się na ochotnika do czerpania wody z dołu do rynny. Tym ra-

zem mogłem podołać temu zadaniu. Dobrą stroną tego było to, że mogłem odpoczywać, kiedy strażnik miał oczy zwrócone w inną stronę. W ciągu jednego z pierwszych dni naszego pobytu w obozie władze obozu podały nam oficjalnie do wiadomości, że między Sowietami i Polskim Rządem w Londynie została zawarta umowa, na mocy której wszyscy Polacy zostaną zwolnieni z obozów. W kilka dni potem większość z nas przydzielono do wyrębu lasu, co w ich zrozumieniu było lekką pracą. Istotnie praca przy drzewie była lżejsza niż na kopalni. Przede wszystkim nie byliśmy podporządkowani stałej kontroli strażników. Norma jednak była też za wysoka dla nas - ścięcie i ułożenie 15 metrów kubicznych drzewa na zwieno składającego się z trzech ludzi, przechodziło nasze siły. W grupie tej było trzech Polaków - Siwak, Miller i ja. Mimo, że byłem najmłodszy mnie wyznaczono na zwienowego. Wprawdzie nigdy nie wyrobiliśmy pełnej normy, ale mieliśmy lepsze osiągnięcia niż inni, co wyrobiło nam dobrą markę u brygadiera Suworowa. Później uciekaliśmy się do oszustwa przez zaliczanie do dziennej pracy stogów nie zaznaczonych w dniu poprzednim. Nasze obowiązki przy drzewie co pewien czas ulegały zmianie w zależności od zapotrzebowania. Przez kilka dni ścinaliśmy drzewo na budulec i deski, które następnie nosiliśmy na kopalnię lub do baraku strażników. Po zrobieniu tego powróciliśmy do wyrębu lasu. W czasie tego zapoznałem się bliżej z osobą dawnego carskiego a później rewolucyjnego oficera, Kuźniecowa. Zajęciem jego było ostrzenie pił i siekier. Kiedy dowiedział się, że ukończyłem szkołę oficerską od razu nabrał do mnie szacunku i chętnie wdawał się ze mną w rozmowę.

Podczas jednego z pierwszych dni wezwano mnie do lekarskiego

badania. Okazało się, że lekarzem była młoda kobieta, która co pewien czas objeżdżała podległe jej obozy. Po zbadaniu stanu mojego zdrowia nalała do szklanej miarki dawkę tranu i kazała mi to wypić. Kiedyś w dzieciństwie nikt nie mógł zmusić mnie do wypicia tego wstrętnego płynu, natomiast teraz, kiedy ciało było spragnione tłuszczu połknąłem całą dawkę niczym miód i równocześnie poczułem odżywcze jej działanie.

Inną znajomością, którą zrobiłem w obozie był stary kucharz Iwan, pochodzący z rosyjskiej Ukrainy. Pewnego wieczoru zwrócił się do mnie z propozycją narąbania mu drzewa do kuchni. Wziąłem Kubasa na swego wspólnika i razem narąbaliśmy tyle ile kucharz potrzebował. Za to dostaliśmy po misce owsianej zupy, nie tej wodnistej i rzadkiej, ale tej gęstej z samego dna kotła. To samo powtórzyło się dnia następnego, co dla nas głodnych było niezwykłą gratką. Trzeciego dnia kucharz wciągnął mnie do kuchni do mycia naczyń. Odtąd w godzinach wieczornych pracowałem w kuchni, co nie było męczące a co dawało mi możność napełnienia mego żołądka gęstą zupą. Również przy każdej okazji kradłem po kilka śledzi i rano wynosiłem na rejon pracy, gdzie dzieliłem się tym z moimi dwoma kolegami. Między mną i Iwanem zawiązały się po czasie dość przyjazne stosunki. Często po zamknięciu kuchni siadaliśmy na progu i prowadziliśmy pogawędki, najczęściej na temat życia w Polsce. Tego rodzaju rozmowy prowadziliśmy tylko wtedy, kiedy nie mieliśmy świadków. Pewnego razu ktoś doniósł starszemu kucharzowi, że ja wynoszę śledzie z kuchni. Ten z miejsca chciał mnie wyrzucić z tej dodatkowej pracy. Iwan stanął w mojej obronie, wobec czego pozostałem na miejscu. Na uboczu mój nowy przyjaciel powiedział mi w zaufaniu,

abym był ostrożny w wyciąganiu śledzi z beczki. Urządziłem się więc w ten sposób, że po opłukaniu pozostawiałem kilka śledzi w naczyniu i przy wylewaniu wody z naczynia oddawałem je jednemu ze swoich kolegów w umówionym miejscu. Czasami chowałem ukradzione śledzie za rogiem baraku i wychodząc z kuchni zabierałem je ze sobą.

W połowie sierpnia rozpoczęła się pora deszczowa. Dokuczliwy, mały deszcz mżył bez ustanku przez całe osiem dni. Był to chyba najgorszy okres mego pobytu na kopalni. W pierwszych dniach słoty wciąż mieszkaliśmy w baraku bez dachu. Mokliśmy więc w ciągu dnia i nocy. Pierwszej nocy zrobiłem mały daszek z kory, który umocowałem nad sobą w ścianie. Urządzenie to niewiele mi pomogło. Siedziałem skulony pod korą i życzyłem sobie, aby dzień jak najszybciej się rozpoczął. Moim marzeniem było rozpalić ogień i wysuszyć ubranie. Rano mokry do nitki wyszedłem do pracy. Rozpaliliśmy duże ognisko pod rozłożystym drzewem, przy którym zaraz się przysiadłem. Siedząc tam niemal wlazłem w ogień w rezultacie wypaliłem dziurę w buszłaku i w butach. Następne dwie doby były podobne do pierwszej. Dopiero na czwartą noc pozwolono nam przejść do dwóch baraków pokrytych korą i zająć miejsca tych, którzy pracowali na nocnej zmianie. Wprawdzie tam deszcz też przenikał do środka, ale kora, sienniki i prycze przynajmniej częściowo chroniły nas przed przemoknięciem. Ulokowałem się na dolnej pryczy koło Kubasa i tak przetrwaliśmy razem resztę okresu deszczowego. Po tej nieustannej ośmiodniowej słocie dowództwo obozu zdecydowało się na pokrycie dachów deskami. W związku z tym przybyła nam jeszcze jedna dodatkowa robota. Wieczorami, po zasadniczej pracy, musieliśmy wędrować co najmniej jeden kilometr w górę rzeczki,

do tartaku napędzanego wodą, i z powrotem nieść deski na swoich barkach. Pokrywanie dachów rozpoczęło się od starych baraków, które myśmy już na stałe dzielili z nocną zmianą. Wkrótce potem rozpoczęły się mrozy. Równocześnie zaczęto palić w piecykach, co pozwoliło nam na powolne wysuszenie ubrań. Sam mróz miał tą dobrą stronę, że zniszczył wszystkie komary i muszki. Owadów tych była masa, zwłaszcza muszek. One masami pchały się do oczu i niektórzy z tego powodu mieli popuchnięte oczy. Dla ochrony przed nimi nam nowoprzybyłym wydano maski w rodzaju siatki. Wielu starych więźniów pogubiło swoje i dlatego nasze stały się przedmiotem kradzieży i handlu.

Podczas długiego przebywania w lesie zauważyłem niemal kompletny brak dzikiej zwierzyny i ptaków. Jedynym stworzeniem, jakie od czasu do czasu ukazywało się na drzewie była ciemno-brązowa wiewiórka, która po rosyjsku nazywała się "burunduk". W czasie zimy do obozu podchodziły niedźwiedzie, na które strażnicy urządzali polowania. Również słyszało się opowiadania o wilkach i białych królikach, które też musiały ukazywać się w porze zimowej. Podobno w niektórych rzekach było mnóstwo ryb. Łowienie ich polegało na wbijaniu w grzbiet ostrego żelaznego pręta i wyciąganiu ich z wody. Nasza rzeczka była za mała, aby pomieścić jakiekolwiek ryby. Poza tym takie możliwości zdobycia dodatkowej żywności nie były dostępne dla takich prostych więźniów jak my. Prawdopodobnie ten przywilej dotyczył bojców i może jakichś więźniów odkomenderowanych do tajgi dla specjalnych celów.

Zimny i mroźny dzień 3-go września 1941 r. stał się jednym z bardziej pamiętnych dat w moim życiu. W godzinach popołudniowych jeden z funkcjonarjuszy obozowych zadał sobie tyle

trudu, aby przyjść na nasze miejsce pracy i oznajmić nam, że pewna grupa Polaków zostanie zwolniona w najbliższym czasie. Moje nazwisko miało być na liście szczęśliwców. Wiadomość ta została potwierdzona wieczorem przez samego naczelnika, który wyczytał z listy pięć nazwisk: Kubasa, Radziszewskiego, Siwaka, Millera i moje, i kazał nam przygotować się do wyjazdu. Słysząc to czułem się jak nowonarodzony. Co za wspaniałe uczucie szczęścia i radości, kiedy człowiek dowiaduje się, że wszystkie jego trudy, cierpienia i obawy mają się już ku końcowi.

Na pożegnanie kucharz Iwan uraczył mnie prawdziwą ucztą. Kiedy pracownicy opuścili kuchnię, zaprosił mnie do wewnątrz i przygotował cudowną potrawę - makaron z roślinnym olejem. Przyczyna tego wyszła na jaw kiedy połykałem ten przysmak z apetytem głodnego wilka. Ten starszy człowiek, który tylko cudem zachował się jeszcze przy życiu, prosił mnie, abym przekazał wiadomość o nim do jego żony, jak wydostanę się z Kołymy. Powtarzałem jej adres szereg razy, aby dobrze utrwalić go w mojej pamięci. Zapisanie tego na papierku było zbyt ryzykowne, ponieważ przy często powtarzających się osobistych rewizjach taki zapisek mógł stać się wielkim problemem dla mnie.

Następnego dnia rano śnieg padał dużymi płatami, wszystko wokół obozu wyglądało czysto i biało, przed bramą czekał na nas wóz ciężarowy, a w kancelarii obozowej naczelnik żegnał nas przyszłych "wolniaszków" krótką mową i uściskiem dłoni. Za chwilę byliśmy już na wozie i szczęśliwi jak dzieci rozpoczęliśmy drogę powrotną. Przejeżdżając obok kopalni widzieliśmy po raz ostatni niewolników systemu kopiących ziemię, wśród których musiało być jeszcze kilku Polaków i którym

życzyliśmy z całego serca, aby w najbliższym czasie również rozpoczęli swoją drogę powrotną. Znowu jechaliśmy tą samą trasą, którą kiedyś odbyliśmy na piechotę, ale która teraz stwardniała na skutek mrozu i uzupełniona nowowybudowanym mostkiem na rzece nadawała się do ruchu kołowego. Wóz ciężarowy dowiózł nas do dowództwa okręgu. Tu spotkały mnie dwie przykrości. Makaron z olejem, którym mnie Iwan uraczył, przyprawił mnie o krwawą biegunkę. Mój wycieńczony organizm nie mógł przyjąć ciężko strawnego pożywienia i zareagował w najmniej pożądany dla mnie sposób. Poza tym przy wyczytywaniu mego nazwiska okazało się, że moje papiery odnoszą się do innej osoby o tym samym nazwisku. Po długich ceregielach, ktoś z urzędników postanowił wystawić mi nowe papiery i mimo wszystko wysłać mnie do Magadanu. Musiałem składać zeznania, podpisywać oświadczenia i odbijać palce, ale ostatecznie opuściłem to miejsce z uczuciem wielkiej ulgi i zadowolenia. Przypomniałem sobie wtedy epizod na tranzytce magadańskiej, kiedy moje nazwisko było wyczytane razem z Tadziem Warszylewiczem, ale ktoś inny wyjechał w jego grupie.
Dalsza droga była powolna i uciążliwa. W czasie naszej jazdy upadł duży śnieg, który wcale nie ułatwił nam życia. Przykryci kawałkiem worka tłukliśmy się po nierównej drodze w tyle ciężarówki, ale mimo wszystko szczęśliwi, że zostawiamy za sobą ten przeklęty kraj złota i zimna. Po dwóch dniach takiej jazdy dotarliśmy wreszcie do Magadanu i zawitaliśmy do znajomej nam bramy magadańskiej tranzytki. Tu zastaliśmy grupę czekających Polaków i spotkaliśmy się z wielkim rozczarowaniem. Transporty do Władywostoka odchodziły rzadko i ilościowo nie przekraczały stu ludzi. Zanosiło się więc na długie czekanie. Przy tak małych i rzadkich transportach rozłado-

wanie czekającej grupy pięciuset Polaków mogło trwać w nieskończoność. W związku ze zbliżającą się zimą i przewidywanym zamarznięciem morza Ochockiego, mogliśmy ugrząść tam, aż do następnej wiosny. Co mogło nastąpić w tym czasie wobec niepewnego i zmiennego stanowiska władz, tego można się było doszukiwać tylko w naszych skrytych obawach, które nie wróżyły nic dobrego. My, będąc ciągle w ich rękach w charakterze więźniów, nie mogliśmy być pewni niczego, dopóki nie dostaniemy odpowiednich dokumentów do ręki i nie znajdziemy się na pokładzie okrętu odchodzącego do Władywostoku.

MAGADAN - KARNY ŁAGIER

Stolica Kołymy, Magadan, wciąż kąpała się w jesiennym słońcu. Dzięki swemu położeniu nad morzem temperatura utrzymywała się powyżej granicy zamarzania. Śnieg jeszcze tam nie zawitał, a pogodne niebo dzieliło się z nami widokiem kończącej się letniej pory. W takich warunkach klimatycznych siedzieliśmy bezczynnie przez dwa tygodnie na tranzytce, wprawdzie nie na pełnej racji żywnościowej, ale w przekonaniu, że wcześniej czy później przyjdzie oczekiwany dzień naszego wyjazdu.

W trzecim tygodniu naczelnik obozu zaproponował nam prace w mieście przy różnych robotach. Niektórzy przyjęli tę propozycję. Utworzono z nich brygady robocze i kazano pracować w porcie, lub magazynach żywnościowych za miastem. Ten rodzaj pracy dawał im okazję do zdobycia dodatkowej żywności, którą przynosili do obozu i tam się nią raczyli. Po kilku dniach ja też poszedłem do pracy. Rodzaj pracy jaki wykonywaliśmy, nie był zbyt uciążliwy. Żadnej normy wobec nas nie stosowano, a bojec stał chyba dla pozoru, ponieważ patrzył przez palce jeśli ktoś oddalał się z miejsca pracy lub brał coś po kryjomu z magazynu.

Któregoś dnia zapotrzebowano kilkadziesiąt osób do zbierania jagód i szyszek w pobliskiej okolicy. Chętnie zgłosiłem się do tej pracy w nadziei, że przy tej okazji najem się jagód i orzeszków z szyszek. Poprowadzono nas sześć kilometrów za miasto do jakiegoś obozu i puszczono nas w góry i do lasu. Szyszki zbierało się wprawdzie łatwo, bo było ich pełno na krzakach kosodrzewiny,

ale ich zbieranie wymagało dużego wysiłku w noszeniu pełnego worka po górach. Dlatego wybrałem wiaderko i jagody. W zbieraniu czerwonych jagód szczególnie mnie się szczęściło, bardzo często wracałem z pełnym wiaderkiem. Byłem z tego zadowolony,bo to upoważniało mnie do lepszej racji żywnościowej. Pod koniec września zaczęły się dość silne mrozy ito przerwało nasze zajęcia. Powróciliśmy więc do Magadanu, gdzie zastaliśmy wszystko bez zmian. Nikt nie wyjechał z Kołymy i nic nie wskazywało na to, że zanosi się na jakiś transport. Widocznym było, że władze sowiedzkie nie spieszyły się się z odstawieniem nas do bardziej cywilizowanej części swego imperium.

Tego rodzaju nastawienie władz dało powód do niezadowolenia wśród grupy Polaków czekających na tranzytce. Ukryte uczucia ludzi wyszły na jaw, kiedy naczelnik obozu zwrócił się do nas z apelem, abyśmy wszyscy poszli do pracy i w ten sposób pomagali Związkowi Sowieckiemu w jego wojnie z Niemcami. Podczas burzliwego zebrania na podwórku w jego obecności, wiele osób sprzeciwiło się głośno jego żądaniom. Tego rodzaju zachowanie się więźniów było wprost nie do pomyślenia w kraju rządzonym twardą ręką terroru stalinowskiego. Otwarte wołanie o natychmiastowe odstawienie nas do Wojska Polskiego, musiało być czymś dziwnym i nieoczekiwanym dla sowieckiego urzędnika, przywykłego do ścisłego rygoru totalitarnego systemu. Naczelnik jednak zachował spokój i przyrzekł ponownie, że w swoim czasie będziemy zwolnieni, a do tego czasu będziemy musieli pracować. Podobnie wyglądało następne spotkanie z dwoma oficerami NKWD, którzy w rozmowie z dwoma przedstawicielami naszej strony przyrzekli zająć się naszą sprawą. Tego dnia pewna ilość ludzi wyszła ochotniczo do pracy, a pewną ilość bojcy zmusili siłą. Wszyscy jednak wrócili wcześnie do obozu, gdzie zapowiedziano nam, że w następnym dniu nie pójdzie-

my do pracy.

Tego rodzaju zarządzenie można było różnie tłumaczyć. My marzyciele przyjęliśmy to jako zapowiedź zmiany stanowiska władz magadańskich na naszą korzyść. W naszych przewidywaniach była to oznaka przygotowywania transportu na wyjazd.

Nasze przewidywania, domysły i nadzieje okazały się jak najbardziej bezpodstawne. Rano, jednego z pierwszych dni października, przed bramą tranzytki zjawił się wiekszy niż zwykle oddział bojców z psami na uwięzi. Część z nich wpadła do obozu i z wielkim krzykiem i hałasem kazała nam ustawiać się w piątki przed bramą. Każdą skompletowaną grupę pięćdziesięciu więźniów przejmowali strażnicy za bramą. Po bokach każdej z nich stało po dwóch bojców, a dwóch z psem na uwięzi przyjmowało jak gdyby pozycję tylnej straży. Grupa za grupą opuszczała rejon bramy tranzytki, formując się na żwirowanej drodze w długi orszak nędzarzy. Znowu wspólny mianownik łagiernika wchłonął nas jako siłę niewolniczą w zakres więziennego terminu, może nawet jako ludzki materiał przeznaczony na zniszczenie.....

Na rozkaz oficera NKWD kolumna ruszyła do przodu przy krzykach bojców i ujadaniu psiego szczekania. Będąc niemal przy końcu kolumny doliczyłem się na drodze dziesięciu grup, co łącznie zamykało się cyfrą pięciuset ludzi. Znowu szukałem w myśli celu naszego następnego przeznaczenia - albo inny obóz w Magadanie, albo ponowna podróż do kopalń złota - do kaźni zimna, głodu i śmierci. Kiedy czoło kolumny na przeciwległym zboczu doliny skręciło w lewo, w kierunku bramy największego kompleksu baraków w Magadanie, cel naszego marszu stał się oczywisty i wiadomy.

Przed nami na pagórku stał czworokątny obóz, otoczony drutami kolczastymi i z nieodstępnymi wieżyczkami strażniczymi na rogach. Niektórym z nas jego nazwa była już znana. Był to 10-ty OŁP

/Otdielnyj Łagiernyj Punkt/, który w bliższym określeniu oznaczał specjalny obóz pracy w zakresie potrzeb miasta Magadanu. W dalszej interpretacji tej nazwy należało się spodziewać, że naczelnik obozu, pan życia i śmierci podległych mu ludzi nie będzie kierował się żadnymi ludzkimi względami wobec nas. Widok drutów i łagru znowu rzucił na nas cień widma kaźni, gdzie wampiry złej woli człowieka czekały na wyzyskanie niewolniczego wysiłku, a może nawet na ofiarę naszego życia.

Natura podbiegunowego koła też nie szczędziła swego decorum dla uzupełnienia deprymującego obrazu zabudowań sterczących na szczycie wzgórza. Ciemna zamarznięta ziemia, nieco przyprószona świeżym śniegiem,bezlistne konary drzew luźno rozrzucone po całym zboczu oraz szare, bezkształtne głazy wystające ponad suche badyle, nadawały jeszcze więcej cech martwoty ponuremu krajobrazowi północy. Na tle tego kolumna ludzkich szkieletów maszerująca w szarzyźnie pochmurnego dnia, uzupełniała swoim koszmarem widok kołymskiego pejzażu łagrów i niewoli.

Przy wejściu powitał nas olbrzymi portret uśmiechniętego Stalina, zawieszony u szczytu bramy. Przy bramie kilku "szczotników" pilnie znaczyło kreskę na papierze każdego więźnia, który wszedł do wnętrza karnego łagru pracy.

Pierwsze dni pobytu nie wyglądały jednak zbyt tragicznie. W porównaniu z tranzytką, obóz miał lepsze urządzenia wewnętrzne, co zapowiadało nieco wygodniejszy sposób życia. Każdy barak posiadał wprawdzie piętrowe prycze, ale każda z nich mieściła tylko dwie osoby. Każda z nich była pokryta siennikami, wprawdzie wypełnionymi mokrymi i cuchnącymi wiórami, ale zawsze było to wygodniejsze niż twarda, goła deska. W przybudówce mieściły się umywalki, po raz pierwszy spotkane przez nas urządzenie sanitarne tego rodzaju, z lodowato zimną wodą do naszego użytku. Stąd

prowadził chodnik drewniany do zewnętrznej wygódki.
Niezwykłą i wielce cenioną dla nas niespodzianką było wydanie więźniom nowego zestawu łagiernej odzieży. Cokolwiek kryło się za tym trudno było to sobie wytłumaczyć - prawdopodobnie nie wyjazd do Władywostoka. W danych okolicznościach najważniejszą sprawą było to, że dostaliśmy nowe i czyste kufajki, buszłaki i płócienne buty na wacie. Wszystko to było błogosławieństwem dla każdego z nas, a przede wszystkim dla tych, których stare łachy były już w stanie kompletnego rozkładu. Ja należałem do tych bardziej uradowanych, ponieważ wreszcie mogłem zastąpić buszłak i buty z wypalonymi dziurami na coś lepszego i cieplejszego.
Inną niespodzianką było przyznanie nam najwyższych racji żywnościowych. Z chwilą nastania zimy racje z reguły ulegały obniżeniu, w naszym wypadku rzecz miała się przeciwnie. W zamian za to, wymagania władz obozowych były zadziwiająco znikome. Jedynie sporadycznie wysyłano nas na zbocze wzgórza po zbieranie drzewa i gałęzi, jako opału do kuchni i baraków.
Podczas jednej takiej wyprawy po drzewo, niespodziewanie spotkałem się twarz w twarz z Pawełkiem Januszewskim. Było to bardzo miłe dla mnie spotkanie. Wśród grupy pięciuset Polaków była to jedna dusza z moich rodzinnych stron. Pawełek wprawdzie nie był z nami na tranzytce, ale przyprowadzano jego i kilku innych oddzielnie ze szpitala. Szpital niewiele mu pomógł. Cynga, czy szkorbut, jaki toczył jego ciało jeszcze przed moim wyjazdem na kopalnię, jeszcze bardziej mu teraz dokuczał. Codziennie widziałem jego opuchnięte i ropiące nogi, które zmywał i opatrywał szmatami.
Już w pierwszym dniu spotkania Pawełek postarał się o przeniesienie do mego baraku. Ktoś odstąpił mu miejsce na górnej pryczy tuż obok mnie i odtąd staliśmy się nieodstępnymi towarzy-

szami i dobrymi przyjaciółmi. Kiedy spisywano nasze specjalności, namawiałem go aby podał znajomość stolarstwa jako swój fach. Pawełek był jednak za uczciwy, aby uciekać się do kłamstwa nawet wobec swoich prześladowców.

Wszystko zmieniło się radykalnie tuż po spisaniu naszych specjalności zawodowych. Nasze stosunkowo wysokie racje żywnościowe zostały zmniejszone do 35o gramów chleba, dwóch misek zupy z wodorostów morskich i ćwiartki solonego śledzia. Również nazajutrz podzielono nas na robocze brygady i posłano pod strażą do miasta. Podczas krótkich dni względnie tolerancyjnego obchodzenia się z nami, w Magadanie spadły dość duże śniegi, temperatura raptownie spadła na dół, co automatycznie stworzyło trudne warunki pracy, zwłaszcza na zewnątrz.

Jako pracownik stolarski zostałem wraz z całą brygadą wyznaczony do pracy przy wykańczaniu nowych budynków mieszkalnych. Praca polegała na wstawianiu drzwi i okien, o czym niewielu z nas miało jakiekolwiek pojęcie. Każdy raczej udawał niż wykonywał powierzone mu zadanie. Kiedy bojec siedział w ciepłej budce na zewnątrz, myśmy najczęściej siedzieli bezczynnie. Do mego zwiena należał jakiś młody Żydek z Borysławia, który był straszliwie chudy i wyglądał bardzo nieszczęśliwie. W czasie bezczynnego siedzenia na deskach podpatrzyłem jak jakiś Rosjanin pobiegł za budkę na podwórku z workiem pociętego drzewa na barkach i po kilkunastu minutach wrócił z porcją chleba pod buszłakiem. To poddało mi myśl, aby też spróbować szczęścia.

Razem z Żydkiem nazbierałem worek odżynków wsadziłem go na ramiona i śladem Rosjanina, poszedłem szukać jakiegoś odbiorcy. Pobiegłem poza budkę, przeskoczyłem ulicę i wszedłem w najbliższe drzwi. Dopiero na górnym piętrze ktoś otworzył drzwi na moje pukanie. Była to starsza kobieta Rosjanka. Za drzewo dosta-

łem od niej słoik gotowanej kaszy. Był to nasz pierwszy zarobek, którym podzieliliśmy się równo i uczciwie. Codziennie potem kombinowaliśmy drzewo, często tnąc na kawałki dobre deski i codziennie z workiem na plecach robiłem wypady do niedalekich domów mieszkalnych. Dla nas były to lepsze czasy, bo mieliśmy czym uzupełnić skromną rację żywnościową w obozie. Czasami przynosiłem chleb ze sobą, którym dzieliłem się z Pawełkiem. On znowu przynosił ukradkiem nieco kradzionej mąki i kaszy z magazynów, gdzie pracował, czym znowu dzielił się ze mną. Jednym z moich głównych odbiorców była staruszka Rosjanka, którą poznałem przy pierwszej mojej wyprawie. Po kilku wizytach staliśmy się dobrymi znajomymi i często wdawaliśmy się w rozmowę. Dla mnie była to gratka, ponieważ mogłem kwadrans lub pół godziny przesiedzieć w ciepłym mieszkaniu przy kubku "czaju" lub misce gorącej zupy. Jej dobra wola wobec mnie wynikała z tego, że jeszcze za czasów carskich przebywała w Grodnie jako żona urzędnika i dla Polaków czuła dużo sympatii. Moje odwiedziny w jej domu i nasz wspólny handel skończyły się nagle, gdy naszą brygadę przeniesiono w inne miejsce pracy.

Nowe miejsce, będąc otoczone parkanem, nie pozwalało na robienie wypadów do miasta, co przekreśliło możliwość zdobycia dodatkowej żywności. Szczęśliwie w podziemiach jednego z budynków zmagazynowano kartofle. Początkowo Żydek i ja kradliśmy po kilka kartofli i gotowaliśmy je w kotłowni. Takie kradzenie wymagało ciągłego chodzenia tam i z powrotem, co mogło wydać się podejrzane strażnikom. Dlatego mój wspólnik i ja zdecydowaliśmy się ukraść kilka pak i zakopać je w piasku na zewnątrz. Takie zmagazynowanie kartofli pozwoliło nam na dożywianie się przez cały okres pracy w tym budynku. Praca nasza polegała na noszeniu desek, pokrywaniu nimi dachu i podłóg i wykonywaniu innych prac

stolarskich w zależności od wymagań brygadzisty, albo jego zwierzchników. Brygadierem był jeden z Polaków policjant z zawodu, który też nie miał dużego pojęcia jak obchodzić się ze stolarskimi narzędziami i jak wykonywać powierzone nam zadanie. W rezultacie nie byliśmy wcale wydajni, ku ciągłemu ubolewaniu naszych rosyjskich przełożonych.

W połowie października miasto było już zasypane śniegiem. Również mrozy zaczęły przybierać na sile. Naszą brygadę przydzielono najczęściej do odrzucania śniegu z ulic Magadanu. Strażnik, który chował się w jakimś zacisznym miejscu nie mógł mieć nas wszystkich na swoim widoku. To dawało mi możliwość uciekania z pracy do prywatnych domów, gdzie w zamian za rąbanie drzewa otrzymywałem chleb lub inną żywność. Jednego z tych dni, kiedy kostniałem z zimna na ulicy uciekłem do staruszki Rosjanki, której kiedyś sprzedawałem drzewo i tam przesiedziałem w ciepłym mieszkaniu niemal pół dnia. W międzyczasie jej córka lekarka powróciła z pracy i uraczyła mnie gorącą zupą grochową i kilku kawałkami salami. Dla mnie była to wspaniała uczta. W czasie posiłku młoda Rosjanka wypytywała mnie o warunki życia w Polsce i na Zachodzie, na co odpowiadałem jej bardzo ostrożnie. W Sowietach nikt nie zwierzał się ze swoich przekonań, a jej mąż, jak mi mówiła staruszka był oficerem NKWD. Do brygady powróciłem na czas. Kilka minut później byłbym już nie zastał swoich towarzyszy na miejscu.

Włóczenie się z łopatą po ulicach na mrozie i zimnym wietrze nie należało do przyjemności, ale ostatecznie można to było znieść. Gorzej było, kiedy posyłano nas do tartaku do wyciągania drzewa spod śniegu i układania go w sągi. Praca była bardzo ciężka, a zimno przy tym bardzo dokuczliwe. Po kilku dniach pracy w ogrodzonej drutami przestrzeni znalazłem dziurę w płocie

i natychmiast wykorzystałem to, aby uciec do miasta. Przy pierwszej okazji zapukałem do drzwi jakiejś staruszki, która dała mi kilka kartofli do kieszeni. Przy następnych wycieczkach poza druty często korzystałem z jej pomocy. Najczęściej dostawałem małe kawałki chleba, które jej córka pracująca w restauracji dla bojców przynosiła do domu. Staruszka suszyła ten chleb i rozdawała więźniom, którzy tak jak ja pukali do jej drzwi. Dziura w parkanie świadczyła o tym, że wielu było u niej w domu przede mną i niewątpliwie wielu było po mnie. Moje wypady poza druty rejonu pracy najczęściej odbywały się w porze południowej, kiedy część bojców odchodziła na obiad i nadzór nad nami był najmniejszy. Kiedyś dostałem od staruszki kawałek białego chleba, rzecz niespotykana w obozie i rzadko widziana na wolności. Z tym kawałkiem chleba przyszedłem do obozu z zamiarem zjedzenia go razem z wieczorną zupą z morskich wodorostów. Kiedy pobrałem zupę i wyciągnąłem chleb spod buszłaka, nagle jakaś ręka chwyciła za chleb, rzuciła jeden czerwieniec na stół i kiedy odwróciłem głowę widziałem uciekającego Rosjanina, wołającego głośno "bułka, bułka". Ktoś inny puścił się za nim w pogoń, ale chleba tego nigdy nie odzyskałem. Później dowiedziałem się, że człowiek, który gonił za nim był lotnikiem rosyjskim wziętym przez Finczyków do niewoli w czasie wojny fińskiej w 1939 r., za co teraz odsiadywał karę.

Życie w obozie stawało się coraz trudniejsze, głodniejsze i cięższe. Sam program obozowy narzucał wiele szykan, których nie można przyjąć inaczej niż chęć dokuczania więźniowi. Już od piątej rano dniewalny /barakowy/ biegał z pałką w ręku po baraku i stukał każdego, kto nie reagował na jego wrzask. W pośpiechu trzeba było narzucać na siebie łachy i wdziewać wiecznie mokre lub zamarznięte buty i stać w ogonku po kawałeczek gliniastego

chleba i talon na zupę, wydawane przez dniewalnego. W równym pośpiechu biegło się do jadalni, aby dostać miskę zupy i w pośpiechu goniło się do kotła na podwórku, aby dostać miarkę kipiatku /gorącej wody/. Nigdy nie starczało jej dla wszystkich. Wielu odchodziło z pustym naczyniem. Stąd trzeba było iść pod bramę obozową i czekać, aż bojcy zjawią się na wachtiorce i zabiorą brygady do pracy. Czekanie na zimnie było morderstwem, ale z chwilą opuszczenia baraku nie można było wejść do niego z powrotem. Inne szykany obozowe dotyczyły pory wieczornej. Pierwszą z nich regularnie praktykowaną było wygaszanie pieców w barakach tuż po naszym powrocie z pracy. Władze obozowe uważały, że ciało człowieka samo produkuje ciepło i przy dużym zagęszczeniu przestrzeni przez ludzi opalanie baraków było zbyteczne. Odpoczynek wieczorny przed tzw. perewierką był w zasadzie niedozwolony. Można było leżeć na stęchłym sienniku, ale spać można było dopiero wtedy, kiedy strażnicy obozowi sprawdzili obecność wszystkich więźniów w baraku. Co kilka dni odbywały się nocne kontrole. Celem tych kontroli było szukanie niedozwolonego sprzętu, jak noże, oraz ukrytej żywności. W ciągu nocy wpadało ich kilku, kazali wszystkim zejść z prycz i rozbierać się do naga. Podczas gdy jedni przetrząsali bieliznę i ubrania, drudzy przeszukiwali sienniki. W wypadku wykrycia czegoś niedozwolonego, nieszczęśliwiec szedł na pięć dni do karceru, z którego z reguły już nie wracał. Obóz, jak było przewidziane w przepisach, posiadał też swoją opiekę zdrowia, która składała się z lekarza i sanitariusza. Codziennie rano miejsce przyjęć było zapełnione chorymi. Wszystko jednak miało swoją normę i lekarz też. Nie wolno było mu dać więcej niż pięć zwolnień dziennie od pracy. Najczęściej rolę tutaj odgrywały osobiste względy, a nie stan zdrowia czło-

wieka. Dlatego chorzy musieli chodzić do pracy, mimo niezdolności wykonywania powierzonego im zadania.

Więźniowie też posiadali jeden zasadniczy przywilej, który nie zawsze można było zaliczyć do dobrej strony łagiernego życia. Przywilej ten dotyczył kąpieli, która należała się więźniowi co dziesięć dni. Łaźnia publiczna była położona w mieście, co najmniej cztery kilometry od obozu. Więźniowie mogli korzystać z niej tylko w porze nocnej. W naznaczonym dniu już po kolacji grupy pod strażą wychodziły z obozu do łaźni. Każdy chciał być pierwszym, ponieważ po powrocie pozostawało mu jeszcze kilka godzin spania. Jeśli był ostatnim to miał tylko tyle czasu, aby wypić zupę przed pójściem do pracy. Procedura nocnej kąpieli zaczynała się od oddania ubrania do odwszenia w kotłach parowych. Następną czynnością było przejście przez proces strzyżenia wszystkich owłosionych części. Po tej operacji przechodziło się do pomieszczenia z prysznicami. Nie wszystkie z nich działały i nie zawsze była w nich ciepła woda. Bardzo często namydlone ciało trzeba było zmywać w rynsztoku, ponieważ była to jedyna osiągalna woda. Odbieranie rzeczy nie zawsze szło gładko i składnie. Czasem rzeczy zawieruszyły się w kotle i trzeba było czekać aż do rana nim się one znalazły.

Przy okazji kąpieli mogłem widzieć w detalu zmarniałe kości ludzkie sterczące spod skóry, wychudzone ciała i nogi w wielu wypadkach pokryte ropiejącymi ranami na skutek cyngi. Wtedy też mogłem rozpoznać znajome mi twarze - kpt. Czechowicza, Makowskiego nauczyciela, małego Rysia Łopackiego, młodego Bojkę i starszych jak Asłanowicza i Słuckiego. Wtedy też dostrzegałem ubytek wsród moich znajomych. Znikł gdzieś wysoki i szczupły policjant, inż. Makowski i jego przyjaciel ze Lwowa, chory i zmarniały do skóry i kości major i wielu innych, których znałem

z widzenia, ale których nazwiska nie utrwaliły się w mojej pamięci.

Życie ciągle traciło na znaczeniu. Istnienie było krótkie i nędzne, za którym kryła się śmierć, ten wspólny mianownik, który równał nas wszystkich do idealnie równego poziomu zmarłych. Człowiek przyjmuje jednak wszystko i dostosowuje się do okoliczności życia. Pojęcie dawnych wartości zamierało, a w ich miejsce tworzyły się wartości małe i proste, rozwijające się zgodnie z linią zachowania życia.

Zimno, głód i choroba przyczyniły się do tego, że część więźniów w obozie zachorowała, a część po prostu zmarła. Na skutek czego pozostałości naszej brygady poprzydzielano do innych dla uzupełnienia stanów. Idąc śladem Pawełka zgłosiłem się do brygady pracującej przy kopaniu rowów w magazynach żywnościowych. Brygadierem w tej grupie był jakiś skomunizowany Polak, który podawał się za byłego polskiego lotnika i nawet nosił czarną lotniczą kurtkę. Praca była istotnie bardzo ciężka. Rozbijanie ziemi zamarzniętej na kamień przechodziło nasze fizyczne możliwości. Dlatego siedząc w rowach, wykopanych jeszcze w ciągu lata, nie robiliśmy niczego - z zimna przez cały czas tupaliśmy nogami, biliśmy rękami i czekaliśmy okazji, aby dostać się do magazynu i ukraść trochę mąki lub wytłoków z soji. Pierwszy udany wypad do baraku przyczynił mi trochę wytłoków, które żułem po kryjomu w dole rowu, aby mnie strażnik nie zobaczył. Mój plan polegał na tym, że wzdłuż rowu poszedłem do innej brygady i stanąłem w drzwiach baraku, udając że chcę się zagrzać. W odpowiednim momencie, kiedy bojec patrzył w drugą stronę, skoczyłem do środka, przeszedłem po workach w drugi kąt baraku i tam nabrałem soji do kieszeni, trochę do woreczka i trochę wpuściłem do spodni. Tą samą drogą powróciłem

do brygady. Soję w spodniach przeniosłem do obozu i jadłem na surowo lub jako rozmoczoną papkę. Innym razem zdecydowałem się na zbadanie magazynu, który mieścił się w pobliżu miejsca pracy naszej brygady. Używając tego samego planu jak poprzednio dostałem się do jego wnętrza. Był to skład kaszy różnego rodzaju. Ktoś tam musiał już być przede mną, bo na podłodze znalazłem porzucony woreczek wypełniony wytłokami soji. Podniosłem go z ziemi i przyniosłem do swojej grupy. Zdobyczą tą podzieliłem się ze swoimi towarzyszami. Zawartość woreczka wystarczyła nam na kilka dni przy oszczędnym używaniu soji. To podsunęło nam myśl, aby postarać się o większą ilość i zapewnić sobie dodatkową żywność na dłuższy okres. W odpowiednim momencie, kiedy bojec szedł w przeciwną stronę, razem z jednym z kolegów skoczyliśmy do baraku i przyciągnęliśmy cały worek mąki. Wrzuciliśmy go do rowu i natychmiast zakopaliśmy w śniegu. Z zapasu tego korzystała cała brygada przez kilka dni. Kiedy mąka była już na wykończeniu, ktoś rozniecił ognisko w rowie, co zwróciło na nas uwagę strażnika. Ten natychmiast przyszedł do nas i zrobił rewizję, ale nie znalazł niczego. Dopiero wycho-dząc z rowu stanął na worek z resztą mąki, zagrzebany w śniegu. Natychmiast zaczęły się pytania co, gdzie, kiedy i jak. Nikt się nie przyznawał do niczego i nikt o niczym nie wiedział. Bojec widząc, że nie dowie się od nas niczego, wskazał palcem na mnie i kazał mi zarzucić worek z mąką na plecy oraz zanieść na wachtę. Po drodze dostałem kilka uderzeń kolbą po plecach, za co nazwałem go Tatarem i zacząłem uciekać. Gonił za mną z kolbą gotową do uderzenia, aż dostałem się na wartownię. Na wartowni inny strażnik zrobił mi rewizję i groził, że pobije mnie porcelanową gałką na drucie, jeśli nie wydam tego, kto skradł mąką. W tym czasie wprowadzo-

no na wartownię młodego Słowaka, którego przyłapano na kradzieży soji. Ktoś wywołał strażnika na zewnątrz i przez kilka minut pozostaliśmy w kancelarii sami. Młody chłopak płakał w obawie przed karą karceru - co najmniej pięciu dni na lodzie o zimnej wodzie i kawałeczku chleba. Woreczek z soją, ukradzioną przez niego, leżał na stole i aż się prosił, aby zużyć jego zawartość. Przystąpiłem do stolika i zacząłem jeść, wsadzając wytłoki całą garścią do ust. Młody Słowak poszedł za moim przykładem. Kiedy strażnik powrócił do kancelarii woreczek był prawie pusty. On popatrzył na nas, zaklął i zaczął się śmiać. Następnie kazał nam iść razem z nim. Po wyjściu z wartowni, zamiast na miejsce pracy, bojec ten wyprowadził nas poza rejon magazynów i jakimiś krętymi ścieżkami prowadził nas po śniegu w kierunku małego lasku na niedalekim horyzoncie. Przyszło mi na myśl, że prowadzi nas na rozstrzelanie. Myśl taka miała swoje uzasadnienie, ponieważ kilka dni wstecz,za ucieczkę z pracy, rozstrzelano Żydka, który kiedyś kradł ze mną drzewo. Odetchnąłem z ulgą kiedy przeszliśmy miejsce naszej domniemanej egzekucji. W lasku, a raczej po jego drugiej stronie mieścił się drewniany budynek, który służył jako miejsce zamieszkania dla bojców. Po przyjściu do budynku nasz strażnik oddał nas w ręce innego. Nasz nowy opiekun okazał się bardzo ludzkim i wyrozumiałym człowiekiem. Niemal proszącym głosem kazał nam urąbać trochę drzewa i zaznaczył przy tym, abyśmy się nie przemęczali. Dał nam piłę i siekierę i pozostawił nas samych. Po pół godzinie wyszedł z baraku i dziękując nam za narąbanie drzewa dał nam po porcji chleba. Nie zrobiliśmy wiele, ale było już późno i bojec z wartowni poprowadził nas z powrotem do rejonu magazynów. Następnego dnia był głód w brygadzie. Strażnicy tak pilnowali nas, że nie było mowy o zrobieniu wypadu do

baraku z żywnością. Jeden z moich współtowarzyszy i ja postanowiliśmy pozostać w rowie po zejściu brygady,i w ciemności wieczoru ściągnąć worek z mąką do dołu. Po dokonaniu tego mieliśmy dołączyć do brygady przy bramie jako spóźnieni pracownicy. Kiedy bojec i brygada zeszli z rejonu pracy skoczyliśmy do magazynu i kiedy byliśmy w połowie drogi do rowu, jakiś inny bojec złapał nas na gorącym uczynku. Mój wspólnik zaczął płakać i błagać o przebaczenie, co widocznie miało swój efekt, bo pozwolił mu odejść do brygady. Mnie natomiast zatrzymał, odprowadził do wartowni i zostawił w świetle przy drzwiach, oddając mnie pod opiekę strażnika zajętego kontrolowaniem więźniów. W tym czasie, jakaś rosyjska brygada przechodziła bez rewizji przez bramę na zewnątrz. Korzystając z okoliczności wskoczyłem między nich i razem z nimi wyszedłem poza bramę. Słyszałem tylko za sobą podniesiony głos strażnika, który pytał gdzie podział się więzień. Na to nikt mu nie dał odpowiedzi. Widocznie nikt mnie nie obserwował i nikt nie zauważył mojej ucieczki. Mój brygadier i moi współtowarzysze byli szczerze zdziwieni, widząc mnie z powrotem między sobą.
Podobny wypadek zdarzył mi się kilka dni wstecz, kiedy mieliśmy jeszcze worek z mąką. Jednego z tych niezwykle zimnych dni chciałem przemycić trochę mąki do obozu. Mogłem to tylko przenieść w ubraniu. Palcami skostniałymi od zimna napchałem rękawy i nogawki, ale zrobiłem to tak niezdarnie, że strażnik przy bramie zaraz wyczuł nierówności w moich nogawkach. Zaraz odstawił mnie do wartowni o krok od niego, gdzie w kolejce miałem czekać do przejścia osobistej rewizji. Stanąłem w przedpokoju zwlekając z podejściem do drzwi pokoju, w którym odbywała się operacja rozbierania do naga. W międzyczasie do środka wrzucono kilku dodatkowych ludzi, podejrzanych o przestępstwo

kradzieży. Przy wejściu ostatniego zauważyłem przez uchylone drzwi, że jakaś brygada przechodziła równolegle do ściany wartowni. Lekko uchyliłem drzwi, wysunąłem się na zewnątrz i wcisnąłem się do rzędu maszerujących łagierników. Po chwili byłem z powrotem w brygadzie z nietkniętą zawartością swoich nogawek. Nie zawsze udawało się mnie czy innym uniknąć konsekwencji podobnych wyczynów. Jeden z moich kolegów, Rysiek Łopacki, musiał srogo odcierpieć za swoje przestępstwo. Pewnego dnia przyszedł do mnie i prosił, abym poszedł razem z nim do magazynu ukraść woreczek mąki. Dzień był bardzo zimny i bojec trzymał się zacisznego miejsca, nie zwracając na nas zbytnio uwagi. Wyskoczyłem razem z nim z rowu, przebiegliśmy przekopem śnieżnym do baraku i napełniliśmy swoje woreczki mąką. Ryś natychmiast chciał zrobić użytek ze zdobytego artykułu. Znalazł, gdzieś w pobliżu kilka kawałków drzewa i rozpalił małe ognisko. Potem mieszając mąkę ze śniegiem robił placki i zaczął je piec na łopacie. Bojec zauważył dym, przyszedł do rowu i po rękach poznał kto był tego sprawcą. Z miejsca zabrał mu woreczek z mąką i widocznie z litości, sam wymierzył mu karę odleżenia dwóch godzin na śniegu. Po dwóch godzinach Rysiek wstał ze śniegu i pobiegł do swojej brygady bez żadnych widocznych skutków tej kary, jak np. odmrożenie palców.

Z końcem października zdarzyła się najmniej przez nas przewidywana rzecz. Pewnego dnia wyczytano nazwiska 60 ludzi, w tym nazwisko mego przyjaciela Pawełka Januszewskiego. Domyślaliśmy się, że szczęśliwcy zostali wywołani na wyjazd do Władywostoku. Potwierdzenie tego przyszło dopiero kilka dni później, kiedy Rosjanie pracujący w porcie powiedzieli nam o odejściu polskiego transportu. Z jednej strony obudziło to w nas nadzieję, że sprawa naszego zwolnienia jest wciąż aktualna, a z drugiej strony

natomiast zaczęły powstawać wątpliwości czy ona dotyczy nas, skoro z całej grupy wyselekcjonowano tylko niewielką ilość Polaków. Po odejściu mego bliskiego przyjaciela pozostałem sam jeden z Buczacza. Przez kilka dni czułem się bardzo samotnie i nieswojo. Brak mi było jego towarzystwa, naszych wieczornych rozmów i wspomnień o rodzinnych stronach. Jednak przy ciągłym głodzie, myśl o zdobywaniu żywności była silniejszą od innych moich uczuć. Głód istotnie może zabić w człowieku, każde inne uczucie poza żądzą chleba. Były też momenty, kiedy czułem się osamotniony i przygnębiony. Często traciłem nadzieję na wyjście z tej trudnej sytuacji i wątpiłem czy kiedykolwiek zobaczę się z rodzicami, braćmi i czy ujrzę swój rodzinny Jazłowiec. Nocami czasami śniłem o nich, ale w ciągu dnia wspomnienie to, gubiło się w pracy, zimnie i głodzie.

W początkach listopada duże opady śniegu zasypały całe miasto i zamknęły wszystkie ulice przelotowe. Równocześnie zaczęły się silne, trwające po kilka dni, burze śnieżne. Rosjanie określali je terminem "purga". Wiatry wiały z taką siłą, że człowiek nie mógł utrzymać się na drodze. Jednego ranka, kiedy prowadzono nas do pracy, cała brygada łącznie z bojcem znalazła się w rowie. Stopy po prostu nie mogły znaleść oparcia o śnieg. Temperatura przy tym spadła do 40 stopni poniżej zera, co stworzyło jeszcze trudniejsze warunki pracy. W takich okolicznościach oczyszczanie dróg i ulic stało się naszym najważniejszym zadaniem. Przez kilka dni borykaliśmy się ze śniegiem w mieście, wykonując tylko tyle, ile było absolutnie konieczne i w takim wolnym tempie, jak na to warunki pozwalały. Przy marnym odżywianiu, przy zimnie i niedostatecznym ubraniu nikt z nas nie mógł zdobyć się na większy wysiłek. Najczęściej staliśmy nieruchomo, oparci o łopaty i patrzyliśmy, czy przypadkiem strażnik nas nie obserwuje. Był to po prostu jeden ze sposobów kon-

serwowania energii, której nikt z nas nie miał za wiele. O tym dowiedziałem się od kpt. Czechowicza, który to stale praktykował. Obrazek tego rodzaju najlepiej i najdobitniej zachował się w mojej pamięci z kilku dni naszej pracy nad oczyszczaniem drogi w kierunku rybnego zakładu i cmentarza. Cechą charakterystyczną tego dnia było przenikliwe zimno. Niezależnie od niskiej temperatury, wiatr hulał sobie swobodnie po otwartej przestrzeni, niosąc ze sobą pył śniegu po idealnie równej, białej przestrzeni. Ostry jego prąd przenikał przez nasze opaski na twarze, zamykał oddech i przez ubranie docierał do samej skóry. Na tym otwartym miejscu nie było przy tym żadnej ochrony. Tutaj marzło się od rana do nocy. Od czasu do czasu, przez szczeliny opaski na twarzy, rzucałem spojrzenia na swoich współtowarzyszy. Każdy stał nieruchomo jak słupek przyprószony śniegiem, jak gdyby czekając, aż biały pył go zasypie. Widziałem ich wrastających wolno na podobieństwo szarych głazów rozrzuconych po polu. Kapitan Czechowicz, będąc osobą niskiego wzrostu, szybciej niż inni zamieniał się w słupek śniegu. Przenikliwe zimno nie mniej dokuczało naszym strażnikom. Na tym wydmuchowisku nie było budki do ukrycia się przed zimnem, ani też piecyka do ogrzania się. Jedynym źródłem ciepła było ognisko, rozniecane przez więźniów za ich zgodą. Na otwartej przestrzeni rosło wiele krzaków kosodrzewiny, których gałęzie były dobrym i łatwym materiałem do palenia. Za zgodą bojca, brygadier posyłał kilka z nieruchomych i ośnieżonych ludzkich postaci w kierunku krzaków. Po pewnym czasie wracały one z powrotem, niosąc pełne naręcza zielonego paliwa. Wkrótce potem płomienie ognia strzelały długimi czerwonymi językami ku górze. Z daleka ogień, podsycany wiatrem, wyglądał imponująco i zachęcająco. Jego pozorne ciepło miało w sobie dużo ułudy, co docho-

dziło do świadomości więźnia, kiedy na niego przychodziła kolejka zbliżenia się do ogniska.Wtedy gołym okiem widziany żar czerwonych języków oddziaływał raczej na jego wyobraźnię, niż dawał się odczuwać fizycznie. Po pewnym czasie przyszła też kolejka na mnie. Na znak brygadiera podszedłem do ogniska i niemal stanąłem nad nim, aby doznać przynajmniej odrobinę jego dobroczynnego efektu. Przez języki ognia popatrzyłem dalej i na górce przed sobą ujrzałem zarysy budynku szpitalnego, kilka rzędów domów na prawo od nich i szereg dymiących kominów. Był to widok zbyt inspiracyjny, aby przejść nad nim bez wykazania jakiegokolwiek zainteresowania. Pod pozorem zbierania gałęzi poszedłem w niedalekiekrzaki kosodrzewiny, cały czas mając na widoku rzędy domów obok szpitala. Kiedy krzewy przesłoniły widok strażnika, rzuciłem gałęzie na śnieg i pod ich osłoną poszedłem do upatrzonego już celu. Na moje pukanie w drzwiach jednego z domów mieszkalnych ukazała się kobieta w średnim wieku i zapytała czego ja sobie życzę. Nasza krótka rozmowa zakończyła się na tym, że dała mi dwa wiaderka do ręki i prosiła o przyniesienie wody ze wskazanego mi miejsca. W zamian za to stałem się właścicielem cennego kawałka chleba, który pozwolił mi na chwilowe zaspokojenie dręczącego mnie głodu. W innym dniu tej pracy byłem świadkiem innego i raczej przygnębiającego widoku. Na drodze prowadzącej od szpitala ukazały się sanie ciągnięte przez jednego, grubo owłosionego konia, a obok niego zobaczyłem ośnieżoną postać człowieka,trzymającego lejce w szmacianych rękawicach. W zimowej aurze arktycznego pejzażu oszroniony koń, skulona postać woźnicy i sanie przykryte plandeką posuwały się ku nam niczym zjawa w lodowatej krainie ginącego życia. W niedalekiej odległości za nią zza wzgórza wyłoniły się następne sanie tak samo wyglądające. Posuwając

się powoli, korowód ten w pewnej chwili znalazł się na naszej wysokości. Wtedy dopiero ujawniła się przed nami zawartość po brzegi załadowanych sań. Spod zasłony szarej, brudnej i podartej ukazał się koszmar nagich ciał, splątanych razem w makabrycznym uścisku ostatniego pożegnania na ziemi. Korowód przeszedł jak zjawa dziwna i niepokojąca. Pozostała tylko po nim myśl ludzkiej nicości i ostatecznego przeznaczenia.

My też nie wyglądaliśmy lepiej. My też byliśmy widmem zamarzniętej północy. Codziennie rano bez względu na szalejącą śnieżycę i mrożące zimno wychodziliśmy na zewnątrz bramy, aby zniknąć jak duchy w cmentarnej mgle. Białe ośnieżone postacie posuwały się jak upiory w kierunku miasta, jak gdyby opętane siłą przeznaczenia lub obłędem pracy, za którymi kroczył strażnik w baraniej kurtce oraz cień karnego lagru z widokiem zimnej, głodowej śmierci. Przez zamarznięte okna domów każdego ciemnego ranka i każdego jeszcze ciemniejszego wieczoru przebijały ku nam jasne światła kuszące nas ułudą spokoju i ciepła. Z kominów rwały się ku górze białe kłęby dymów, potęgując jeszcze bardziej chęć doznania nieosiągalnego ciepła. Czasami na tle szyb pokrytych bielą mrozu ukazywały się cienie ludzkich postaci, które budziły w nas zazdrość. Oni byli wybrańcami losu, oni mieli prawo do jedzenia, ciepła i zimna, a my skazańcy byliśmy już przeznaczeni na wykreślenie z kartoteki żywych tego świata.

W ciągu tego okresu burz i spadającej temperatury wysłano naszą brygadę do oczyszczania toru łyżwiarskiego, mieszczącego się w miejskim parku. Zimno było straszliwe. Do lodowiska dostaliśmy się bez trudu, ponieważ nasi poprzednicy zrobili już przekopy w śniegu na linii głównego przejścia. Z chwilą dojścia do pracy byliśmy już przemarznięci do kości. Nikt nie był

w stanie zdobyć się na wysiłek odrzucania śniegu. Znowu staliśmy bez ruchu jak zamarznięte głazy, czekając, aż z nastaniem wieczoru skończy się cierpienie powolnego zamarzania. Bojec był w lepszym położeniu. Obok lodowiska była mała budka zaopatrzona w piecyk, w której razem z brygadierem znalazł wygodne schronienie. Przy lodowisku była też polowa wygódka na wpół zasypana śniegiem. Jej dobrą stroną było to, że za pozwoleniem bojca można było ją odwiedzić i przez kilka chwil ukryć się przed przenikliwym wiatrem. Zmarznięty na kość prosiłem strażnika o udzielenie mi pozwolenia na odwiedzenie tego przybytku. Będąc tam zdecydowałem się na ucieczkę do pobliskich domów, wśród których było mieszkanie staruszki, znanej mi z handlu drzewem. Niedaleki przekop w parku pozwolił mi dostać się niespostrzeżenie do parkanu całkowicie przysypanego śniegiem. W rejonie domów, zobaczyłem jakiegoś bojca siedzącego przy wejściu do jednego z nich. Skoczyłem do głównej sieni najbliższego domu i przez lekko uchylone drzwi obserwowałem go w nadzei, że usunie się z miejsca, co pozwoliłoby mi na dostanie się do mieszkania staruszki. On istotnie po pewnym czasie usunął się z mego widoku, ale na następnej uliczce wszedłem wprost na niego. Od razu wziął mnie pod swoją opiekę i pod bagnetem odprowadził mnie na miejsce pracy. Tutaj obydwaj zamknęli się ze mną w budce i na przemian okładali mnie kolbami. Po tej operacji poszedłem z powrotem na lodowisko. Tej porażki nie mogłem im jednak podarować. Poza tym zimno było tak dokuczliwe, że trudno było je znieść. Postanowiłem jeszcze raz spróbować szczęścia. Korzystając z nieuwagi strażnika wskoczyłem do tego samego przekopu i niemal znalazłem się na parkanie, kiedy usłyszałem głos bojca, który mnie poprzednio złapał : "Pastoj, kuda idiosz". Znowu przyprowadził mnie do budki i znowu zamknęli się w niej razem ze mną. Tym razem pobili mnie do tego stopnia,

że nie byłem w stanie stanąć na nogach o własnych siłach. Strażnik brygady widocznie kierowany wyrzutami sumienia pozwolił mi leżeć na ziemi w budce aż do końca pracy. Dwóch młodszych i silniejszych więźniów wzięło mnie z jego polecenia pod ręce i zaprowadziło do obozu. Miałem jednak w sobie tyle siły, aby dojść do jadalni, zjeść należną mi porcję zupy i wdrapać się na pryczę.

Następnego ranka powlokłem się do lekarza w nadziei, że pozwoli mi pozostać w obozie na dzień lub dwa. Niestety niczego nie wskórałem i jako posłuszny czarnoroboczy powlokłem się do bramy. Strażnik poznał mnie i kazał dwóm innym więźniom zaprowadzić mnie na miejsce pracy. Tam przeleżałem cały dzień w budce w pobliżu palącego się piecyka. Moje nieudane przedsięwzięcie z dnia poprzedniego było na tyle dobre w swoich skutkach, że nie stałem cały dzień na zewnątrz i nie zamarzałem jak moi współtowarzysze.

To przejście miało też inny skutek - opanowało mnie przygnębienie i stałem się obojętny na wszystko. Zacząłem przechodzić w stan psychicznego załamania się i zamieniać się w t.zw. "dochodiagę", czyli w osobę czekającą na swój koniec. Następną pracą brygady było układanie nocą beczek z benzyną. Ja nie miałem na to sił. Rozejrzałem się za jakimś kątem w rejonie pracy i w budce na uboczu przeleżałem całą noc, zamarzając powoli na mrozie. Było mi to wtedy zupełnie obojętne, czy wstanę, czy zamarznę i czy ktoś zajmie się mną czy też nie. Nad ranem ktoś znalazł mnie w budce i przy pomocy innego zaprowadził mnie do łagru.

Dzień później przerzucono nas z powrotem na dzienną zmianę. To dało mi możność jednorazowego długiego odpoczynku na całą dobę. Odpoczynek ten też przyczynił się do tego, że poczułem się

lepiej i wyszedłem ze stanu psychicznego załamania. Byłem na tyle silny, że mogłem funkcjonować normalnie i o własnych siłach pójść do pracy.

Był to dzień 7-go grudnia 1941 roku. Wtedy nie byłem świadomy tego, że dzień ten był punktem zwrotnym w historii 2-giej Wojny Światowej. Rano poza jedną roboczą brygadą kazano wszystkim Polakom pozostać w obozie. Przyczynę tego szukałem w przepisie obozowym, który w wypadku spadnięcia temperatury zewnętrznej poniżej 65 stopni C. poniżej zera, pozwalał na pozostanie więźniów w barakach. Dzień był istotnie bardzo zimny i praca na zewnątrz była poprostu zabójstwem. Moja brygada wprawdzie nie była wyznaczona do pracy, ale mając na uwadze to, że poza drutami można było przy odpowiednich okolicznościach zdobyć nieco żywności, przyłączyłem się do innej grupy. Wyprowadzono nas poza miasto do oczyszczania linii wąskotorówki ze śniegu. Strażnik znalazł sobie budkę o kilkaset metrów w kierunku miasta i pozostawił nas pod opieką brygadiera. Zimno było okrutnie - zaczynałem nawet żałować swojej decyzji wyjścia do pracy. Stałem bez ruchu oparty o łopatę, lub siedziałem przy ognisku, cały czas myśląc o możliwości ucieczki z pracy. Ktoś musiał nosić się z taką samą myślą. Człowiek ten odłączył się od grupy i na widoku wszystkich udał się w kierunku dalekiej kosodrzewiny - widocznie celem obejścia budki. Widząc to udałem się za nim.

Po otwartej śnieżnej przestrzeni dostałem się do linii krzewów, które dały mi osłonę do dalszego działania. Tutaj zmieniłem kierunek i udałem się w stronę domów widniejących na górce, w pobliżu miejsca, gdzie kończył się tor kolejki. Rejon ten był mi już znany z moich poprzednich prac i wypraw po żywność. W tej okolicy mieszkała staruszka, która dawała więźniom chleb przyniesiony z restauracji przez jej córkę. Przy pierwszych do-

mach spotkałem się z moim poprzednikiem ucieczki z pracy. Moją pierwszą myślą było udać się do znajomej mi staruszki. Na moje pukanie drzwi uchyliły się lekko i wyciągnięta ręka dała mi kawałek chleba. Mój wspólnik wyrwał mi tę porcję z ręki i zaczął połykać wielkimi kęsami. Jedząc chleb mówił mi, że następna zdobycz będzie wyłącznie moja. Według jego planu mieliśmy się udać do stołówki bojców, gdzie miał już wyrobione znajomości i gdzie za mycie naczyń można było dostać ogryzki z chleba. Droga w tamtą stronę nie była łatwa, ponieważ w porannej porze dnia nocni strażnicy wracali nią do koszar. Ledwie uszliśmy kilkadziesiąt metrów, kiedy na drodze ukazali się bojcy. Jedynym schronieniem dla nas były nieliczne domy stojące w okolicy. Skoczyliśmy za róg jednego z nich, aby przeczekać paradę strażników. Niemal natychmiast usłyszeliśmy nad sobą ostrzeżenie: "Postoj, bo budu strelał". Okazało się, że przez nieostrożność weszliśmy do rejonu przylegającego do kobiecego łagru. W odpowiedzi na jego przeciągły sygnał gwizdkiem przybyło dwóch bojców z wachty obozu i zabrało nas do kancelarii. Po dłuższym czekaniu poprowadzono nas znanymi mi ulicami miasta do jednego z większych murowanych budynków.

Bojec pozostawił nas w poczekalni, gdzie znowu czekaliśmy /w cieple/ na wezwanie nas do kancelarii jednego z urzędników. W końcu jakiś oficer NKWD ukazał się we drzwiach i kazał nam wejść do środka. Musiał to być ktoś, kto zajmował dość wysoką pozycję w tej policyjnej organizacji. Kancelaria była duża i obszerna, z biurkiem i fotelem pośrodku, obwieszona różnymi portretami, wśród których przebijały dwie znane mi twarze Stalina i Lenina. Przed stołem stały dwa krzesła, na których kazano nam usiąść. Zaczęło się od długiego patriotycznego przemówienia oficera. Tematem tego była wojna ze wspólnym wrogiem i

braterstwo broni między Polakami i Sowietami. Na końcu pokazał nam gazetę, w której była wiadomość o przyjeździe Gen. Sikorskiego do Moskwy. Gazeta nosiła datę 5-go grudnia 1941 r. Taka wiadomość dała mi natychmiast wiele do zrozumienia. Pobyt polskiego przywódcy mógł mieć decydujący wpływ na zwolnienie nas z łagrów.

Po zakończeniu swego monologu zawołał czekającego na nas bojca i kazał mu odprowadzić nas na miejsce pracy. Nasz strażnik widział nas z daleka idących pod strażą w jego kierunku. Kiedy doszliśmy na jego wysokość zaczął wywijać kolbą. Ja, będąc pierwszy, skoczyłem w głęboki śnieg i patrzyłem jak się on rozprawiał z moim wspólnikiem. Kiedy bojec się uspokoił wyszedłem na tor i nie dostałem już bicia, ale nie wolno mi było podchodzić do ogniska. Podczas mego wychodzenia ze śniegu zamachnął raz jeszcze kolbą, ale mnie nie dosięgnął i po groźbach i krzyku poszedł zagrzać się przy ognisku.

Wieczorem, kiedy wróciliśmy z pracy, bojec odstawił nas dwóch na bok i oddał pod opiekę strażnikowi na wartowni. Rano tego dnia pożyczyłem rękawice od Polaka Słuckiego, który nie wyszedł do pracy. Kiedy stałem w przejściu wartowni przybiegł do mnie i od razu zaczął robić mi wymówki, że jako ten człowiek, który idzie na wolność, nie powinienem zabierać rękawic człowiekowi, który zostaje w obozie. "Jaka wolność?" zapytałem z miejsca. "Dzisiaj po południu wyczytano twoje nazwisko," odpowiedział. Słysząc to zdecydowałem się na ucieczkę z wartowni. Drzwi do kancelarii były zamknięte, tylko strażnik od czasu do czasu spoglądał na nas przez szybę. W chwili, kiedy nie patrzył na nas, otworzyłem zewnętrzne drzwi i wyskoczyłem na podwórko. Bojec skoczył za mną, ale nie mógł mnie widzieć, bo byłem za rogiem baraku. Przy tym ciemność wieczoru wybitnie sprzyjała

mojej ucieczce. Wpierw poszedłem do jadalni po należną mi miskę zupy z morskich wodorostów, a następnie udałem się do komendanta baraku z zapytaniem, czy istotnie moje nazwisko wyczytano. Ten natychmiast przeglądnął listę i znalazł na niej moje nazwisko.

Obawiałem się tylko, że moja ucieczka z wartowni zostanie w jakiś sposób wykryta i zamiast na wolność pójdę do karceru. W czasie wieczornego apelu ukryłem się na zewnątrz baraku i czekałem, aż skończą swoją czynność przeliczania ludzi. Powróciłem do wnętrza i na gołym sienniku śpiąc i budząc się czekałem niecierpliwie rana. Kiedy udałem się do barakowego po należną mi porcję, on początkowo nie chciał mi jej wydać. Po przedstawieniu swojej sprawy i po zrzuceniu winy za moją nieobecność na apelu na załatwianie spraw związanych ze zwolnieniem, barakowy wydał mi porcję drugiej kategorii - normalnie byłem na trzeciej.

Około godziny 11-tej rano przyszedł do nas jeden z oficerów, wydał nam nasze legitymacje /udostwierenje/ i z tą chwilą staliśmy się wolnymi ludzmi. Przechodząc przez wartownię odwróciłem głowę w drugą stronę w obawie, aby dyżurny bojec przypadkiem mnie nie rozpoznał. Bez trudności przeszedłem wartownię i bramę i znalazłem się za drutami obozu bez nadzoru nieodstępnego strażnika. Razem ze mną wyszło około 60-ciu Polaków z którymi w grupie udałem się do obozu tranzytki. Popatrzyłem kilkakrotnie do tyłu, aby spojrzeć na baraki, druty i strażnice, jakby dla upewnienia się, że zmora łagierna jest już poza mną. Był to dzień 8-go grudnia - dzień święta Matki Boskiej Jazłowieckiej, patronki mego rodzinnego miasta i 14-go Pułku Ułanów Jazłowieckich. Wtedy przypomniałem sobie, że z chwilą wybuchu wojny matka oddała swoich trzech synów pod opiekę Patronki Jaz-

łowca. Moje zwolnienie w dniu jej święta było niejako spełnieniem się prośby moich rodziców.Może dla innych ta okoliczność była tylko kwestią przypadku, ale dla mnie był to cud, który spełnił się w chwili, kiedy byłem u kresu swojej wytrzymałości. Zamieszkaliśmy w jednym z baraków obozowych z prawem całkowitej swobody osobistej. Wolno nam było wychodzić poza bramę, poruszać się po mieście i spotykać się z wolną ludnością. Już od pierwszego dnia zacząłem szukać pracy, aby tą drogą zdobyć żywność, której mój organizm gwałtownie się domagał. Najczęściej podejmowałem się pracy rąbania drzewa, czasem natomiast nosiłem wodę ze studni do mieszkalnych domów. W zamian za to, dostawałem chleb, kaszę i inne artykuły żywnościowe. To pozwoliło mi na dożywianie się i nabrania sił i ciała.
Jednego dnia znalazłem kupę świeżo przywiezionego drzewa przed jakimś mieszkaniem. Osoba mieszkająca tam, z zawodu aptekarka, prosiła mnie o porąbanie tego drzewa i wniesienie na górę do mieszkania.Pracowałem tam całe popołudnie, za co ona obdarzyła mnie hojnie chlebem, rybą, cukrem, tytoniem, konfiturami i pieniędzmi. Ponadto zaproponowała mi, abym odwiedzał ją co kilka dni wyłącznie dla towarzystwa. Razem z nią mieszkał jakiś lekarz oraz jej córka, podrastający podlotek, może w wieku 17-tu lat. Byłem w jej domu kilkakrotnie. Za każdym razem przyjmowała mnie obiadem lub kolacją. Podczas takich wizyt wypytywano mnie o życie w Polsce. Opowiadałem im prawdę, a to co opowiadałem było dla nich, żyjących w innych warunkach, po prostu cudem. Młoda dziewczyna chłonęła wszystko co mówiłem, a zwłaszcza tradycje religijne związane z Bożym Narodzeniem. Kiedy opowiadałem o tym przy stole, patrzyła we mnie jak w obrazek. Dla niej musiała to być cudowna rzeczywistość, z dalekiej przeszłości i potwierdzeniem tego, o czym matka jej

opowiadała. Za każdym razem przed moim wyjściem, biegła do innego pokoju, z moją czapką w ręku, a oddawała mi ją pełną słodkich sucharów i innych artykułów do jedzenia . Dla mnie wygłodniałego były to po prostu smakołyki. Oprócz tej rodziny, zrobiłem kilka innych znajomości, do których od czasu do czasu chodziłem w odwiedziny. Raz próbowałem odwiedzić staruszkę, z którą handlowałem drzewem, ale zastałem tam drzwi zamknięte. Prawdopodobnie była w domu, ale bała się przyjmować ludzi-w czasie nieobecności córki i zięcia.

Dwa tygodnie po nas, następna grupa Polaków w ilości około 30-tu została zwolniona z 10-go OŁPu. W grupie tej znalazł się Rysiek Łopacki, jeden z moich częstych współpracowników. Wprawdzie nie żyliśmy zbyt blisko, ale tuż po przyjściu na tranzytkę, ja byłem pierwszy, do którego zwrócił się o pożyczenie mu kilku rubli. Od tej pory staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. Nawet zaproponowałem mu, aby towarzyszył mi w moich pracach zarobkowych, ale on czuł się za słaby fizycznie, aby zdobyć się na tego rodzaju wysiłek. Chodził natomiast po sklepach w mieście, kupował kartofle, pomidory, kwaśną kapustę i inne artykuły, a ja przynosiłem chleb, kaszę i cokolwiek mi tylko dano. Razem co wieczora gotowaliśmy wspólnie potrawy. Spaliśmy też na jednej pryczy obok siebie. Początkowo mieliśmy jeszcze trzeciego wspólnika, Jasia Lisicę, ale ten potem odłączył się od nas. Na baraku był też mój dawny znajomy z więzienia czortkowskiego i Starobielską, Wojciech Makowski, ale będąc starszy ode mnie wiekiem żył swoim własnym trybem życia.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy razem w obozie. Dzień wigilijny był cichy i spokojny, ale bardzo mroźny. Mimo świadomości tego, że było to nasze wielkie tradycyjne święto nikt

nie odważył się na obchodzenie tego w sposób jawny i głośny. Późnym wieczorem weszło do baraku kilku oficerów sowieckich. Na wstępie musieliśmy wysłuchać kilku mów propagandowych i wznosić okrzyki na cześć Stalina i innych przywódców sowieckich. Ktoś bardziej przewidujący i świadomy rzeczy wyciągnął ze swego worka cudem nabytą butelkę wódki i poczęstował nią naszych niespodziewanych gości. Pod jej wpływem rozwiązały się języki i spotkanie z nimi przyjęło bardziej nastrojowy charakter. Ktoś zanucił kolędę, inni to podchwycili i niedługo potem cały obóz brzmiał melodią polskich piosenek. Po tym nieśmiałym początku zaczęto doszukiwać się w pamięci słów piosenek legionowych i patriotycznych i nagle wszystko ożyło naszą polską tradycją. Pogodny, świąteczny nastrój udzielił się też naszym gościom. Widać było, że czuli się dobrze w towarzystwie ludzi, którzy nawet w radzieckim sojuzie potrafili się zdobyć na wyrażenie swoich religijnych i narodowych uczuć. Prawdopodobnie dało to im wiele do myślenia i może zadawali sobie pytanie, dlaczego w ich kraju tradycje tego rodzaju zostały wyrzucone poza nawias codziennego życia. Może podobnie jak córka aptekarki, której opowiadałem o naszych tradycjach świątecznych, pragnęliby to przeżyć osobiście. Ta młoda dziewczyna o ładnych rysach twarzy, ciemnych oczach i włosach, po wysłuchaniu mnie długo trzymała moje ręce w swoich dłoniach i przeciągle patrzyła w moje oczy, jak gdyby chciała wyrazić mi podziękowanie za kilka miłych chwil, które przeżyła w trakcie mego opowiadania. Dopiero około północy sowieccy oficerowie opuścili nasz barak, żegnając tych stojących koło nich długim uściskiem dłoni, niewątpliwie dla wyrażenia swego podziękowania za mile spędzony wieczór.

Co pewien czas ktoś z nas chodził do portu, całe sześć kilome-

trów, po głębokim śniegu, aby się upewnić, czy do portu nie zawinął jakiś statek. W kilka dni po świętach ktoś przyniósł wiadomość, że w następnych kilku dniach miał odejść do Władywostoku okręt "Sowieckaja Łotwa". Oficjalnie nikogo z nas o tym nie zawiadomiono. Któregoś dnia, kiedy wielu z nas było w mieście, a ja między nimi, kazano obecnym spakować swoje rzeczy i udać się do portu. Kiedy wróciłem do baraku dowiedziałem się od tych, którzy jeszcze nie mieli wyrobionych papierów, że wszyscy mający już swoje papiery gotowe, w południe wymaszerowali do portu.

Spakowałem swój woreczek, zarzuciłem go na plecy i udałem się w kierunku portu. Droga była zupełnie zasypana śniegiem, można tylko było iść dwoma koleinami, zrobionymi przez jakiś pojazd. Szczęśliwie w stronę portu jechało dwóch oficerów na saniach. Oni bez najmniejszego sprzeciwu przyjęli mnie jako dodatkowego pasażera. Do portu wpuszczono mnie po pokazaniu moich papierów i kazano mi iść około osiem kilometrów do okrętu zamarzniętego w lodzie. Było już prawie ciemno, gdy doszedłem do tego miejsca. Przy okręcie stało kilkunastu spóźnionych, takich jak ja i prosili na nim stojącego marynarza, aby zabrał ich na okręt. Z góry odpowiadano im, że kapitan nie pozwolił im przyjmować więcej pasażerów. Jakiś młody człowiek próbował drapać się po linie okrętu, ale to mu się na nic nie przydało. Jakiś polski Żyd błagał ich długo płaczliwym głosem - to też nie odniosło skutku.

W międzyczasie zrobiło się już ciemno. Przy tym coraz silniejszy mroźny wiatr zaczął wiać od lądu. Część z nas zdecydowała się na powrót do obozu. W odwrotnym kierunku musieliśmy iść pod ten piekielny, mrożący wiatr. Jak się później okazało, wielu z nas odmroziło sobie nosy, uszy, ręce i nogi.

Janek Lisica i ja wzieliśmy pod rękę starszego człowieka Siedleckiego, który nie miał już sił nadążyć za nami, i prowadziliśmy go tak do portu. Podczas drogi, widząc, że on opada na siłach wyciągałem słodkie sucharki z kieszeni i karmiłem jego. Kiedy w porcie oddaliśmy go do rąk urzędnika na wartowni, przy ściąganiu butów człowiek ten stracił palec u nogi. Inni powoli ściągali do portu, wszyscy przemarznięci do kości. Janek Lisica i ja po ogrzaniu się zdecydowaliśmy się wrócić do obozu jeszcze tej samej nocy mimo zimna i śniegu. Tym razem szczęście też mi sprzyjało. Ledwie uszliśmy kilkaset metrów, kiedy za nami nadjechał wóz ciężarowy. Na nasz znak ręką wóz się zatrzymał i strażnik przy kierowcy pozwolił nam wsiąść do tyłu. Na wozie znaleźliśmy się w towarzystwie rosyjskich więźniów, których wiezino do miasta na nocną pracę. Na ich widok powstała we mnie myśl, czy strażnik pozwoli nam wysiąść w mieście i czy przypadkiem nie wezmą nas za więźniów. Kiedy znaleźliśmy się w niedalekiej odległości od obozu Janek i ja niemal równocześnie zeskoczyliśmy z wozu podczas jazdy. Wróciliśmy do tranzytki w niewesołym nastroju. Jeśli "Sowieckaja Łotwa" miał być ostatnim okrętem, który opuszczał Kołymę w tym roku, nasz wyjazd z tego kraju mógł być opóźniony o wiele miesięcy.

Znowu codziennie ktoś chodził do portu i sprawdzał czy okręt już odszedł. Kilka dni upłynęło i okręt wciąż stał w lodzie. Niedługo potem dowiedzieliśmy się, że wszyscy Polacy wrócą z powrotem do obozu. Jak zawsze nie podano nam przyczyny tego nagłego i niespodziewanego pociągnięcia ze strony władz. Jednego z następnych wieczorów cała grupa znalazła się znowu na tranzytce. Zabrakło czterych osób, które zmarły na pokładzie. Ci, którzy powrócili przeżyli cztery dni na okręcie w

bardzo trudnych warunkach. Oprócz chleba i wody niczego innego nie dostawali do jedzenia. Wielu z nich nie miało poza tym dostatecznie ciepłego ubrania, aby znieść zimno w nieopalanej luce okrętowej. To musiało przemówić do sowiedzkich władz, bo natychmiast po ich powrocie, wydano nam cały nowy zestaw zimowego uposażenia, łącznie z ciepłymi butami. Dnia 30 grudnia kazano nam pozostać w obozie i przygotować się do transportu. Tym razem sprawa naszego wyjazdu była o wiele lepiej zorganizowana. Po południu do obozu przyjechały ciężarówki, które przewiozły nas po lodzie do okrętu, stojącego 18 kilometrów od portu. Powierzchnia lodu była wprawdzie nierówna, ale traktory zdołały już przetrzeć nierówności i dojazd był zupełnie możliwy. Okręt ten nosił nazwę "Dalstroy". Wielu z nas już o nim słyszało, a niektórzy nawet przyjechali na nim do Magadanu. W transporcie tym było nas wszystkich około 130 Polaków. Oddano nam całą lukę do użytku, która tym razem była zaopatrzona w żelazny piecyk i zapas drzewa do palenia. Wyżywienie też było znacznie lepsze niż na "Sowieckiej Łotwie". Dostawaliśmy aż 750 gramów chleba, dwie ryby, kilka cukierków zamiast cukru i dwa razy gorącą zupę dziennie. Również mieliśmy stale do swojej dyspozycji "kipiatok", który zabarwiony cukierkami służył nam jako herbata. Niektórzy jak ja mieliśmy swoje własne zapasy żywnościowe, które zawsze były użyteczne na okręcie, nawet przy względnie wysokiej racji na okręcie. Od czasu pożyczenia mu kilku rubli Rysiek Łopacki i ja stale trzymaliśmy się razem. Rysiek cały czas szperał po okręcie i szukał okazji zdobycia dodatkowej żywności. On, jak każdy z nas, był wygłodzony i wycięczony i dlatego nasz organizm nie miał nigdy dostatecznej ilości wyżywienia. Raz dostał się do dolnej luki okrętu, gdzie znalazł kilka zgniłych i nie nada-

jących się do jedzenia buraków. Innym razem znalazł dziurę w magazynie, co wykorzystywaliśmy wspólnie do wyciągania zamarzniętych kawałków chleba. Biorąc to wszystko razem, na ogół głód już nam teraz nie dokuczał.

Przez całą noc słyszeliśmy detonacje na zewnątrz. Jak nam powiedziano, dookoła okrętu wysadzano lód dynamitem, aby rano można było opuścić zatokę. Rano istotnie okręt przybrał kierunek i ruszył do przodu. Płynęliśmy bardzo wolno. Okręt musiał łamać lód przed sobą swoją własną siłą. Dlatego co kilkaset metrów cofał się do tyłu, nabierał rozpędu i łamał znowu pewną przestrzeń lodu przed sobą. Tak podróżowaliśmy całe trzy dni przy ciągłym huku łamanego lodu, który wewnątrz okrętu potęgował się niezmiernie. Czasami wydawało się, że statek pęka w swoich połączeniach i rozlatuje się w kawałki. Na pełnym morzu miał jedynie cieńką powłokę lodu do przełamania, a im bardziej na południe, tym mniej naturalnych przeszkód było na jego trasie. W cieśninie La Perusa ponownie nastąpiła historia z łamaniem lodu, ale tym razem proces cofania się i płynięcia do przodu, trwał o wiele krócej. Morze Japońskie było zupełnie wolne od lodu. Poza tym morze było na ogół spokojne i żadne niespodziewane burze nie spotkały nas w czasie podróży. Po dwunastodniowym rejsie, dnia 12-go stycznia 1942 roku dobrneliśmy wreszcie do Buchty Nachodki. Wprawdzie byliśmy jeszcze daleko od naszego ostatecznego celu, którym w naszym przekonaniu była Polska Armia, ale czuliśmy już pod nogami ten ląd, po którym w ten, czy inny sposób dostaniemy się do polskich wojskowych ośrodków. Teraz zrobiliśmy odwrotny marsz do obozu i tym razem pod opieką przewodnika, a nie uzbrojonego bojca. W czasie tego marszu było mi bardzo gorąco, jak gdyby w okolicy Władywostoka zima miała się już ku końcowi. Inni rozpinali swo-

je kufajki i zdejmowali rękawice udawadniając tym, że im też było za ciepło.

Przy wejściu do obozu odebrano nam nasze "udostwierenia" i ulokowano w barakach. Byliśmy traktowani lepiej niż więźniowie, ale nie mieliśmy tej swobody jak w Magadanie. Tak jak w Sowietach pod innym nadzorem, traktowanie nas było inne. Przesiedzieliśmy tam dwa dni. Następnie zaopatrzono nas w chleb i śledzie i specjalnym pociągiem wysłano do Nowosybirska. Jednak skromna racja dwóch bochenków chleba i kilka śledzi nie wystarczyła nam na długo. Po dwóch dniach podróży ludzie zaczęli wysiadać na stacjach, aby dostać trochę żywności.

Niektórzy już wysiedli w Chabarowsku i nigdy do transportu nie dołączyli. Rysiek Łopacki i ja wysiedliśmy dopiero w Birabejdzianie w nadziei, że w restauracji kolejowej dostaniemy trochę ciepłej strawy. Dostaliśmy się wprawdzie do restauracji i kupiliśmy po porcji zupy, ale nie zdążyliśmy powrócić na czas do pociągu. Pozostaliśmy tam na miejscu i udaliśmy się do urzędu Wojenkomat. Tam się nami szczerze zajęli, tak jak swoimi rekrutami jadącymi do wojska. Tymczasowo ulokowano nas w świetlicy Komsomolców i nawet pokazano dwa propagandowe filmy wojenne. W czasie czekania dano nam obiad, a na drogę dostaliśmy trochę chleba, kiełbasę i trochę cukru. Również załatwiono nam sprawę dalszej podróży i nocą wyjechaliśmy z Birabejdzanu. Dostaliśmy cały przedział na dwie osoby, co pozwoliło nam na niebywale wygodną podróż. Na wydanym nam prowiancie dojechaliśmy do Ułan Ude. Tam znowu wysiedliśmy i oddaliśmy się pod opiekę Wojenkomatu. Od nich dostaliśmy po dwa bochenki chleba i ułatwiono nam zakup więcej żywności w magazynie tej organizacji. Również postarano się nam o miejsca w wagonie, ale pociąg ten nie szedł dalej niż Irkuck. Tym nie bardzo martwili-

śmy się, ponieważ byliśmy pewni, że lokalna wojskowa organizacja znowu ułatwi nam zdobycie żywności i biletu na dalszą podróż.Po dwóch dniach podróży dotarliśmy do Irkucka.

Na naszym nowym miejscu zatrzymania, po raz pierwszy spotkaliśmy się z poważniejszymi trudnościami. Albo organizacja była słabsza, albo było za dużo takich klientów jak my - zarówno polskich jak i rosyjskich. Stacja była przepełniona ludźmi. Do pociągów idących na zachód trudno było się dostać. Nawet proces dostania prawa do dalszej podróży był długi i uciążliwy. Wpierw trzeba było czekać na ostemplowanie biletów, następnie stać kilka dni w kolejce przed wejściem na peron, a w końcu nie zawsze można było dostać się do wagonu. Na to wszystko trzeba było poświęcić co najmniej tydzień czasu, co przy naszych małych zasobach żywnościowych, stawiało nas w obliczu wielkiego problemu. Postanowiliśmy więc szukać innej drogi, aby dostać się do wagonu. To wymagało zbadania terenu i w ramach odkrytych możliwości szukać rozwiązania.Pociąg idący do Nowosybirska przyszedł na stację wcześniej nim byliśmy jeszcze gotowi z naszym planem. Trzeba więc było działać natychmiast. Obiegliśmy stację dookoła i po dłuższym szukaniu znaleźliśmy odpowiednie miejsce, przz które mogliśmy dostać się na peron. Przeskoczyliśmy przez parkan, co najmniej dwu-metrowej wysokości i znaleźliśmy się po drugiej stronie peronu. Próbowaliśmy kilka drzwi do wagonów, ale wszystkie były zamknięte. Próbując dalej, jedne z nich otworzyły się pod naporem mojej ręki. Wskoczyliśmy do środka poza plecami dyżurnego, który w danej chwili był zajęty tłumem pchającym się do wagonu od strony peronu. W jednym z przedziałów znaleźliśmy dwie małe ławeczki, które razem składały się na jedną większą. Od razu je zajęliśmy wiedząc, że dalsze poszukiwania za czymś lepszym mogły się skończyć całkowitym fiaskiem.

W naszym przedziale , oprócz nas, była Rosjanka z małą dziewczynką, kilku Polaków z naszej magadańskiej grupy i kilku sowieckich żołnierzy. Podróż nie była wcale wygodna. Po ostatniej przygodzie w Irkucku nie mieliśmy już zamiaru pozostawać w jakiejś miejscowości po drodze i szukać czegoś lepszego. Na naszych ławeczkach podróżowaliśmy siedząc w ciągu dnia i śpiąc w ciągu nocy, wyciągnięty jeden obok drugiego. Na stacjach wyskakiwaliśmy na peron i kupowaliśmy każdy artykuł żywnościowy jaki tylko można było dostać. Czasami zdarzało się kupić trochę mleka, czasami placki kartoflane, czasami gorącą zupę z kawałkiem chleba, a czasami musieliśmy zadowolić się tylko gorącą wodą. W czasie drogi wcisnęło się więcej podróżujących i w przedziale zrobiła się niemożliwa ciasnota. Taki tłok sprzyjał złodziejom, którzy nie omieszkali to wykorzystać. W ciągu nocy, kiedy zdejmowaliśmy buty Rysiek stał się ich ofiarą. Zabrano mu jego nowe buty, a w zamian tego pozostawiono mu jakieś stare podarte łachmany.

W ciągu drogi zaczynało brakować mi pieniędzy, wobec czego byłem zmuszony do sprzedania jednej z moich kufajek.

Po kilku dniach takiego podróżowania dojechaliśmy w końcu do Nowosybirska i zaraz zameldowaliśmy się do polskiego delegata, który urzędował na stacji. Tam spotkaliśmy się z kpt. Czechowiczem, naszym współtowarzyszem z Kołymy, który był zatrudniony w tym urzędzie. Od niego dowiedzieliśmy się, że w danej chwili rekrutacja do polskiego wojska jest zatrzymana i należy starać się o pracę, aż do otrzymania powołania .

W takiej sytuacji zdecydowałem się na wyjazd do Semipałatyńska, aby odszukać tam moich rodziców. Za pośrednictwem kpt. Czechowicza obaj dostaliśmy bilety do Barnaułu, ponieważ dla jakichś przyczyn, nie można było ich dostać do Semipałatyńska. Rysiek

jadąc ze mną spodziewał się, że spotka kogoś ze znajomych w Barnaule.

Do Barnaułu dojechaliśmy bez żadnych trudności i przygód. Tam zgłosiliśmy się do polskiej Delegatury, gdzie dano nam po kilkadziesiąt rubli, kartkę na chleb oraz kartkę do publicznej łaźni. Ponadto wydano mi zaświadczenie upoważniające mnie do dalszej podróży. Po południu tego dnia pożegnałem się z Rysiem i sam udałem się na stację.Robiąc to celowo, przyszedłem tam trochę wcześniej, aby załatwić wszystkie formalności z dostaniem biletu i miejsca w wagonie. Przy drzwiach, mimo kilkakrotnego pokazywania im zaświadczenia, nie chciano mnie wpuścić do poczekalni, gdzie sprzedawano bilety. Korzystając z zamieszania, dostałem się tam przemocą. Przy okienku biletowym też robiono mi trudności i w rezultacie biletu nie dostałem. Wyszedłem więc na zewnątrz i podobnie jak w Irkucku zacząłem szukać sposobu dostania się na peron. W odległości około dwustu metrów od stacji, wzdłuż toru, stał jakiś domek z zakrytym przejściem między drogą, a peronem. Przeszedłem więc przez ten ganek i znalazłem się na peronie na wysokości ostatnich wagonów czekającego pociągu. Niestety, od strony peronu nie chciano wpuścić mnie do środka. W ostatniej chwili, kiedy pociąg już ruszał wskoczyłem na przejście między wagonami. Na przejściu tym stało już kilka innych osób, którzy jak ja nie mieli biletów. Jednemu z nich udało się otworzyć drzwi do małego korytarzyka, do którego weszliśmy wszyscy. Pomieszczenie to nie było wprawdzie ogrzewane, ale przynajmniej chroniło nas przed zimnem styczniowej nocy.Ujechaliśmy ledwie kilka stacji, kiedy złapała nas kontrola. Inni, będąc Rosjanami, wykręcili się w jakiś sposób, a mnie zabrano do jednego z przedziałów i oddano pod opiekę jednemu z dyżurnych.

Na następnej stacji dyżurny, widząc moją przerażoną twarz, zlitował się nade mną i pozwolił mi wyjść na zewnątrz, aby zakupić bilet i podróżować jako legalny pasażer. Bilet sprzedano mi bez trudności do miejscowości Łokietnaja, gdzie miałem się przesiąść do pociągu idącego do Szemanajchy - ostatniej stacji od miejsca zamieszkania moich rodziców.Wracając do pociągu zastałem drzwi zamknięte. Zacząłem więc próbować każdy wagon po kolei. Dopiero ostatnie drzwi ostatniego wagonu były otwarte. Wskoczyłem do środka i przysiadłem się na jakiejś ławeczce. Siedząc tam nagle usłyszałem dźwieki polskiej mowy. Wdałem się zaraz w rozmowę z tą osobą i od niej dowiedziałem się, że w wagonie jest cała grupa Polaków jadąca z północnej części Syberii do południowej. Około południa dojechałem do Łokietnaja i tam pożegnałem się z przypadkowo spotkaną grupą rodaków. Pociąg do Szemanajchy odchodził dopiero nad ranem. Musiałem więc przesiedzieć kilkanaście godzin w poczekalni. W tym dniu cała obsługa kolejowej restauracji miała swój wolny dzień i nie mogłem dostać niczego do zjedzenia. Zdrzemnąłem się w ciągu nocy na podłodze i obudziłem się dopiero wtedy, gdy otworzono kasę. Podróż do Szemanajchy była krótka. Dojechałem tam we wczesnych godzinach rannych. Restauracja była już otwarta i po wystaniu się w ogonku dostałem miskę zupy z kwaśnej kapusty. Tam też zostałem wylegitymowany przez jednego z milicjantów, który przez dłuższy czas mnie obserwował i podejrzliwie na mnie patrzył. Czekałem jeszcze trochę w poczekalni, aż się rozwidni na dworze. Gdy zrobiło się jasno wyszedłem na zewnątrz, aby zasięgnąć informacji jak się dostać do sowchozu "Wtoraja Piatyletka", gdzie mieli zamieszkiwać moi rodzice. Pytałem każdego człowieka spotkanego na drodze, ale nikt nie mógł dać mi odpowiedzi, gdzie leży ten sowchoz.

Dopiero jakiś Kazak, szczupły, wysoki i z małą bródką wskazał mi kierunek w jakim należało iść. Jako wskaźnik pokazał mi słupy telefoniczne, które miały zaprowadzić mnie do celu. Powiedział mi przy tym, że w pewnych miejscach droga może być zawiana i można zabłądzić w stepie. Dla pewności radził mi zaczekać w Szemanajsze, aż do przyjścia sań z sowchozu, które przyjeżdżały tam co najmniej dwa razy w tygodniu. Był jednak pewny, że w danym dniu nie przyjeżdżały one do Szemanajchy. Biorąc za kierunkowskaz słupy telefoniczne, zdecydowałem się więc wybrać na piechotę.

Tylko początkowa część drogi była na tyle przetarta, że była łatwo rozpoznawalna. Dalsza jej część była zasypana śniegiem i koleiny rzadko się ukazywały na pustynnym stepie. Słupy telefoniczne były istotnie jedynym znakiem jej istnienia. Przede mną był step szeroki i rozległy, lekko falisty i pokryty jednolitym kolorem czystej, śnieżnej bieli. Step i śnieg, śnieg i step - były jedyną treścią krajobrazu zaczynającego się i kończącego się niebem - niebem zasłanym również białą powłoką chmur. Step bez początku i końca, a przy tym zimny, chociaż cichy i spokojny. Ale ja, niedawno poddany torturom mrozów kołymskich, stepowego zimna nie odczuwałem. Wyższa temperatura i niewątpliwie podniecenie, wywołane nadzieją spotkania się z rodziną, utrzymywały moje ciało i moje uczucia w stanie napięcia i ciepła.

Około południa spotkałem się z pierwszym znakiem życia na stepie. Przed sobą zobaczyłem sanie, ciągnięte przez jednego konia, ale idące w przeciwnym kierunku. Zatrzymałem woźnicę i zapytałem czy idę właściwą drogą. W ciągu naszej krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że człowiek ten należy do sowchozu położonego o kilka kilometrów od Wtoraja Piatyletka. Okazało się, że znał

moich rodziców i zapewnił mnie, że wszyscy żyją i pracują. Kilka godzin później spotkałem następny znak życia. Tym razem sanie szły w tym samym kierunku jak ja. Prosiłem o podwiezienie, ale woźnica odmówił mi tej przysługi, usprawiedliwiając się tym, że zarządzenia lokalne na to mu nie pozwalają. Dopiero następny woźnica z sowchozu położonego o cztery kilometry od mego docelowego miejsca, pozwolił mi usiąść na sanie.
Przy rozstaniu się wskazał mi drogę, którą mam iść do miejsca moich rodziców. Szedłem jakąś ścieżką i pod wieczór, może około piątej godziny, zobaczyłem dymiące się kominy w jakiejś kotlinie, sądząc że to jest Wtoraja Piatyletka. Przy jednym z pierwszych domów spotkałem grupę Polaków. Wszyscy znali mego ojca, a jeden z młodych chłopaków zaofiarował się zaprowadzić mnie do mieszkania rodziców. Doszedłem z nim do miejsca, gdzie ich dom był już widoczny. Przy wejściu do wioski spotkałem młodą dziewczynkę. Zapytałem ją po rosyjsku, gdzie mieszkają moi rodzice. Na to ona odpowiedziała, że oni mieszkają w tym samym baraku jak oni i że są sąsiadami. Zaprowadziła mnie do drzwi i natychmiast pobiegła do miejsca pracy ojca, aby zawiadomić go o moim przybyciu. Tą młodą dziewczynką była mała Stanecka, którą znałem jeszcze jako dziecko w Jazłowcu i z której ojcem spotkałem się na celi więziennej w Starobielsku. Zapukałem do drzwi i jakiś męski głos zaprosił mnie do środka. W mieszkaniu zastałem wuja Kuriańskiego, burmistrza Jazłowca, oraz mego brata Tadeusza. Obaj rzucili mi się na szyję i zaczęli ściskać i całować. Za chwilę przybiegł zadyszany ojciec i uściskając mnie rozpłakał się ze wzruszenia. W kilka minut potem całe mieszkanie zapełniło się Polakami. Witano mnie jak człowieka, który powrócił z drugiego świata. Każdy zadawał mi pytania, czy nie spotkałem mężów, ojców, braci, krewnych i zna-

jomych. Miałem wiadomości dla Makowskiej i Pocztarowej, ale one były raczej ogólne i przedawnione, ale nie mniej dla nich pozytywne, bo upewniały je w przekonaniu, że najbliższe im osoby były wciąż przy życiu.

Jedna z młodych dziewczynek pobiegła szukać mojej matki, która wyszła do innej wioski po mleko. Spotkała ją na drodze powracającą do domu. Matka początkowo nie uwierzyła w tę wiadomość, ale gdy dziewczynka powtórzyła ją kilkakrotnie, zaczęła biec do domu, mimo że jej stan zdrowia na to nie pozwalał. Biegnąc zaczęła płakać ze wzruszenia. Gdy wpadła do domu, rzuciła się mi na szyję i długo płakała.

Późnym wieczorem przyszli moi krewni Kuriańscy, którzy mieszkali na innym posiołku. Znalazłem się znowu w otoczeniu Kazi, Wisi, Franusi i ich matki cioci Ludwini, oraz stryjostwa Kowalskich z całą ich rodziną. Wiadomość o moim przyjściu obiegła cały sowchoz. Nawet sam naczelnik przyszedł mnie odwiedzić i w przystępie dobrego humoru wypisał mi kartkę na dwa kilogramy kaszy oraz litr roślinnego tłuszczu, uprzedzając mnie przy tym, że za kilka dni powoła mnie do pracy.

Był to dzień 28-go stycznia 1942 roku, - pamiętny dzień spotkania się z rodziną na syberyjskiej ziemi.

Następne dni były dla mnie dniami odpoczynku. Ojciec przekonał swego przełożonego, że moje ropiejące nogi nie pozwalają mi na podjęcie pracy, co zostało potwierdzone przez lokalnego lekarza. Istotnie, moje nogi były w fatalnym stanie. W wielu miejscach skóra na skutek cyngi przegniła już do mięśni i duże rany nie chciały się w ogóle goić. Matka je przemywała i bandażowała, co niewątpliwie ulżyło mi bardzo, ale do całkowitego wyleczenia potrzebowałem witamin oraz lepszego wyżywienia. To niestety nie było osiągalne na tym posiołku. Najczęściej

leżałem na ławie i przyjmowałem gości oraz cieszyłem się tym, że byłem wśród swoich, cały i żywy. W czasie tego zapoznawałem się z warunkami życia rodziców i innych Polaków wywiezionych do rejonu Semipałatyńskiej Obłasti. Moi rodzice tak jak wszyscy inni mieszkali w jednej izdebce. Służyła im ona zarówno za kuchnię, jadalnię, jak i za sypialnię. Umeblowanie izby składało się z jednego łóżka, stołu, ławki i kilku skrzyń. W ciągu dnia leżałem na łóżku rodziców, a na noc przenosiłem się na ławkę. Brat Tadeusz spał na skrzyniach. Ze swego łoża wstałem tylko kilka razy, aby odwiedzić stryjostwa Kowalskich i wujostwa Kuriańskich. Moje pokazywanie się w rejonie sowchozu było niewskazane. Mój widok mógł sprowokować naczelnika do wezwania mnie do pracy. Wprawdzie raz widziała mnie jego dorastająca córka i powiedziała memu ojcu, że jestem "charoszyj baryń", ale to minęło bez żadnej reakcji ze strony naczelnika. Długi barak, w którym było mieszkanie rodziców, mieścił też inne rodziny polskie, które od mego powrotu często zaglądały do naszej izby. Najbliższą sąsiadką rodziców była p.Bielska z Zaleszczyk Wielkich. Naprzeciw, przez sień mieszkała p.Pocztarowa z synem i córką, której mąż był ze mną na celi w Czortkowie. Stryj Ignacy mieszkał w tym samym budynku, ale do niego wchodziło się innym wejściem. W tym samym sowchozie była p. Makowska z synami, której mąż był moim długim współtowarzyszem w więzieniach i łagrach. Częstymi moimi gośćmi byli Swaryczewscy ze Złotego Potoka, a zwłaszcza młoda pani Adela, która pracując w stołówce, zawsze przynosiła mi coś do jedzenia. Przez nią zaprzyjaźniłem się z jej bratem Tadeuszem, żonatym z młodą Ukrainką, która była tak w nim zakochana, że razem z nim wyjechała na Sybir, mimo że nie była na liście skazanych na wywóz.

Ojciec pracował w stolarni, gdzie wyrobił sobie renomę specjalisty w tym zawodzie. To też wyrobiło mu dobrą markę u naczelnika. Za to dostawał wynagrodzenie w wysokości 240 rubli miesięcznie, ale za co mógł ledwie kupić pud czarnej mąki /16 kg/. Brat Tadzio, jako woźnica, zarabiał tylko 80 rubli. Pieniędzy zresztą nie brakowało. Każdy brał pensję, ale nie mógł jej wydać, bo nie było niczego do kupienia. Matka przebywała w domu, jako osoba chora. Naczelnik kilkakrotnie chciał ją wziąć do pracy, ale ona stanowczo odmówiła mu. Dlatego jej przydział chleba wynosił tylko 200 gramów dziennie, podczas gdy pracujący dostawali po 600 gramów.

Głównym ich pożywieniem były kartofle i kapusta, pochodzące z własnego ogródka. Za ogródek ten musieli jednak płacić podatek w pieniądzach i naturze. Mięso było tylko wtedy osiągalne na posiołku, jeśli padła jakaś krowy, świnia czy owca. Mleko matka kupowała codziennie u Rosjan, którym wolno było mieć krowy, od których musieli jednak płacić podatki w pieniądzach i w naturze. Stryj Ignacy i wuj Kuriański też posiadali krowy, co dla nich ze względu na liczne rodzeństwo miało duże znaczenie. Podatek musieli płacić w formie masła i mięsa, a jeśli urodziła się jałówka, mieli obowiązek sprzedać ją do sowchozu. Podatki były różnorodne. Płaciło się je od mieszkania, zarobków, kawalerstwa i do tego część pensji miesięcznej trzeba było oddawać na państwową pożyczkę. Innym podatkiem było oddawanie swojej racji chleba na suchary dla wojska. Jeśli przychodziły jakieś części ubrania do sklepiku, to część z tego trzeba było oddać na potrzeby wojska. Z pozostałych kilkunastu kompletów, wszystko z reguły było przyznawane Rosjanom przez naczelnika. Uprawnienia pracowników na sowchozie były znikome, a obowiązki i ograniczenia raczej poważne. Jednym z zasadniczych ograniczeń

było to, że nikomu nie wolno było opuszczać czasowo czy na stałe rejonu sowchozu. Nawet na krótki wyjazd do innej miejscowości dla załatwienia sprawy lub odwiedzenia krewnych, trzeba było mieć specjalną przepustkę. Natomiast za przekroczenia, specjalnie za kradzież, kary były bardzo wysokie. Jedna Polka za kradzież pokarmu dla świń, czym karmiła swoje dzieci, dostała dwa lata więzienia. Podobna rzecz przytrafiła się wujowi Kuriańskiemu. Ponieważ był z zawodu budowniczym, powierzono mu wybudowanie pieca do ogrzewania w lokalnej świniarni. W czasie zimy, ktoś z rosyjskich pracowników nocnych spowodował pożar. Świniarnia spłonęła i przy tej okazji zginęło kilka świń. Wuja natychmiast oskarżono o niedbałe zbudowanie pieca, a tym samym o spowodowanie pożaru. Specjalny urzędnik NKWD przyjechał do sowchozu celem przeprowadzenia śledztwa. Wszystko wskazywało na to, że oskarżony pójdzie na długie lata do więzienia. Po przesłuchaniu oficer NKWD wziął wuja ze sobą do pojazdu i razem wyjechali w step. Wszyscy Polacy byli przekonani, że Kurjańskiego już nie zobaczą. Po kilku godzinach oficer przywiózł go z powrotem i oddał rodzinie. Tylko kilku zaufanym wuj zwierzył się z tego co miało miejsce w powozie, kiedy razem z enkawudzistą jeździł po stepie. Człowiek ten był polskiego pochodzenia, nazywał się Domański i chciał dowiedzieć się od wuja o warunkach życia w Polsce. W czasie kilkugodzinnej rozmowy chłonął każde zdanie i każde słowo o kraju swoich ojców. Dla niego musiała to być wielka duchowa uczta. Ostatecznym wynikiem tego było to, że wuja uniewinniono od zarzutu ku wielkiemu zadowoleniu rodziny i wszystkich Polaków na posiołku. W czasie swego pobytu u rodziców spotkałem się też z najstarszą generacją jazłowiecką. Pewnego dnia przyszła złożyć mi wizytę moja nauczycielka ze szkoły powszechnej p.Piwo-

warska. Z lat przedwojennych pamiętałem ją jako starszą osobę, chodzącą o lasce. Warunki syberyjskie jeszcze bardziej ją postarzały i wpłynęły na jej stan psychiczny. Starałem się wciągnąć ją w rozmowę, ale z jej strony nie było żadnej reakcji. Nawet nie pamiętała mnie jako swego ucznia, ani też nie przypominała sobie z Jazłowca. Innego dnia przyszedł do mnie Żyd Goldstaub, były właściciel sklepu tytoniowego i legionista z 1-szej wojny światowej. On też bardzo podupadł i też był obojętnie ustosunkowany do życia. Nieco ożywiła go rozmowa o Jazłowcu i wtedy powiedział wiele znaczące zdanie, że chciałby powrócić do Jazłowca, chociażby na pięć minut, aby tam umrzeć. Jednym z lokalnych gości, który co najmniej raz w tygodniu przychodził do rodziców, był stary, wysoki i szczupły Kazak. Matka potrafiła się z nim porozumieć, ale ja rozumiałem go tylko w urywkach. Jak mi mówiono, Kazacy niejednokrotnie udzielali pomocy Polakom. Czasami zapraszali do siebie polskie dzieci i częstowali je szaszłykami z baraniny. Dla wygłodzonej i rosnącej młodzieży była to istotna uczta. Czasami korzystali z tego dwaj młodsi Kuriańscy, Miecio i Lusio, z których żaden nie miał jeszcze wtedy nawet dziesięciu lat.

Niespodziewanie, dnia 8-go lutego przyszła telegraficzna wiadomość, że wszyscy Polacy w wieku poborowym mają się stawić do przeglądu lekarskiego w miejscowości Borodulicha. Z posiołku zebrało się dwunastu kandydatów do poboru. Wyjechaliśmy z sowchozu saniami jeszcze tego samego dnia wieczorem. Podróż nocą po stepie nie należała do wielkiej przyjemności. W ciemnościach pomyliliśmy drogę i straciliśmy dużo czasu nim wyjechaliśmy z powrotem na właściwą trasę. Do Borodulichy dotarliśmy dopiero następnego dnia wieczorem.

Miejscowi Polacy, których była cała kolonia ze tam, przyjęli

nas bardzo serdecznie i gościnnie. Poszczególne rodziny zabrały nas do siebie, dzieląc się z nami mieszkaniem i jedzeniem. Tadzia Swaryczewskiego i mnie zaprosiła do siebie p.Rederowa, żona polskiego pułkownika. W jej domu poznaliśmy jej córkę Zofię oraz jej matkę p.Teliczkową. Mieszkaliśmy u tej rodziny przez całe dwa dni, korzystając z ich wyżywienia, co przy trudnościach zdobycia nawet zasadniczych artykułów było dużym poświęceniem z ich strony. Uczestniczyliśmy też we wspólnym zebraniu polskich wysiedleńców, gdzie przy lwowskich piosenkach i miłej rozmowie spędziliśmy bardzo przyjemny wieczór. Przegląd lekarski wypadł dla nas wszystkich pomyślnie. Mimo owrzodzonych nóg dostałem kategorię "A". Następnego dnia opuściliśmy Baradulichę, żegnani serdecznie przez Lwowiaków i 12-go byliśmy z powrotem we Wtoraja Piatyletka. Mój pobyt u rodziców miał się jednak ku końcowi. Cztery dni później dostałem oficjalne powołanie do wojska. Rodzice chcieli wyjechać ze mną w nadziei, że w innej części Syberii znajdą lepsze warunki egzystencji. Może też byli kierowani przeczuciem, że Polska Armia wkrótce opuści terytorium sowieckie. Dla mnie taka myśl w owym czasie byłaby nierealnym marzeniem. Mając na uwadze to, że są tam usadowieni i jako tako zorganizowani, szczerze odradzałem im tego zamiaru. Ponadto próbując im to wyperswadować kierowałem się lękiem, że w wielu rejonach rosyjskich panował tyfus, co przy braku środków leczniczych i szpitali mogło mieć swój tragiczny efekt.

Wieczorem dnia 16-go lutego, żegnani przez rodzinę i wszystkich Polaków w sowchozie, patriotycznymi piosenkami i szczerymi życzeniami, dziesięciu nas opuściło Wtoraja Piatyletkę. Matka i ojciec całowali mnie setki razy przed odjazdem, roniąc łzy i powtarzając wiele razy "nie zapominaj o nas". Słowa te długo

brzmiały mi w uszach i wielokrotnie później przychodziły mi na myśl. Ojciec i brat odprowadzili mnie do mostku i tam ich pożegnałem. Przy rozstaniu prosiłem, aby uważali na matkę, której stan zdrowia nigdy nie był najlepszy, a w warunkach sowieckich mógł się wybitnie pogorszyć. Podczas ostatniej wymiany słów, ojciec i brat płakali, a ja też z trudem powstrzymywałem się od łez. Kiedy sanie ruszyły odczułem wielką pustkę w sobie i wtedy moim największym życzeniem było to, aby się znowu z nimi zobaczyć.

W Baradulicha znowu zostaliśmy przyjęci serdecznie przez Lwowiaków. Tadzio Swaryczewski i ja , jak poprzednio, zamieszkaliśmy u p.Rederowej. Przed naszym wyjazdem do wojska znowu odbył się lwowski wieczorek, na który złożyły się przemówienia, deklamacje i śpiewy. Stacja kolejowa była jednak odległa o kilkanaście, a może więcej kilometrów. Dlatego, aby się tam dostać dano nam podwody konne. W czasie tej drogi przemarzłem do kości. Przez cały czas szalała burza, zwana "buran", która w ciemnościach nocy przesłoniła wszystko przed nami. Nie wiem jak konie mogły utrzymać kierunek, a kierowcy odnaleźć drogę. Późną nocą dostaliśmy się wreszcie do stacji. Komendant transportu zakupił dla nas bilety i nad ranem wyjechaliśmy w kierunku Ałma Ata. Pociąg był przepełniony pasażerami. Cały czas nowi ludzie przybywali, a prawie nikt nie ubywał. Pierwszą noc Tadzik i ja przestaliśmy w przejściu - o siedzeniu lub położeniu się nie było nawet mowy. Kiedy na którejś stacji wyszło kilku pasażerów dostaliśmy miejsca na górnych półkach, które też liczyły się jako miejsca w wagonie. Zatrzymywaliśmy się na kilku stacjach, gdzie nam wojskowym wydawano ciepłe obiady a raczej zupy z kapusty i kawałek chleba. Dopiero 23-go lutego wieczorem dojechaliśmy do docelowej stacji, Ługowaja.

Oczywiście nikt nas nie witał i nikt się nami nie zajął. Widocznie cała organizacja była w powijakach i każdy z nowo przyjezdnych musiał działać na własną rękę.

Na stacji znalazł się ktoś w polskim mundurze i zaprowadził nas do jakiegoś domu. Całe wnętrze było tak zawalone ludźmi, że nie było mowy o znalezieniu dla nas miejsca. Gdzieś na uboczu znaleźliśmy stóg siana i tam przespaliśmy naszą pierwszą noc w Ługowaja. W tych okolicach był to już początek wiosny, powietrze było wilgotne, a drogi pokryte błotem, ale było już dostatecznie ciepło, aby przespać się na świeżym powietrzu.

Przyjęcie do wojska było prostą procedurą, ale to nie było równoznaczne z otrzymaniem munduru i przydziałem do jakiegoś oddziału.

Wciąż musieliśmy mieszkać prywatnie, aż do czasu umundurowania. Tadzik wystarał się o mieszkanie u jakiegoś Rosjanina i tam przespaliśmy kilka nocy. Pierwszego dnia, stojąc przy kuchni, spotkałem się ze swoim młodszym kolegą z gimnazjum buczackiego, Iwachowem. On, pełniąc wtedy funkcję kucharza, dał mi dodatkową porcję zupy. Po kilku dniach kazano nam przygotować się do umundurowania. Wpierw musieliśmy przejść absolutnie konieczny proces kąpieli i odwszenia naszych osobistych ubrań. Tadzik załatwił to szybciej i wcześniej dostał swój polski mundur i równocześnie przydział do jednego z pułków.

Swój mundur i przydział do 28-go Pułku Piechoty, 10-tej Dywizji Piechoty dostałem 28-go lutego. Po dwóch latach znowu wdziałem polski mundur i znowu stałem się polskim żołnierzem w małej randze podchorążego. W Ługowaja spotkałem wielu ze swoich dawnych znajomych. Pierwszym z nich był Rysiek Łopacki, który dostał przydział do 27-go pułku. W tym samym oddziele był Inglot, kolega z podchorążówki tarnopolskiej oraz pchor Mahorowski.

W drużynie ostatniej był Rysiek, który czuł się tam nie najlepiej . Po mojej rozmowie z Mahorowskim, jego samopoczucie w tej drużynie wybitnie się polepszyło. Również spotkałem się z Makowskim, który był porucznikiem w pułku artylerii. Podałem mu adres jego żony, który natychmiast wykorzystał.

Umundurowanie, które otrzymaliśmy było typu angielskiego, co w porównaniu z rosyjskim było o niebo lepsze. Wełniany mundur i płaszcz, ciepła bielizna, grube wełniane skarpetki i solidne skórzane buty to był dla nas luksus. Taki mundur nosiło się z dumą, tym bardziej, że łączyło się z tym polskie imię. Życzyliśmy sobie, aby żywność i broń były też pochodzenia angielskiego, ale w danym czasie mogło to być tylko marzeniem. Zaraz naszyłem swoje podchorążackie naszywki i czułem się jak prawdziwy polski wojak.

Przydzielono mnie do czwartej kompanii, której dowódcą był starszy człowiek, rezerwista, bardzo zniszczony więzieniem i łagrami, znany nam jako kpt. Zieliński. Początkowo byłem przydzielony do jednej z drużyn, ale po kilku dniach szef kompanii, st.sierż. Snarski wziął mnie do kancelarii. Ludzi było wprawdzie wiele, lecz tych, którzy pamiętali rutynę wojskową było bardzo mało. Jako młody podchorąży z ostatniej szkoły przed wojną, zachowałem w swojej pamięci więcej wiadomości od innych, dlatego moje usługi były pożądane.

Mieszkaliśmy w namiotach 4 x 4 metry po kilkunastu w każdym. Zasadniczo sam namiot stanowił tylko dach naszego pomieszczenia. Część mieszkalna była wykopana w ziemi na głębokość jednego metra. Srodkiem przebiegał rów, a po bokach były niejako przyzby przykryte słomą, które służyły nam jako prycze. Tak długo jak ziemia była zamarznięta, mieszkanie w takim pomieszczeniu było znośne. Kiedy zaczęły się roztopy, co miało miejsce

tuż po moim przybyciu, sytuacja wyglądała tragicznie. Każde pomieszczenie zamieniało się w jeziorko. Aby przeciwdziałać temu, codziennie wyznaczano dyżurnego, który dniem i nocą czerpał wodę. Nawet to nie bardzo pomagało. Ziemia była zawsze wilgotna, co przenikało do słomy i koców.

My młodzi i stosunkowo zdrowi mogliśmy to jako tako znieść, ale dla ludzi chorych i zniszczonych sowiecką poniewierką sytuacja była istotnie tragiczna. Jedyny szpital w miejscowości był już przepełniony chorymi, głównie na tyfus, z tego względu wielu chorych leżało po namiotach i gniło na mokrej słomie. Widok ich przypominał mi dochodiagów z łagrów, którym się współczuło, ale dla których niczego nie można było zrobić. W naszym namiocie był jeden taki człowiek. Ile razy wchodziłem do namiotu widziałem go zwiniętego w kłębek na mokrej słomie, jak gdyby czekającego na swój koniec. Być może, że ostatecznie zabrano go do szpitala, bo pewnego dnia znikł z namiotu.

W kancelarii nie było lepiej. Woda podchodziła dość wysoko i musiałem trzymać nogi na podniesieniu, aby nie moknąć i nie niszczyć butów. W owym czasie urządzono kurs dla oficerów i podchorążych dla odświeżenia wojskowych wiadomości. Szef kompanii wówczas zadecydował, że ja jako podchorąży powinienem dowodzić drużyną, a nie siedzieć w kancelarii. Dostałem więc piątą drużynę w kompanii, mając dwóch plutonowych i kilku kaprali jako swoich podkomendnych. Innych stopni w drużynie było stosunkowo niewiele.

Do rodziców pisałem codziennie, ale nie otrzymałem pocztą żadnej odpowiedzi od nich. Natomiast Tadzik Swaryczewski otrzymał kilka listów od żony, mimo że ona nie miała wiadomości od niego. W tym działaniu sowieckiej poczty nie było absolutnie logiki. Z jej listów dowiedziałem się, że rodzice otrzymali wiadomość

ode mnie. To było dla mnie wielkim pocieszeniem. Kilka tygodni po nas przyjechała następna grupa polskich rekrutów z sowchozu. Przez jednego z nich otrzymałem list od matki. Wśród nich przyjechał starszy Swaryczewski, którego nie przyjęto do wojska. Przez niego przekazałem pieniądze, które otrzymałem ze sprzedaży swojej rosyjskiej garderoby.

W ostatnim tygodniu marca kazano nam robić spisy wszystkich żołnierzy w języku polskim i rosyjskim. Równocześnie rozeszła się pogłoska, że mają nas przewieźć do Persji. Natychmiast napisałem list do rodziców, aby jak najszybciej do mnie przyjeżdżali. Gdybym był wiedział o wyjeździe por.Makowskiego do sowchozu, byłbym przekazał tę wiadomość przez niego. On, niestety, zachował tę sprawę w tajemnicy. List natomiast był wolnym środkiem komunikacji, a w istniejącej sytuacji absolutnie za wolnym, aby oni przyjechali na czas. Poza tym od naszych przełożonych mieliśmy zapewnienie, że ostatecznie wszyscy Polacy zostaną wyewakułowani ze Związku Sowieckiego. Liczyłem więc na to, że wcześniej czy później na moją rodzinę też przyjdzie kolejka na wyjazd. W naszym oddziele jedynie ci, którzy mieli rodziny w pobliżu Ługowaja zdążyli ściągnąć je do siebie na czas.

Nasz wyjazd był zorganizowany w pośpiechu, ponieważ byliśmy pierwszą jednostką, która miała być wyewakuowana ze Związku Sowieckiego. Danie nam pierwszeństwa było uzasadnione tym, że jako ci zwolnieni w ostatniej fazie z łagrów i więzień i najbardziej zniszczeni fizycznie, potrzebowaliśmy bardziej niż inne jednostki polepszenia warunków życia. Jeszcze nie oswoiliśmy się z tą niezwykłą wiadomością, kiedy przyszedł rozkaz do wyjazdu. Dnia 25-go marca załadowano nas do wagonów towarowych i tego samego dnia opuściliśmy miejscowość Ługowaja.

Znowu podróżowaliśmy w czerwonych towarowych wagonach, ale tym

razem bez zakratowanych okien i bez strażników sprawujących nadzór nad nami. Ponadto nie było ani tłoku, ani braku wody i jedzenia. Codziennie zatrzymywaliśmy się na większych stacjach, gdzie wydawano nam ciepłą strawę, chleb i konserwy. Oczywiście podróż ta była dla nas też wycieczką krajoznawczą. Patrząc przez okienko podziwiałem widoki kraju Kirgizów, Tadeków i innych mongolskich narodów, których dalecy przodkowie byli postrachem całego cywilizowanego świata. Odległe góry wyrastające nagle na skraju rozległych równin miały swój urok i piękno, miasta przez które przejeżdżaliśmy miały swój specyficzny mongolski charakter, a słoneczna pogoda w przeciwieństwie do zimnej i ponurej syberyjskiej północy łączyła wszystko wspólnym mianem przyjemnego krajobrazu. Podróż do Krasnowodska trwała całe trzy dni. Ostatniego dnia marca byliśmy już na miejscu.

W porcie czekał na nastowarowy okręt, a raczej cysterna, o dziwnej nazwie "Propintern". Załadowanie odbyło się szybko i bez żadnych problemów i około południa opuściliśmy sowiecki ląd. Morze Kaspijskie było raczej niespokojne, ale mimo ciągłego kołysania i tłoku na pokładzie, w naszych sercach panowała radość. Jedynie myśl o rodzicach nie dawała mi spokoju. Robiłem sobie wyrzuty, że odradziłem im wyjazd ze mną. Miałem jednak nadzieję, że do mnie jednak dołączą. Przed wyjazdem z Krasnowodska napisałem do nich list, do którego włożyłem wszystkie ruble jakie posiadałem.

Patrząc na oddalający się ląd miałem w sobie to miłe uczucie, że za sobą pozostawiamy więzienia, łagry, nędzę, biedę, zimno tajgi i tundry, ciężką pracę w kopalniach i lasach i ogólnie cały system nowoczesnego niewolnictwa. Pozostawiliśmy też poza sobą niewygody "sowieckiej wolności" jak namioty wypełnione

wodą, szpitale zapełnione chorymi, zabójczą epidemię tyfusu i tragedię tych, którzy nawet z wolną kartą w ręku umierali z nędzy i głodu na obcej ziemi. Poza nami również pozostali nasi najbliżsi, ale w związku ze zmianą sytuacji politycznej nasze nadzieje też pozostały z nimi.

Przed nami zaś był inny świat - wprawdzie nieznany, ale na pewno lepszy. Przed nami było też inne życie, może wymagające od nas poświęcenia, ale posiadające wyższe cele i idee, niż marna śmierć w sybiryjskich łagrach. Przed nami też otwierała się droga do wolnej Polski, może nie taka jaką mieliśmy kiedyś na myśli, ale zdecydowanie prowadząca do rodzinnego kraju.

J A Z L O W I E C

O k u p a c j a

n i e m i e c k o - u k r a i n s k a

1 9 4 1 - 1 9 4 5

Opracowal

Stanislaw J. Kowalski

5531 W. Oakton Street

Morton Grove, Il. 60053

PODOLSKIE MIASTO JAZŁOWIEC, pow. BUCZACZ, I JEGO OKOLICE

POD OKUPACJA NIEMIECKO - UKRAINSKA W CZASIE 2giej WOJNY SWIATOWEJ.

Opracowanie, jak poniżej, zostało napisane w oparciu o sprawozdania Stefanii Janickiej, zam. w Nowej Soli, oraz Franciszka Kowalskiego i jego żony Czesławy, zam. W gryfowie Slaskiem.

Anty-polska działalność Ukraińców, już praktykowana za czasów okupacji sowieckiej, 1939-1941, nabrała na nasileniu z chwilą wkroczenia wojsk niemieckich na wschodnie tereny Polski. Po wycofaniu się ostatnich uzbrojonych oddziałów sowieckich /27my czerwca, 1941/ lokalni Ukraińcy natychmiast przejęli rządy w mieście, nawet bez uzgodnienia tego z władzami niemieckimi, urzędującymi w Buczaczu. W samych początkach niemiecka kontrola prowincjonalnych miejscowości powiatu buczackiego była raczej nominalna. Dlatego w Jazłowcu Ukraińcy uważali dię za panów sytuacji. Faktycznie w tym czasie oni mieli wolną rękę we wszystkich sprawach, a zwłaszcza tych, które dotyczyły ludności polskiej i żydowskiej.

Niemiecki "blitzkrieg" w kierunku wschodu całkowicie ominął Jazłowiec. Najbliższe jednostki szybko posuwającej się armii niemieckiej przeszły przez Buczacz i Czortków w kierunku granicy sowieckiej. Jedyna akcja militarna miała miejsce w okolicy Szepetówki /Sowiecka Ukraina/, gdzie oddziały sowieckie zostały okrążone i wzięte do niewoli. Jedna grupa z tych oddziałów w sile 200 do 300 żołnierzy była prowadzona pod niemiecką eskortą przez Jazłowiec, maszerując szosą z Tłustego na Buczacz.

Ukraińcy natychmiast przystąpili do organizowania lokalnej administracji. Pierszą czynnością w tym kierunku było stworzenie zarządu gminnego w mieście, którego głową obrano Emila Kołodzieja. Następnie zorganizowano policję, nazwaną "Siczą Ukraińską", pod komendą Emila Dublańskiego. Cerkiew ukraińska oraz jej lokalny proboszcz Snihurowicz natychmiast udzielili temu ruchowi swego moralnego i politycznego poparcia.

Zgodnie z instrukcjami, wydanymi przez władze Kościoła grecko-katolickiego we Lwowie, lokalne władze kościelne i religijne przystąpiły do wzniesienia t.zw. mogiły /kurhanu/ z wysokim krzyżem u szczytu. W jazłowcu taką mogiłę wzniesiono na Szańcach powyżej dawnej kapliczki 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. W innych miejscowościach /pod Czortkowem/ użyto ciała pomordowanych Polaków jako fundament. Mogiły te służyły jako symbol wolności nowo-powstałej Ukrainy.

Szczytowym punktem przejawu tego szowinistycznego nacjonalizmu była uroczystość religijna w cerkwi sw. Mikołaja na Browarach, gdzie przy przygotowanym krzyżu sam proboszcz odprawił modły. Następnie procesja z krzyżem na przodzie przeszła przez miasto do rynku, gdzie po wielu patriotycznych mowach nastąpiło jego uroczyste poświęcenie. W końcowej fazie krzyż został przeniesiony na Szańce i wkopany w mogiłę. Następnie po modłach obecni przysięgli walczyć o wolną Ukrainę. Podczas trwania tego rytuału obecni nieustannie wołali "Smert Lacham" oraz "Smert Żydo-komunie". To samo w sobie wskazywało, że głównym celem ukraińskiego szowinizmu staną się dwie grupy etniczne, które razem z nimi zamieszkiwały rejone wschodniej Polski razem z nimi.

Po tej uroczystości ukrainska policja niezwłocznie swoją prześladowczą akcję. Natychmiast aresztowano wielu Polaków i osadzono ich w zarekwirowanej części klasztoru Niepokalanek celem przeprowadzenia śledztwa odnośnie ich polskiej działalności. Metodami do wymuszenia przyznania sie do "zakazanej" działalności było bicie oskarżonych do krwi i nieprzytomności. W wielu wypadkach stosowany szykany tortur, zwłaszcza do tych, których starano się przerobić na Ukraińców. Częściowa lista aresztowanych Polaków zawierała następujące nazwiska:

- Kazimierz Szablowski
- Swidrak
- Kazimierz Kuliczkowski
- Józef Grzesiowski
- Bronisław Kulesza - człowiek ten został ciężko ranny w czasie próby ucieczki z aresztu. Kiedy leżał śmiertelnie ranny na ziemi ukraińscy

policjanci kopali go butami i bili nahajami. W drodze do szpitala Polak ten zmarł naskutek odniesionej rany.

- Stefania Koryzna
- Stanisława Skibińska

Obie młode kobiety były niemiłosiernie bite i maltretowane w takim samym stopniu jak mężczyćni.

Jeden z Polaków, Józef Grzesiowski, przekradł się do pobliskiej miejscowości Czernelica, gdzie stacjonował wągierski oddział, i prosił ich o pomoc dla więzionych Polaków. Węgrzy niezwłocznie przybyli do Jazłowca i interweniowali na rzecz Polaków. Uwięzionych zwolniono z aresztu a ukraińską milicje rozbrojono. Pozbawienie ich broni tylko czasowo wpłynęło na wstrzymanie prześladowań. Również tylko czasowo oni byli pozbawieni broni. Ich niemieccy sojusznicy w Buczaczu niedługo potem ponownie zaopatrzyli ich w karabiny i pistolety. Jednak świadomość tego, że Polacy mogą liczyć na pomoc węgierską powstrzymała Ukraińców do stosowania dalszych szykan wobec ludności polskiej.

Cała wściekłość ukraińskiego szowinizmu zwróciła się wtedy przeciwko Żydom. W tym wypadku, nie będąc niczym krępowani, brutalność oprawców znalazła pełne ujście ich sadystycznym inklinacjom. Ukraiński terror w stosunku do Żydów zaczął się od zamordowania lokalnego fryzjera, Josia Keilera. Żyda tego zastrzelono na moście prowadzącym do polskiego kościoła a ciało wrzucono do strumyka. Nocą jego synowie i współwyznawcy pochowali jego ciało na żydowskim cmentarzu.

Równocześnie aresztowano około 20 młodych Żydów i osadzono w prowizorycznym areszcie w klasztorze, opróżnionym z Polaków. Oni również zostali poddani niemiłosiernemu biciu i katowaniu celem wymuszenia na nich przyznania się do komunistycznej działalności. Po kilku dniach maltretowania powiązano im ręce drutami kolczastymi i poprowadzono w kierunku wioski Leszczańce nad rzeką Strypą. Tam ich rozstrzelano a ciała wrzucono do rzeki. Z tej grupy zdołał się uratować jeden Żyd, którego przezywano Kozakiem. On wyrwał się z rąk oprawców, skoczył do wody i dzięki temu ocalał.

Grupa żydowska, będąc najbardziej narażona na prześladowania ze strony Ukraińców uciekli się do stosowania biernego oporu, ograniczając handel, kryjąc się po domach polskich i kryjówkach oraz zakupując i gromadząc żywność. Niektorzy wysprzedawali za bezcen wszystko co mieli i przenosili się do większych miejscowości. W mieście stworzono Radę Żydowską "Judenraten" na wzór ghetta w innych miastach, która była odpowiedzialna za nadzór nad ludnością żydowską. Władze niemieckie z Buczacza i lokalne władze ukraińskie wykorzystywały tą żydowską organizacje do zbierania podatków i okupów. Jedną z powtarzających się operacji przeprowadzanych przez niemieckie bandy SS-manów było wyłudzanie kosztowności w zamian za krótką i pozorną wolność. Co pewien czas SS-mani wpadali w ciężarówkach do miasta celem przeprowadzania takich operacji.

Polacy również byli zobowiązani do ponoszenia ciężarów na rzecz Niemców. Zasadniczym obciążeniem były kontyngenty zbożowe. Podatki tego rodzaju, przekraczające możliwości polskich rolników przyczyniły się do ogólnego braku żywności i ostatecznego głodu. Brak żywności dawał się odczuwać w innych rejonach okupowanych przez Niemców. Na Podolu zjawiali się wędrujący Łemkowie w poszukiwaniu za zbożem. Ich towarem wymiennym była sól, której brak dawał się wybitnie odczuwać w rejonach podolskich.

W okresie późnego lata, 1941 roku, Jazłowiec i jego okolice stały sie miejscem egzekucji i zagłady dla ludności żydowskiej z Węgier. Dlaczego z Węgier?... Na to mogą dać odpowiedź tylki ci, którzy kierowali tą operacją ludobójstwa - a więc Niemcy, Ukraińcy i Węgrzy. Z jakich rejonów Węgier oni pochodzili tego lokalna polska ludność nie mogła ustalić. Ich węgierskie pochodzenia natomiast nie ulegało kwestii. Należy przypuszczać, że władze węgierskie i niemieckie obrały Jazłowiec jako jako punkt likwidacji Żydów dla jednej jedynej przyczyny, że tu znajdowali się ukraińscy kaci, zawsze chętni do przeprowadzania takich operacji.

Raczej skąpe informacje nie pozwalają na pełne odtworzenie tragedii tych

ludzi. Według lokalnych pogłosek niektórzy byli przewożeni ciężarówkami przez most na Dniestrze w Niżniowie, inni natomiast byli zmuszenia do przeprawiania się wpław. Ostatecznie kierowano ich do Jazłowca, gdzie na dziedzińcu między klasztorem Niepokalanek i ruinami zamku poddawano ich ścisłej rewizji, pozbawiano kosztowności i osobistych artykułów jak ubrania. Operacja ta była przeprowadzana prze ukraińskich milicjantów pod nadzorem niemieckich SS-manów. Rewizje i konfiskaty tego rodzaju stały się dla ukraińskich oprawców ora wpływowych Ukraińców w mieście źródłem zaoptrywania sie w artykuły odzieżowe. Często widziano lokalnych Ukraińców niosących z klasztoru walizy wypakowane artykułami zrabowanymi od Żydów.

Miejscem ostatecznej lkwidacji węgierskich Żydów było pobliskie jezioro na Pożeżu, leżące na drodze w kierunku do miejscowości Bazar. Poszczególne grupy ogołocone z wszystkiego poza nieodzownym ubraniem prowadzono przez podmiejską wieś Browary do wyżej wymienionego jeziora. W czasie takich marszów bicie kolbami i maltertowanie tych ludzi było częstym zjawiskiem. Nad jeziorem rozstrzeliwano ich masowo a ciała wrzucano do jeziora.

Zdarzały się wypadki, że naskutek braku miejsca na dzidzińcu klasztornym, Żydów węgierskich przywożono ciężarówkami na rynek. W takich wypadkach procedura rewizji i konfiskata własności odbywała się na widoku publicznym. Dalsza procedura ich likwidacji następowała według ustalonego trybu - marsz w kierunku jeziora, strzelanie i topienie ciał w wodzie. Czasami poszczególne grupy prowadzono do lasów leszczanieckich i zaleszczyckich, gdzie przeprowadzano egzekucję a ciała pozostawanio dzikim zwierzętom na pożarcie.

W tym czasie Żydzi jazłowieccy jeszcze nie byli poddani systemoei likwidacji. Oni starali się pomagać swoim współwyznawcom przez dawanie im żywności oraz ostrzeganie o sposobie i miejscu zagłady. Takie kontakty były surowo zabronione. Ktokolwiek został złapany na takim przestępstwie był na miejscu bity przez ukraińskich milicjantów i z reguły dołączony do grupy skazańców.

Jedna z węgierskich grup, ostrzeżona przez lokalnych Żydów, odmówiła pójścia w nakazaną stronę jeziora pod Bazarem. Wtedy na zakręcie przy moście prowadzącym

do polskiego kościoła rozegrała scena dantejskiego piekła. Żydów bito w niesamowity sposób kolbami, pałkami i nahajami, zarówno mężczyzn jak kobiety i dzieci. Nawet niektórym Ukraińcom widok ten wydawał się zbyt brutalnym i nieludzkim. Niejaka Sawczukowa widząc to krzyczała do oprawców, życząc im aby ich wzięła cholera. Ostatecznie grupę tą poprowadzono w kierunku ukraińskiej wioski Leszczance, gdzie ofiary rozstrzeliwano po lesie i nad rzeką.

Takich grup węgierskich Żydów przywożono po dwie lub trzy tygodniowo przez trzy tygodnie z rzędu. Grupy nie były równe co do wielkości, wobec czego trudno jest ustalić ogólną ilość ofiar. Jedynym wskaźnikiem wielkości tej zbrodni było chełpienie się oprawców swoimi osiągnięciami. Jeden z nich, Konowalczuk, przyznawał sobie cyfrę 1500 zamordowanych Żydów, a inny Bialous szczycił się rozstrzelaniem 800 osób. Biorąc pod uwagę, że w tym ludobójstwie brali również udział pomniejsi oprawcy ilość żydowskich ofiar można ocenić ogólnie na 3000 do 4000 osób.

Przed upływem 1942 roku początkowy twór policyjny "Sicz Ukraińska" został rozwiązany przez władze niemieckie. W miejsce tego stworzono inny system policyjny, którego komendantem mianowano średniego wieku Ukraińca, Batiuka. W ocenie Polaków, ktprzy przetrwali ten okres, on należał do bardziej tolerancyjnych urzędników ukraińskiego szaleństwa - przynajmniej wobec Polaków. Reszta policji składała się z dawnych milicjantów wśród których dominowały dwa wyzej wymienione nazwiska Konowalczuka i Biełousa.

Jesienią tego roku Ukraińcy przystąpili ponownie do aresztowania Polaków na szerszą skalę. Tym razem wszystkich aresztowanych przewieziono do więzienia w Buczaczu, gdzie trzymano ich przez trzy miesiące. Podczas pobytu w tym więzieniu wszyscy z nich byli poddani brutalnemu biciu i nawet torturom. Szykanowanie tych Polaków było metodą wymuszanie na nich przyznawania się do nieokreślonej działalności polskiej. Trudno było mówić wówczas o Armii Krajowej czy partyzantce, ponieważ taki ruch jeszcze wtedy nie istniał w Jazłowcu. Ostatecznie Niemcy uznali tą ukraińską maskaradę za bezsensowną szopkę i kazali zwolnić wszystkich aresztowanych. Akcją tą objęte były następujące osoby , których tylko częściowa

zachowała się w ludzkiej pamięci:

Obruśniak Kazimierz, Obruśniak Bronisława, Kowalska Franciszka, Podolska Jadwiga, Bugno Zofia, Bugno Michał, Niewieściuk Leontyna, Niewieściuk Helena, Podolski Edward, Krajewski Kazimierz, Kurianski Ignacy, Grzesiowki Władysław i wielu innych.

Tego rodzaju szykany były typowym przykładem negatywnego ustosunkowania się elity ukraińskiej do polskiej ludności, absolutnie niewinnej i bezbronnej. Za tym niewątplwie kryła się wrodzona nienawiść, datująca się wstecz do czasów wczesno-słowiańskich, kiedy hasło "Smert Lacham" i "Na Pohybel Lacham" znalazło swój początek. Hasło to następnie odgrzebane przez prawosławnych czerńców /mnichów/ i unickich popów, a szczególnie przez zakon Bazylianów, stało się wytyczną politycznego kierunku wobec polskiej ludności. Z chwilą wejścia Niemców na tereny polskich Kresów nienawiść ta znalazła swoje ujście w makabrycznych mordach dokonanych na Polakach. Kierunek ten był absolutnie zgodny z niemiecką polityką wyniszczania ludności polskiej. Dowodem tego była wypowiedź niemieckiego gubernatora Polski, Franka, który wyraził się, że 600,000 ukraińskich nacjonalistów bez trudu rozprawi się z kresowymi Polakami.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w pobliskim Potoku Złotym był stacjonowany wojskowy garnizon węgierski. Tak jak na samym początku ukraińskiego terroru Węgrzy przyszli z pomocą Polakom tak w następnych miesiącach ich oddziały interweniowały w wypadkach ukraińskiej akcji przeciwko ludności polskiej w Jazłowcu. Każda wizyta Węgrów konczyła się rozbrajaniem ukraińskiej policji, którą w kilka dni potem Niemcy z Buczacza uzbrajali ponownie.

Obecność oddziałów węgierskich miała jeszcze inną dodatnią stronę dla Polaków. Dzięki bliskim kontaktom, a przedewszystkim dzięki zrozumieniu polskiej sytuacji, powstała możliwość zdobycia broni dla samo-obrony. To przychylne stanowisko Węgrów dało początki akcji zbrojenia się Polaków celem przeciwdziałania napadom band ukraińskich, które dotychczas pozostawiły Jazłowiec w spokoju.

Zagrożenie Polaków w Jazłowcu było dwu-kierunkowe - wewnętrzne i zewnętrzne. Trzeba się było liczyć z tym, że lokalni nacjonaliści ukraińscy pod kierownictwem takich szowinistów jak Bigierscy, Tylowicze, Danysze i Makarońscy podejmą akcję przeciwko swoim polskim sąsiadom. Drugie niebezpieczeństwo zagrażało od strony sąsiednich wiosek ukraińskich jak Rusiłów, Leszczańce i Soroki. Te ostatnie, szczute przez ukraiński kler, mogli każdej nocy urządzić napad na Jazłowiec z zamiarem mordowania i rabowania polskiego mienia.

Taka ewentualność niemal zaistniała jesienią 1942 roku. Pewnego dnia ciemny lud ukraiński z tychże wiosek zaczął gromadzić się na rynku w Jazłowcu z widłami i siekierami w ręku oraz z torbami na plecach. Przez cały dzień aż do późnej nocy słychać było nieustanne okrzyki "Smert Lacham". Do spodziewanego napadu na polskie rodziny jednak nie doszło. Bardziej umiarkowani lokalni Ukraińcy zdołali powstrzymać motłoch od ich morderczych zamiarów.

Jedno i drugie zagrożenie stworzyło konieczność zdobywania broni przez Polaków. Broń palna niestety nie była łatwo osiągalna. Jedynym środkiem nabywczym była żywność, której po złych urodzajach naskutek silnych mrozów i po przymusowych kontyngentach brakło nawet najbardziej zamożnym. W zakresie obrony dużą pomocą dla Polaków w Jazłowcu była czysto polska wioska Duliby. Wśród nich myśl samo-obrony powstała od początków niemieckiej okupacji. Zorganizowana grupa młodych ludzi stanowiła trzon obrony wioski i okolicy. Broń prawdopodobnie była pochodzenia sowieckiego a jedyny działko jakie posiadali było pozostawione tam przez Polaków uciekających zagranice w 1939 roku. Bliskie kontakty z tą grupą dały możliwość Polakom jazłowieckim zapoznania się z użyciem broni i metodami walki obronnej.

Wewnętrzne zagrożenie Polaków zmniejszyło się wybitnie, kiedy późną jesienią 1942 roku wojskowy garnizon węgierski ulokował się w klasztorze, w części budynków uprzednio zajmowanych przez ukraińską policję. Policja z konieczności przeniosła się do miasta, zajmując dawny budynek Żyda Reinischa. W tym samym budynków też mieścił się lokalny areszt w którym przetrzymywano Polaków schwytanych w czasie łapanek z przeznaczeniem na przymusową pracę w Niemczech.

Akcja łapanek i wywozu na roboty do Niemiec była kierowana przez Niemca Rotha, urzędującego w Buczaczu. Dostarczaniem "żywego towaru" zajmowała się ukraińska policja. Łapanki odbywały się niespodziewanie nocą lub drogą podstępu. Pewnego dnia ogłoszono sprzedaż obuwia w Nowosiółce Jazłowieckiej. Wielu Polaków udało się tam z myślą kupienia tak koniecznego a tak rzadkiego wówczas artykułu odzieżowego. Wszyscy z nich zostali przytrzymani przez ukraińską policję i odstawieni do Buczacza. W pierwszej łapance dostawiono Niemcom około 15 osób, wśród nich Jadwigę Rola, Edwarda Podolskiego, Jana Kuliczkowskiego, Adama Kuliczkowskiego i Adama Wróbla. Z grupy tej 10 osób uciekło w czasie transportu i wróciło do domu. Jadwigę Rola jej wuj Grzesiowski w ostatniej chwili wyciągnął przez okno z wagonu towarowego. W czasie innej łapanki Franciszek Kowalski, przetrzymany w lokalnym areszcie, zsunął się po rynnie z drugiego piętra i uciekł w pole. Policja ukraińska goniła za nim i strzelała, ale nie nie zdołała go schwytać.

Podczas, gdy sytuacja Polaków była trudna i wymagała stałej czujności, położenie ludności żydowskiej było jak najbardziej tragiczne. Brak myśli czynnej samo-obrony przyczynił się do tego, że stali się biernym materiałem ludzkim do prześladowania i wykorzystywania jako siły roboczej. Ich opozycja ograniczała sie wyłącznie do podporządkowania się ich ukraińskim i niemieckim prześladowcom w nadzieji, że ostatecznie przetrwają ich szykany. To absolutne podporządkowanie się likalnym władzom pozwolało Ukraińcom na wykorzystanie ich jako siły roboczej przed ich likwidacją w pracach na polu oraz przy robotach miejskich. Większość z nich szukała schronirnia w kryjówkach, a przedewszystkim w lasach, starając się utrzymać przy życiu drogą cichego handlu.

W maju 1942 roku naskutek urwania chmury na jazłowieckich polach mały strumyk, Jazłowczyk, wezbrał i zalał srodkową część miasta, wyrządzając wiele szkód i zniszczeń. Jednym z takich zniszczeń było zniesienie muru podtrzymującego drogę do kościoła. Do pracy nad jej naprawieniem zmobilizowano ludność żydowską. Jako materiał do naprawy użyto nagrobki z cmentarza żydowskiego. Żydzi pod nadzorem

policji ukraińskiej znosili z cmentarza nagrobki swoich przodków u układali z nich ścianę. Jeśli w dalekiej przyszłości potomność odgrzebie te płyty, to pismo żydowskie może być dla nich zagadką starej i nieznanej kultury. Może nawet znajdzie się tam płyta przodków słynnego pisarza żydowskiego Samuela Jozefa Agnona /Czaczkies/, który urodził się w Jazłowcu, wychował się w Buczaczu i doczekał się światowej sławy w Izraelu.

Rozwiązanie "problemu" żydowskiego w Jazłowcu przybrało wyraźny kierunek z chwilą zorganizowania ghetta w Buczaczu w marcu, 1942 roku. Wtedy stało się widocznym, że wcześniej czy później Żydzi jazłowieccy zostaną tam skierowani. W obliczu tej groźby bogatsi Żydzi rozpoczęli poszukiwania za bezpiecznymi miejscami do przechowania siebie i swoich rodzin. Rolę pośredników najczęściej odgrywali Polacy, robiąc to z dobrej woli albo za wynagrodzeniem. Wśród polskiej ludności powstał wówczas prąd utrzymywania Żydów, przeważnie za wynagrodzeniem. Prawdopodobnie nikt nie liczył się z tym, że pomoc Żydom będzie kwestią długich lat wojny.

Przepisy dotyczące przechowania Żydów i związane z tym kary były już wcześniej ogłoszone przez władze niemieckie i ukraińskie. Za tego rodzju przekroczenie prawo przewidywało karę śmierci dla kryjących się Żydów i dla ich dobroczyńców Ponieważ pomoc tego rodzaju była utrzymywana w tajemnicy dzisiaj trudno jest odgrzebać nazwiska wszystkich Polaków, którzy udzielali pomocy Żydom na krótszą lub dłuższą metę. Ponadto późniejsza ewakuacja polskiej ludności na zachodnie tereny polskie jeszcze bardziej utrudniło możliwości odszukania takich osób.

Jednym z najbardziej czynnych pośredników był Jan Szablowski. Mimo wielu trudności, związanych z późniejszą akcją wojenną w rejonie Jazłowca zdołał uchować młodą dziewczynę żydowską z którą później wstąpił w związki małżeńskie. Inny, Stanisław Kulesza, człowiek chorowity, wybudował schron na polu, gdzie przechowywał rodzinę żydowską. Franciszek pozwalał Żydom na używanie piwnicy w ogrodzie jako schroniska w czasie łapanek. Jego stryj Stanisław przez dłuższy czas przechowywał rodzinę żydowskich aptekarzy ze Stanisławowa. Około dziesięciu młodych

i dzieci, kryjących się w lesie przylegającym do sadu Leona i Emilii Roli często korzystało z ich doraźnej pomocy w formie żywności. Duża ilość Żydów, ukrywających się po polach i lasach, nocą podkradała się do polskich domów z prośbą o pomoc lub propozycją wymiany towaru na żywność.

Ostateczna likwidacja żydowskiej grupy nastąpiła jesienią 1942 roku. Jej odkomenderowanie do buczackiego ghetta było poprzedzone przez ustalony już process wyłudzania kosztowności przez Niemców od ich przyszłych ofiar. SS-mani z Buczacza wpadali kilkakrotnie na ciężarówkach do Jazłwca i grozili Żydom wywiezieniem do ghetta chyba że się im opłacą. Po każdej opłacie pozostawiano ich na jakiś czas w spokoju. W jednym z ostatnich napadów kazano Żydom zlikwidować swoją ruchomą własność i następnie wyprowadzono ich za cmentarz w kierunku Buczacza. Tym razem Żydzi zebrali wsrod siebie kwotę żądanego okupu i w rezultacie powrócili raz jeszcze do swoich domów, tym razem kompletnie pustych. Kilka dni potem większość z nich została przeprowadzona pod strażą ukraińską do buczackiego ghetta. Tam podzielili los swoich buczackich współwyznawców. Jedni zostali wysłani na prace i do hitlerowskich obozów pracy. Inni zostali rozstrzelani na Fedorze i pogrzebani we wspólnym grobie.

Nieliczni Żydzi, jacy pozostali na miejscu w kryjówkach, stali się przedmiotem t.zw. polowań urządzanych przez ukraińską policję. W tym mordowaniu nieszczęśliwców najbardziej odznaczyli dwaj oprawcy Konowalczuk i Białous. Mordowanie znalezionych ofiar najczęściej odbywało się doraźnie na oczach miejscowej ludności. Dla oprawców odnalezienie i zamordowanie kryjącej się osoby żydowskiej było źródłem specjalnych dochodów w postaci kosztowności czy pieniędzy znalezionych przy danej osobie.

Polowanie na Żydów odbywało się niemal codziennie od chwili wywiezienia większości do buczackiego ghetta aż do wiosny 1943 roku. Schwytanych rozstrzeliwano na miejscu lub prowadzono na żydowski cmentarz i tam ich mordowano. Cały romiar tego ludobójstwa nie jest znany. W pamięci Polaków zachowały się nazwiska następujących ofiar:

- Rinder Moszko
- Glaser Tylka
- Nurnberg z żoną i córką, których znaleziono w jakiejś kryjówce na Browarach.
- Baruch - cała rodzina, składająca się z 4 osób, została rozstrzelana na ulicy na oczach ludzi idących na niedzielne nabożeństwo.
- Auschnitt, aptekarz wraz z żoną i córką został rozstrzelany nad rzeką Strypą. Druga córka została rozstrzelana na polu przez Białousa, który przy tej okacji wzbogacił się o jej korale.
- Held, najbogatszy Żyd w Jazłowcu, podobno sam oddał się w rece ukraińskiej policji, która zrzuciła go z murów jazłowieckiego zamku.
- Goldstaub, lekarz, wraz z synem został zamordowany w lesie za Księżyną
- Ruchla, stara Żydówka, podobno szanowana przez społeczeństwo żydowskie, została rozstrzelana koło katolickiego cmentarza. Osoba ta na samym początku rządów ukraiński powiedziała do swoich polskich sąsiadów: "oni nami zaczynają chleb, ale wami będą go mieszać".

W takich okolicznościach ukrywanie się Żydów wśród Polaków czy na własną rękę nie było prostą i łatwą sprawą. Ukraińcy wprawdzie nie stanowili większości w mieście, ale będąc pomieszani z Polakami mieli ciągły wgląd w sparwy swoich sąsiadów. Ponadto w małej miejscowości, liczącej około 5000 mieszości prawie wszyscy znali się nawzajem. Dlatego rozpoznawanie osób pochodzenia żydowskiego nie było skomplikowaną rzeczą. Nawet taki incydent jak ukrywanie niemowlęcia żydowskiego przez Teofilię Zimirską /Kołodziej/ szybko doszło do wiadomości policji i zakończyło się śmiercią dziecka. Z tą osobą łączy się inna próba uratowania żydowskiego życia. Na widok płaczącego chłopaka, prowadzonego na rozstrzelanie przez Konowalczuka, kobieta wyrwała go z rąk oprawcy i zabrała go do domu. Mimo jej najlepszych chęci próba ta jak wiele innych zakończyła się tragicznie na żydowskim cmentarzu.

W początkach istnienia ghetta w Buczaczu niektórzy Żydzi poktyjcmo robili wypady do Jazłowca celem nabycia żywności dla siebie i swoich rodzin. Posiadane

przez nich zapasy mydła, skóry i materiałów włókienniczych służyły jako artykuł wymienny. Handel tego rodzaju był często spotykanym zjawiskiem i trudno byłoby przytoczyć nazwiska polskich osób zaangazowanych w tym handlu. Według osiągalnych informacji osobą znaną z utrzymywania takich kontaktów był Józef Grzesiowski. Jego tranzakcje polegały głównie na sprzedawniu mięsa uciekinierom z ghetta.

Pojedynczy Żydzi docierali wzdłuż Strypy aż do polskiej wioski Duliby. Ludność tamtejsza była jednym z większych źródeł zaoptarywania się w żywność. Przez pewien czas utrzymywała się trasa Buczacz-Duliby, która podobno była często używana prze żydowską partyzantkę.

Żydzi jazłowieccy, kryjący się po lasach, korzystali w czasie lata z płodów leśnych i okolicznych pól. Jednym z większych zródeł żywności było pole, należące do SS. Niepokalanek, zwane Kamiennym Garbem. Ten kawał ziemi, otoczony z trzech stron lasem, był z racji swego położenia był najbardziej dostępnym dla ukrywających się Żydów. Zakonnice, wiedząc kto korzysta z płodów ich ziemi, nie robiły z tego żadnych kwestii.

Najbardziej efektywna pomoc, jaką Żydzi otrzymywali, pochodziła od Polaka nazwiskiem Piszcz. Człowiek ten, naturalizowany obywatel Stanów Zjednoczonych, tuż pezed 2gą Wojną Swiatową powrócił do rodzinnego kraju i osiedlił się w Jazłowcu. Za przywiezione dolary zakupił kawał ziemi nad Strypą i na jej wshocdnim /jazłowieckim/ brzegu pobudował sobie skromny ale wygodny dom. W domu tym ieszkała jego rodzina, składająca się z niego z jego żony, syna i kuzynki.

Położenie tego domu na odludziu i w niedalekiej odległości od dwóch ukraińskich wiosek, Rusiłów i Leszczańce, nie było najbezpieczniejszym miejscem w okolicy. Dlatego już od pierwszych dni ukraińskich rządów Piszcz starał się o zabezpieczenie siebie i rodziny przed ewentualnością napadu. Wojenna historia tego człowieka jest typowym przykładem Polaka, żyjącego na Kresach w obliczu ciągłego niebezpieczeństwa. Z jego wojenną działalnością łączy się ściśle istnienie żydowskiej partyzantki, złożonej z niedobitków ich etnicznej grupy. Byli to ludzie młodzi oraz zdolni i chętni o podjęcie walki o życie.

Mysl samo-obrony zrodziła się w nim już jesienią 1939 roku, kiedy polski oddział wycofujący się w kierunku granicy rumunskiej pozostawił w pobliżu jego domu działo artyleryjskie oraz pewien zapas amunicji. Działo, nie posiadające zamka, było dla niego bezużytecznym przedmiotem. Natomiast amunicja, ze względu na zawartość prochu była dla niego cennym nabytkiem. Dla bezpieczeństwa i przezorności zakopał ją w bezpiecznym miejscu w pobliżu domu.

Podczas wycofywania się wojsk sowieckich latem, 1941 roku, jego skromny arsenał przez przypadek powiększył sie o bardziej przydatną broń, jaką był karabin oraz pewien zapas amunicji. To dało początek jego osobistego systemu obronnego. Poza obroną siebie i rodziny przed zakusami pobliskich wiosek ukraińskich, broń ta służyła mu również do polowania na dziką zwierzynę w ciągu zimy i tym samym zdobywania dodatkowych zasobów żywności. Nieco później żywnością tą dzielił się z żydowską partyzantką, ktora ulokowała się w jego rejonie.

Już na pierwszą wiadomość o aresztowaniu Polaków w Jazłowcu Puszcz postanowił zbudować bezpieczny schron, który miał pomieścić jego rodznę. Niestety pierwsza próba nie była zbyt udaną. Schron wykopany pod domem, naskutek piaszczystego podłoża i bliskości rzeki w czasie deszczów i powodzi był zalewany wodą. Przez pewien czas w czasie suchego okresu pomieszczenie to spełniało swoje zadanie jako schron dla przetrzymywania żywności.

Skoro stan wojenny zanosił się na dłuższą metę a zagrożenie ukraińskie zyskiwało na sile on podjął próbę wykopania schronu w zboczu jaru rzeki w odległości około 60 metrów od rzeki. Miejsce nie było zagrożone zalewani wody i pozatym będąc na wyższym poziomie dawało Piszczowi doskonały wgląd na najbliższą okolice. W późniejszym czasie miejsce to stało się kryjówką dla żydowskiej partyzantki. Z miejscem tym łączy się długa historia ludzi, którzy byli zdecydowani walczyć o swoje życie i bezpieczeństwo.

Ważną dla Piszcza sprawą było utrzymywanie stałych kontaktów z polską ludnością w Jazłowcu. Do ludzi z którymi się porozumiewał i współpracował należał

Franciszek Kowalski oraz dwóch braci Szablowskich /Kornel i Kazimierz/. Ci młodzi ludzie wielokrotnie pośredniczyli w zakupywaniu amunicji do karabinów i nawet granatów dla żydowskiej partyzantki od węgierskich żołnierzy stacjonowanych w Jazłowcu. Franciszek Kowalski spotkał się kilkakrotnie z partyzantami tego oddziału i kilkakrotnie towarzyszył Piszczowi w polowaniach na dziki i sarny. W ten sposób zdobyte mięso solono i skałdano do beczki, jako zapasy dla rodziny Piszcza i dla partyzantów.

Z zeznań swiadków wynika, że partyzanci żydowscy byli dobrze ubrani w wysokie skórzane buty oraz kurtki zielonego koloru. Poza własną obroną jednym z ich celów było zdobywanie żywności dla innych żydów, kryjących się w terenie. Prawdopodobnie część tej żywności docierała tajnymi drogami do żydów kryjących się w buczackich lasach. Innym zadaniem tej grupy partyzanckiej była aktywna walka z ukrińskimi oprawcami, zwłaszcza z tymi specjalizującymi się w wyszukiwaniu kryjących sie żydów. Pierwsza zbrojna akcja tej grupy miała na celu zdobycie broni od Ukraińców. W czasie jesieni grupa ta zaatakowała dom, gdzie mieszkał lokalny przewódca ukraiński, Begierski. Naskutek nieznajomości rozkładu domu atak przeprowadzono na mieszkanie Polaka Ludwika Grzesiowskiego , co zadecydowało o niepowodzeniu tej akcji.

Druga akcja miała cel odwetowy na ukraińskim policjancie Konowalczuku. Wywiad, niewątpliwie polski, dostarczył im informacje o prywatnym życiu tego osobnika. Objektem specjalnej uwagi Konowalczuka była niejaka Jabłońska, mieszkająca w pobliżu lasu nad rzeczką Olchowczyk. Człowiek ten często spędzał wieczory i noce w jej towarzystwie. Pewnej nocy partyzanci podeszli do domu, otoczyli go z trzech stron, nie ubezpieczając go jedynie od strony rzeczki. Konowalczuk zaalarmowany hałasem dobijania się żydów do domu wyskoczył przez okno do rzeczki i tym samym uniknął śmierci. Nie ulega wątpliwości, że sam Piszcz był wmieszany do tej akcji, jako osoba, która dostarczyła im informacji. Prawdopodobnie grupa ta przeprowadzała inne akcje, ale te ze względu na tajemnicę nie dochodziły do wiadomości polskiej ludności w Jazłowcu.

SZKIC DOMU PISZCZA NAD STRYPA

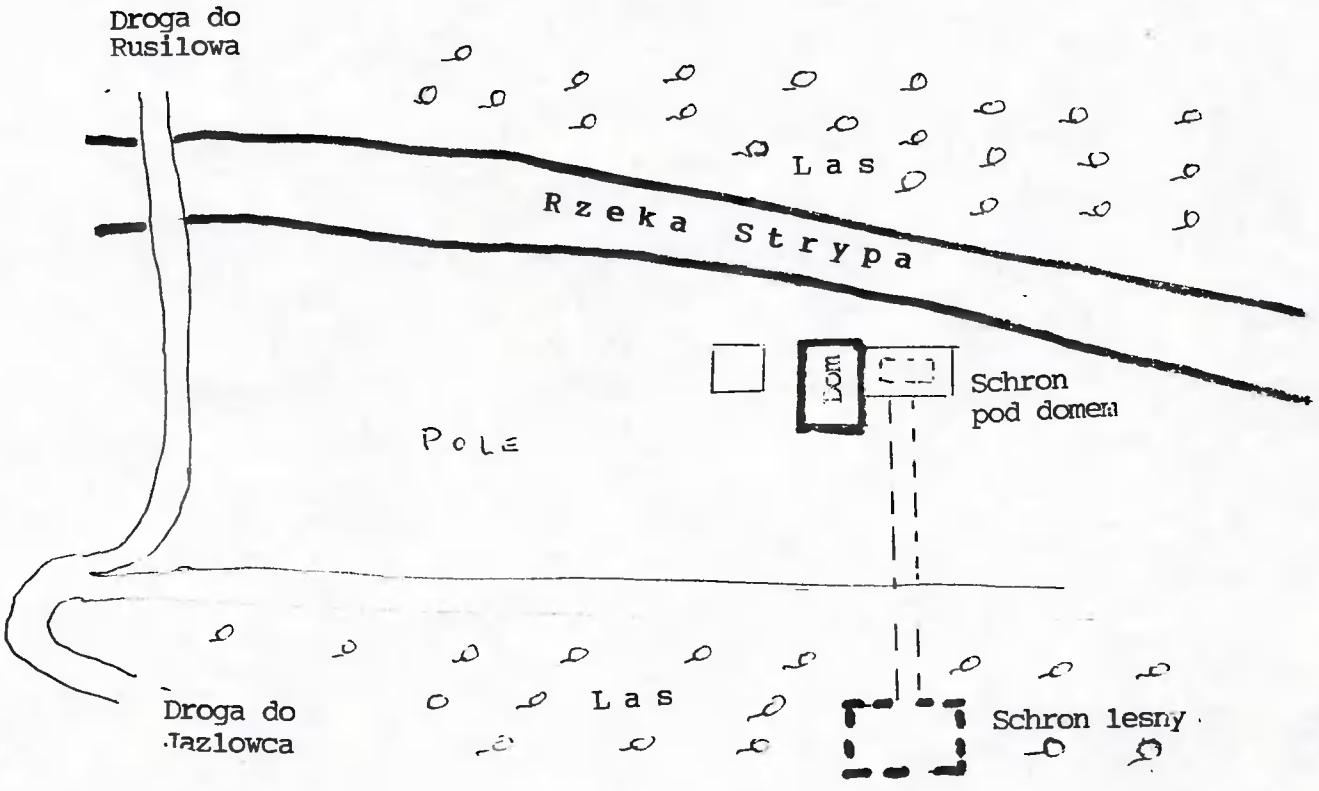

Nie ulegało wątpliwości, że Ukraińcy wiedzieli o domu Piszcza i jego możliwościach obronnych i prawdopodobnie dlatego nigdy nie odważyli się na zaatakowanie jego kryjówki. W tym wypadku współpraca polsko-żydowska okazała się zbawienną dla obu stron. Sam Piszcz powiadał, że on chroni Żydów, Żydzi chronią jego, a ich wszystkich chroni las oraz Polacy z Dulib i przyjaciele z Jazłowca. To wszystko razem składało się na efektywną obronę przed ukraińskimi bandami, które zagrażały ludności polskiej od strony wiosek ukraińskich - Rusiłów, Soroki, Leszczańce, Małe Zaleszczyki i Skomorochy.

Obronny schron Piszcza byłw zasadzie słabo uzbrojony, poza bronią posiadaną przez Żydów. Cały jego arsenał składał się z jednego karabinu rosyjskiego, jednego uciętego karabinu austryjackiego, skrzynki granatów węgierskich oraz zapasu pocisków artyleryjskich. Broń żydowska była poważnym uzupełnieniem tego, ale biorąc wszystko razem tego nie było zadużo. W razie ataku ukraińskiego szanse efektywnej

były minimalne. Jednak Ukraińcy, nieświadomi sytuacji Piszcza, przyjmowali krążące pogłski o silnym uzbrojeniu jako właściwy stan rzeczy .

Pozatym moralnie strona ukraińska nie posiadała tego duch, którzy cechuje człowieka bohatera. Mimo poparcia Niemców i mimo posiadania przewagi broni ich bojówki nie wykazywały większej chęci atakowania polskich miejscowości, gdzie istniała zorganizowana obrona. Zasadniczym celem ich zbrodniczej akcji były odosobnione i bezbronne gospodarstwa, pojedyncze osoby oraz ludność w nieszanych wioskach, gdzie możliwości samoobrony były nikłe. Natomiast podjecie akcji przeciwko oddziałom węgierskim, uznawanych prze Ukraińców za wrogów na równi z Polakami, albo zorganizowanych wiosek jak Duliby nie leżało w zakresie ich bohaterstich wyczynów.

Podstawowym celem motłochu ukraińskiego, nastawionego szowinistycznie przez ukrainskich księży i inteligencję było mordowanie bezbronnych ludzi i rabowanie ich mienia. Ich tradycyjna nienawiść do Polakow, która niewątpliwie wynikała z filozoficznej myśli Nitschego, że człowiek o niskiej kulturze kieruje się uczuciem nienawiści w stosunku ludzi o wyzszym stopniu kultury, znachodziła ujście w wyuzdanym barbarzyństwie.

Polskie społeczeństwo w Jazłowcu już w pierwszej połowie 1943 roku zrozumiało potrzebę zorganizowania efektywnego systemu obrony. Indywidualne posiadanie broni mogło mieć pożądany efekt w wypadku małych napadów mające lokalne podłoże z myślą mordu i rabunku. W obliczu nowej sytuacji powstałej naskutek spotęgowania myśli wymordowania wszystkich Polaków na terenach zamieszkałych przez nich organizowanie konspiracyjnych grup stało się koniecznością. Zniszczenie ludności żydowskiej dawało obraz przyszłego działania Ukraińców przeciw polskiej ludności.

Hasła ukrainskie, głoszone przez szwinistycznych przewódców , były zbyt prowokacyjne i w swojej istocie zbyt niepokojące, aby pozostać biernym wobec takiego zagrożenia. Do prowincjonalnych miejscowości jak Jazłowiec już jesienią 1942 tego rodzaju hasła docierać a z nimi nowe polityczne termine jak UPA. Celem tej organizacji była kompletna eksterminacja żywiołu polskiego. Idea stworzona

przez nową gwiazdę ukraińską, Tarasa Czuprynkę /Szuchewycza/ znalazła posłuch i poparcie wśród grecko-katolickiego duchowieństwa, wśród szowinistycznie nastrojonej inteligencji i jak najbardziej wśród ciemnego motłochu. To barbarzyńskie hasło nagle zamieniło się w dziki prąd ruchu wolnościowego wśród wszystkich klas społeczeństwa ukraińskiego.

Podłożem tego hitlerowska myśl "czystości krwi", co w ukraińskim zrozumieniu idei równało się z czystością religijną. Tylko człowiek grecko-katolickiego wyznania mógł być Ukraińcem i odwrotnie każda osoba wyznania grecko-katolickiego musiała być Ukraińcem. Każdą inną narodowość należało zniszczyć i wytępić. Na gruzach tej zbrodni miało powstać niezależne państwo ukraińskie o jednolitej ludności narodowo, religijnie i kulturalnie. Ta nieludzka myśl dawała każdemu zwyrodnialcowi ukraińskiemu prawo do niszczenia każdego człowieka w każdy zwyrodniały sposób jesli w mysl nowego prądu osoba ta była skazana na zagładę. W wielu zacofanych wioskach dokąd kultura europejska nie docierała odżyły dawne kozackie tradycje a wraz z tym zezwierzęcenie natury ludzkiej stało się objawem czasów.

Wprowadzenie w życie tego planu ludobójstwa nie nastąpiło natychmiast na co wpłynęło kilka przyczyn. Sama likwidacja Żydów, która zaangażowała najbardziej zwyrodniałe elementy, opóźniło wykonanie akcji przeciwko Polakom. Jednak, już wtedy luźne informacje docierające do Jazłowca i innych ośrodków polskich na Podolu wskazywały na to, że w niedługim czasie Polacy również staną się ofiarą zbrodni planowanej przez ukraińskich nacjonalistów. Jedna z ich nazistowskich myśli, która propagowała mordowanie własnych żon i matek pochodzenia polskiego, wskazywało samo w sobie, że akcja likwidacyjna Polaków będzie krwawa i bezwzględna.

Druga połowa 1943 roku dopiero odsłoniła w pełni rozmiar ukraińskich planów wobec polskiej ludności na Podolu. Do większych ugrupowań polskich, do których należał Jazłowiec, zaczęły docierać wiadomości o okrutnych morderstwach na peryferiach, a zwłaszcza we wioskach gdzie Polacy stanowili mniejszość narodową. Sytuacja tych ludzi była jak najbardziej tragiczna.

W pobliżu Jazłowca, na tak zwanej Kolonii, wymordowano rodzinę Zielińskich. Ocalała tylko mała córeczka, której mordercy nie zauważyli, ponieważ ukryła się pod łóżkiem. Na Pożeżu zginęła cała rodzina Sawickich za wyjątkiem najstarszego syna, który zdołał uciec przez okno. W niedalekim Lataczu z dziesiecio-osobowej rodziny ocalał tylko ojciec, który był poza domem w czasie napadu. W ciągu nocy coraz częściej ukazywały się łuny na horyzoncie, świadczące o niszczeniu polskiego życia i mienia. Tego rodzaju "nocne" zajęcie stało sie popularną rozrywką niektórych zagorzałych Ukraińców z Jazłowca. Jednak żadna z tych band, lokalna czy poza-miejscowa, nie odważyła się zaatakować ludności polskiej w Jazłowcu. Ciągłe pogróżki Ukraińców skazywały na to, że taki plan był w opracowaniu. Wprowadzenie jego w życie było tylko kwestią czasu.

Pierwsza próba ataku miała miejsce w pierwszych dniach grudnia, 1943 roku, i była skierowana przeciwko rzymsko-katolickiej /polskiej/ plebanii. W ciągu nocy nieznani sprawcy wybili okno karabinem i starali dostać się do wewnątrz. Młody ksiądz wikary, który odruchowo zareagował na to, chwycił ręką za lufę i wyrwał karabin z ręki napastnika. Członkowie bandy, przestraszeni tą niespodziewaną reakcją księdza uciekli w popłochu i zniknęli w ciemnościach nocy. Na drugi dzień "hołowa" jazłowieckiej gminy, Emil Kołodziej, osobiście interweniował u pronoszcza ks. Kraśnickiego, żądając oddania karabinu. Odchodząc z plebanii ostrzegł proboszcza, że gdyby jakaś krzywda została wyrządzona ukraińskim "herosom" on osobiście odniesie konsekwencje tego. Interwencja "hołowy" sama w sobie świadczyła, że banda napastników składała się z młodych jazłowieckich ukraińskich nacjonalistów.

Celem znalezienia wyjścia z tej sytuacji ks. Kraśnicki wezwał swego parafianina Stanisława Kowalskiego, aby umówić sprawę jego bezpieczeństwa. Ksiądz odrzucił myśl wyjazdu z Jazłowca, będąc przekonany, że jego obecność w Jazłowcu jest jak najbardziej wskazana. Opierając się na tym oświadczeniu obaj zadecydowali, że obaj księża pozostaną na parafii. W swojej decyzji kierowali się również tym, że po nieudanej próbie ukraińscy bandycie nie zdobędą się na ponowny atak na

plebanię. Wkrótce okazało się, że obaj byli w błędzie. Ukraińska banda nie była skłonna wyrzec się swoich planów.

W nocy, dnia 8go grudnia, bandyci znowu zjawili się pod oknami plebanii. Tym razem zdołali wedrzeć się siłą do wnętrza. W międzyczasie ks. Kraśnicki zdołał uciec z pokoju na strych, a jego wikary wyskoczył nazewnątrz przez okno. Bandyci dopadli proboszcza na strychu, gdzie go pobili i następnie wyrzucili nazewnątrz przez robite okno. Jeden z bandytów odszukał wikarego, ukrywającego się w sadzie, przyłożył mu karabin do głowy. Sumienie widocznie nie pozwoliło mu na wykonanie tej egzekucji. Natomiast pobitego i poranionego proboszcza wrzucono na sanie z gnojem i w ciemnościach powieźli w kierunku jezior za miastem, gdzie poprzednio mordowano i topiono węgierskich Żydów. Ponieważ jego ciała nigdy nie znaleziono z tego można wyciągnąć wnioski, że ks. Kraśnicki został tam zamordowany a jego ciało wrzucono do jeziora.

Następnego dnia, po dokonaniu tej zbrodni, ukraińskie władze ponownie zjawiły się na plebanii i nakazały wikaremu natychmiast wynieść się z Jazłowca.

Potworna zbrodnia dokonana na osobie duchownej, niezaangażowanej w sprawch politycznych i nienależącej do podziemnej organizacji, wstrząsneło całym polskim społeczeństwem w Jazłowcu i okolicy. Ogólnie spodziewano się, że po pierwszym udanym napadzie nastąpią następne i że ostateczną ofiarą akcji ukraińskich nacjonalistów staną się inni Polacy w Jazłowcu. Takie przekonanie stworzyło konieczność zorganizowania efektywnej samo-obrony.

Dotychczasowa organizacja, polegająca na luźnym porozumieniu między osobami posiadającymi broń o wspólnym działaniu, musiała być poddana radykalnej rewizji. Zadania tego podjął się Kazimierz Kowalski, będący już od 1942 roku w kontakcie z dowódcą Armii Krajowej w Buczaczu. Za jego staraniem powstały dwie placówko obronne w mieście, każda z zadaniem obrony swego rejonu i w razie potrzeby udzielenia pomocy drugiej w wypadku ukraińskiego napadu.

Pierwsza grupa, pod komendą Józefa Grzesiowskiego, byłego wojskowego, została

zorganizowana z młodych Polaków, mieszkających w okolicy szkoły podstawowej. W skład tej grupy wchodzili: Tadeusz Krasny, Kornel Szablowski, Kazimierz Szablowski, Franciszek Kowalski oraz wielu innych, którzy byli w posiadaniu broni.

Druga grupa, pod komendą młodego harcerza Kazimierza Markowskiego, powstała w rejonie synagogi i składała się z młodych mężczyzn zamieszkujących w zachodnim rejonie miasta. W skład tej grupy wchodzili: Zbigniew Swiderski, Jan Grzesiowski, Stanisław Seretny oraz inni, których nazwiska nie były znane ze względu na konieczność utrzymania tajemnicy organizacyjnej. W okresie powojennym ujawnianie nazwisk ludzi należących do organizacji podziemnej było jak najmniej wskazane w obawie przed aresztowaniem. Dlatego dzisiaj trudno jest odtworzyć całkowity skład pierwszej i drugiej grupy.

Niezależnie od zorganizowania powyższych grup obronnych Kazimierz Kowalski, będąc w kontakcie z najsilniejszą grupą obronną w czysto polskiej wiosce Duliby, umówił się z nimi co do wspólnego działania, gdyby doszło do skoncentrowanego napadu ukraińskich nacjonalistów z okolicznych wiosek. Sygnałem do wezwania pomocy z Dulib miały być ognie zapalone na zamku i Szańcach /wzgórze w Jazłowcu/, a największy dzwon kościelny miał bić na alarm. Porozumienie z grupą buczacką miało mniejsze znaczenie ze względu na dużą odległość i brak możliwości zaalarmowania tamtejszej grupy AK.

Dużym atutem w rozgrywkach z Ukraińcami była akcja propagandowa, która wynikła przypadkowo a która działała niczym hamulec na ich zbrodnicze zapędu wobec Jazłowca. Lokalni Ukraińcy, nie znając faktycznych możliwości obronnych Polaków, kierowali się pogłoskami jakie na ten temat krążyły w mieście oraz okolicy. Polskie informacje docierające do nich tą drogą były wybitnie przesadzone ale w efekcie działające na korzyść Polaków. Jak powstawało wygórowana ocena ukraińska o polskim uzbrojeniu najlepiej obrazuje mały epizod z życia Franciszka Kowalskiego.

Pewnego dnia, mieszkający obok niego ukraiński sąsiad Franko Sawczuk

zaglądnął do jego domu. W tym czasie Kowalski był zajęty czyszczeniem pistoletu, jedynej broni palnej jaką posiadał. Wizytujący Ukrainiec zakrzyknął ze zdziwieniem: "A to ty posiadasz pistolet". Na co gospodarz domu odpowiedział: "Pistolet to jest nic, ja też posiadam karabin maszynowy". Wypowiedzi polskie tego rodzaju utrzymywały Ukraińców w przekonaniu, że Polacy są zarówno zorganizowani jak też dobrze uzbrojeni. O tym przekonaniu ukraińskim świadczy inna anegdota na ten temat.

Jazłowiecka Polka, Jadwiga Podolska, udała się pewnego dnia na czwartkowy jarmark w powiatowym mieście Buczaczu. Na rynku spotkała się z Ukrainką z jednej z pobliskich wiosek, która szukała za łóżkiem. W odpowiedzi na to Polka zaoferowała jej sprzedarz tego artyykułu, jeśli poszukującą za nim osoba przyjdzie do jej domu. "A gdzie ty mieszkach?" Ukrainka zapytała. "W Jazłowcu," brzmiała odpowiedź. "W Jazłowcu - to nie. Tam nawet każda polska dziewczyna ma karabin mszynowy."

Sytuacja Pólaków, zamieszkałych w okolicznych wioskach, wyglądała zupełnie inaczej. Tam urzędowały ukraińskie bandy. Ktokolwiek z jazłowieckich Polaków podejmował ryzyko wyjścia poza miasto do innych miejscowości z reguły przepadał bez wieści, lub w najlepszym razie znachodzono jego zmasakrowane ciało w lesie czy na polu. Tak zginęło osiem Polek i Polaków, którzy udali się do pobliskiej wioski ukraińskiej, Leszczańce, pozornie spokojnej i nie zagrażającej ich życiu. Ich celem było nabycie żywności w zamian za artykuły odzieżowe, których w mieście było więcej niż na wiosce. Zaniepokojeni ich długą nieobecnością ich krewni udali się na ich poszukiwanie. Pi kilku dniach znaleziono ich zwłoki w lesie pokłute nożami. porąbane siekierami i powiązane do drzew kolczastymi drutami.

Mimo niebezpieczeństwa jakie groziło tym, którzy wychodzili poza miasto, wielu Polaków udawało się do wiosek w koniecznosci zdobycia żywnosci, naskutek ogólnego głodu. Najczęściej oni stawali się ofiarami ukraińskich oprawców. W ten sposób zginęli: Głębocki, Brożakowa i Zaborska. Celem zabezpieczenia się przed ewentualnością śmiwrci wielu Polaków uczyło się modlitwy ukraińskiej, co dla oprawców było sprawdzianem przynależności danej osoby jako osoby

narodowości ukraińskiej. Z reguły polska ludność nie wychodziła poza granice miasta. Nawet rolnicy uprawiali tylko najbliższe pola, aby nie narażać siebie na ewentualne ataki upowców /członków ukraińskiej organizacji nacjonalistycznej/. Wiele dalszych pól leżało odłogiem, co w połączeniu z kontyngentami zboża wymuszanymi na ludności przez Niemców było przyczyną ogólnego głodu.

Taki stan zagrożenia, niepewności i teroru utrzymywał się do przyjścia pierwszych oddziałów armii sowieckiej w marcu, 1944 roku. Z ich przyjściem wiązały się nadzieje ładu, porządku i spokoju a przedewszystkim osobistego bezpieczeństwa. Wprawdzie wielu aktywnych ukraińskich nacjonalistów uciekło w obawie przed sowietami, ale pozostałe bandy wciąż uprawiały teror wobec polskiej ludności ze swoich wiejskich i leśnych kryjówek. Pozatym pobyt wojsk sowieckich na terenie Jazłowca, Buczacza i innych miejscowości na linii rzeki Strypy był krótkotrwały. Po kilku dniach oddziały sowieckie były zmuszone do wycofania się na wschód. Naskutek czego powyższe tereny znalazły się ponownie pod okupacją wojsk niemieckich i band ukraińskich.

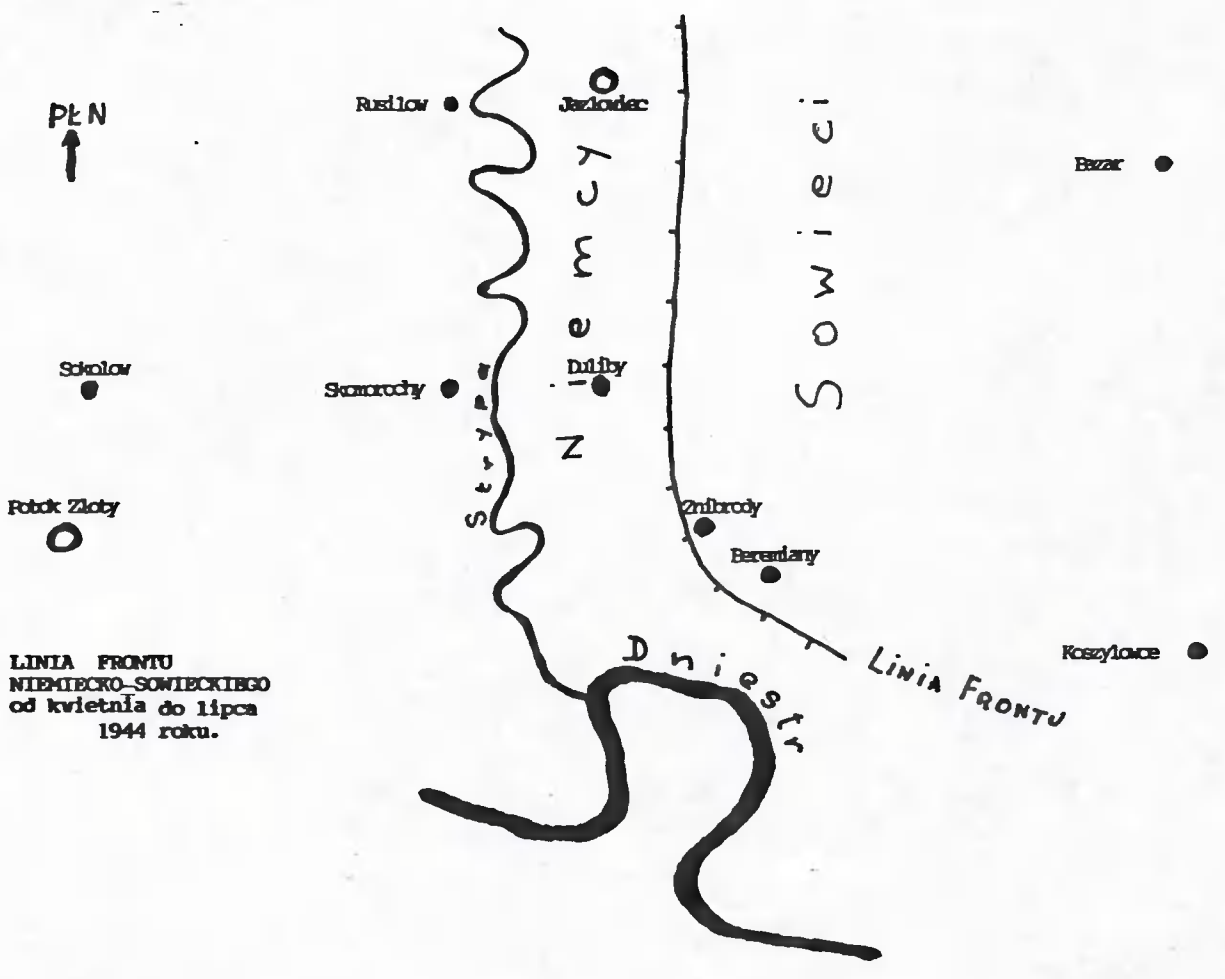

LINIA FRONTU NIEMIECKO-SOWIECKIEGO od kwietnia do lipca 1944 roku.

Nagła zmiana sytuacji frontowej wynikła naskutek przerwania się Korpusu niemieckiego z otoczenia pod Kamieńcem Podolskim i wyparcia sowietów z zajętych przez nich terenów na wschód od rzeki Strypy. Z chwilą ponownego wejścia Niemców do Jazłowca polska ludność była zmuszona do opuszczenia swoich domów, potrzebnych Niemcom do zakwaterowania swoich żołnierzy. Polskie rodziny zostały wywakuowane do miejscowości na zachód od Strypy - do Sokołowa, Rusiłowa, Potoka Złotego i Monasterzysk. Jedynie klasztor nie był objęty tym niemieckim zarządzeniem. Polska ludność wykorzystała tą sytuację i oddała swoje rzeczy do przechowania siostrom Niepokalankom.

Ten stan rzeczy utrzymywał się aż do lipca, 1944 roku. Front, który ustabilizował się na otwartej przestrzeni przebiegał na wschód od Jazłowca i od wioski Beremian biegł równolegle do rzeki Dniestru. Ukraińskie władze wprawdzie z powrotem przejęły zarząd miasta, ale one stanowiły tylko nominalną administrację. Faktyczne rządy były w ręku Niemców, które w przyfrontrowej strefie były surowe i bezwzględne. Ewakuacja nie objęła wszystkich Polaków. Część z nich pozostała w mieście jako siła robocza potrzebna Niemcom. Głównie byli to ludzie młodzi, zdolni do ciężkiej pracy. Wśród nich było kilku członków podziemnej organizacji.

Przez przypadek kwaterujący Niemcy znaleźli polską ulotkę podziemną w domu rodziny Szablowskich. Dwaj synowie, Kornel i Kazimierz, zostali z miejsca aresztowani i osadzeni w areszcie w Leszczańcach. Drogą wymuszonych zeznań Gestapo doszukało się innych nazwisk, nawet tych, którzy opuścili Jazłowiec. W Rusiłowie aresztowano dwóch następnych członków polskiej grupy podziemnej, Franciszka Kowalskiego i Stanisława Seretnego. Obydwaj Szablowscy zdołali w ciągu nocy zrobić dziurę w ścianie i zbiegli z aresztu. Natomiast Kowalski i Seretny zostali poddani intenzywnym przesłuchiwaniom, łącznie z biciem oraz torturowaniem. Po kilku dniach obydwu przeprowadzono do wioski Barysz i co nocy wzywano ich na przesłuchanie, podczas których bito ich do krwi. Franciszek Kowalski tak opisuje swoje przejścia z tego okresu:

"W dniu 3go maja mieliśmy po dwa przesłuchania połączone z biciem. Dnia 4go maja Niemcy odkryli podkop pod ścianą aresztu i mnie z Seretnym natychmiast stamtąd zabrano. W tym dniu ustawili nas za kołami wozu konnego i zaczęliśmy marsz w nieznane. Konwój oprócz nas składał się z woźnicy, z Niemca z rkm w ręce skierowanym na nas oraz dwóch żandarmów na koniach za nami. My byliśmy skuci za ręce. Po drodze spotkaliśmy oddział wojska. Nasi opiekunowie dali nam po plecaku na plecy i taki marsz trwał ponad dwa kilometry."

"W czasie jednego z postojów schyliłem się nad bajorkiem, aby napić sie wody za co dostałem bicie od konwojenta na oczach żołnierzy, którym nieśliśmy plecaki. Jakiś oficer niemiecki zapytał konwojenta za co mnie pobił. Ten odpowiedział, że jestem bandytą. Oficer widocznie nie wierzył jemu, bo podszedł do mnie i mówiąc po polsku dał mi manierkę z kawą i dwa papierosy. Od tej pory konwojent traktował mnie lepiej. W tym konwoju doszliśmy do znanej mi wioski, Porchowy."

"W Porchowej zaprowadzono nas na komendę żandarmerii polowej. Kiedy prowadzono nas przez wioskę wielu osób tej wioski nam się przyglądało. Jedna z nich wydawała się być mi znaną. Okazało się, że był to Michał Jarosławki, który u naszego ojca uczył się na stolarza. On mnie widocznie poznał, bo następnego dnia przyniósł mi do aresztu garnek barszczu. Więcej jedzenia nie mógł mi już dostarczyć, ponieważ wartownicy nie zezwalali. Codziennie, począwszy od niedzieli 7go maja brano nas na przesłuchanie, ale nie byliśmy tak katowani jak poprzednio. Kopnięto mnie tylko kilka razy i kilka razy uderzono po twarzy. W sobotę dnia 6go maja znowu przesłuchiwania, podczas których żandarmi przypomnieli nam, że mają ręce do bicia a nogi do kopania."

"Niedziela 7go to dzień niedoli i głodówki. Przyprowadzono nas na posterunek żandarmerii i powiedziano, że nasze przesłuchania zostały już,zakończone. Na końcu oświadczono nam, że zostaniemy ukarani za wrogą działalność wobec Wielkich Niemiec. Po tym oświadczeniu Seternego pozostawiono wewnątrz a mnie

wyprowadzono nazewnątrz pod dom. Następnie po wprowadzeniu mnie do innego pomieszczenia odczytano przedemną protokuł po niemiecku i kazano mi go podpisać. Kiedy odmówiłem podpisania, tłumacząc się tym, że nieznam niemieckiego dostałem znowu bicie. Rosyjski tłumacz przetłumaczył mi treść protokułu w którym było podane, że udowodniono mi wine wrogiej działalnosci wobec wielkiego narodu niemieckiego i że przekazują mnie żandarmerii poza frontem."

"Potem na moich oczach rozegrał się scenariusz, którego celem było stworzenie sytuacji, jak spowodowałaby mnie do przyznania się do winy. Niemiecki żandarm zadał pytanie tłumaczowi, czy Seretny został już rozstrzelany, widocznie dla zrobienia wrażenia na mnie. Potem wyprowadzono mnie przed dom, gdzie jakać płacząca kobieta powiedziała, że stąd nikt nie wychodzi żywy. Dopiero na widok Seretnego doszedłem do wniosku, że była to tylko gra, aby mnie zmusić do zeznań."

"Wiedzieliśmy, że zostaniemy odkomenderowani do karnego obozu, ale z drugiej strony byliśmy zadowoleni, że katowanie i tortury już się skończyły. Byłem tak porozbijany, że z łatwością mogłem wyciągnąć palcami każdy ząb z dziąseł. Wszystkie kości mnie bolały, szczególnie dolne i górne kończyny, plecy były posiniaczone, nogi spuchnięte a szczególnie pięty tak że przy wkładaniu nie mogłem zasznurować butów. Najbardziej dokuczał mi ból głowy i szum w uszach, czego nie pozbyłem się do dnia dzisiejszego."

"W niedzielę popołudniu zawieziono nas ciężarówką do Monasterzysk. Tam ulokowano nas w sali Domu Ludowego, gdzie mieścił się przejściowy obóz jeniecki. Na podłodze i barłogach leżeli sowieccy jeńcy, niektórzy ranni bez żadnej opieki. Pierwszy posiłek jaki tam otrzymaliśmy była miska dość możliwej zupy."

"Na drugi dzień t.zn. 8go maja dostaliśmy na śniadanie kubek czarnej kawy oraz suchary. Następnie ustawiono nas w kolumnie marszowej, ja

i Seretny ustawiliśmy się w ostatniej czwórce. Maszerując szosą do Halicza widzieliśmy ślady niedawnej akcji wojennej. Po polach leżały trupy ludzie nieprzykryte ziemią wokół których krążyły psy. Musieli to być żołnierze radzieccy, którzy zginęli w czasie zimy i których Niemcy zakopali w śniegu. Po stopieniu się śniegu na polach pozostały stosy trupów."

"W Haliczu ulokowano nas w obozie jenieckim, gdzie przebywało około 300 jeńców radzieckich. Oni otrzymywali tylko jeden posiłek dziennie. Czterech cywilów, jacy przebywali w tym obozie, dostwało dwa razy pożywienie na dobę, składające się z zupy z brukwi, pieczonych lupin ziemiaczanych i 15 dkg chleba, który nie był wydawany codziennie. Wśród jeńców sowieckich przeprowadzano rekrutację do oddziałów Własowa. Oni byli lepiej odżywiani i dostawali papierosy. Własowcy otrzymywali niemieckie mundury i wychodzili z obozu. Niektórych używano do rekrutowania innych jeńców do armii Własowa."

"Podczas pobytu w tym obozie zaprzyjaźniłem się z jeńcem radzieckim, Polakiem z pod Żytomierza. Po trzech tygodniach pobytu zostałem zaprowadzony pod konwojem żołnierza Wehrmachtu na stacje kolejową. Mój towarzysz niedoli, Seretny pozostał w Haliczu. Spotkałem się z nim dopiero w roku 1948 na ziemiach odzyskanych. W zamkniętym wagonie dojechałem do Lwowa, gdzie zostałem umieszczony w jednym z baraków na ul. Czereśniowej. Tam przebywałem przez następne trzy dni aż do skompletowania transportu. W barakach byli przeważnie ludzie młodzi. Przed załadowaniem nas do wagonów towarowych jakaś polska organizacja dała nam pobochenku chleba i kawałku końskiej kiełbasy. Nasz transport był przeznaczony do Krakowa."

"Po drodze kolejarze odryglowali drzwi wagonu. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Puszczę Niepołomicką zaczęły się ucieczki z wagonów. Ja chciałem dostać się jak najbliżej Krakowa i tam uciec. Rano, gdy zatrzymaliśmy się w Płoszowie z 60 ludzi zostało tylko sześciu w wagonie. Strażnicy

po stwierdzeniu braku ludzi pobili nas za ucieczkę innych."

"Ostatecznie dojechaliśmy do stacji towarowej w Krakowie. Kiedy prowadzono nas obok obozu przejściowego, skąd wywożono ludzi na roboty w Niemczech, ktoś stojący za drutami zawołał - Kowalski, uciekaj ul. Karmelicka RGO. Wiadomość ta mogła odnosić się do innego Kowalskiego, ale ja zapamiętałem podany mi adres. Naszą grupę zaprowadzono do obozu karnego, który zdaje mi się mieścił się przy ul. Pomorskiej. Wieczorem zarządzono apel, przeliczono nas i dano nam chleb oraz zupę. Noc przebiegła spokojnie. Zbudzono nas o 5tej rano i dano nam zupę na śniadanie. Potem zapędzono nas do fryzjera, gdzie ogolono nas kompletnie z wszystkich włosów. Następnie poprowadzono do łaźni, gdzie oddaliśmy ubrania do parowania i gdzie wykompaliśmy pod prysznicami z zimną wodą. Około południa wydano nam zupę i pół bochenka chleba. Całą porcję zjadłem natychmiast. Jak się później dowiedziałem chleb został wydany na dalszą drogę, prawdopodobnie do Oświęcimia."

"Po obiedzie zaprowadzono nas pod silnym konwojem z psami na stację towarową. Tam załadowano nas do wagonów, przyczym nie obeszło się bez bicia. Kiedy wpadłem do wagonu zauważyłem, że drzwi przeciwległe są uchylone. Natychmiast je otworzyłem i razem z młodych chłopakiem z pod Tarnowa, znanym mi jako Janek, wyskoczyłem z wagonu. Kiedy znaleźliśmy się na wolności Janek zdecydował się powrócić do domu. Ja przypomniałem sobie ul. Karmelicką i postanowiłem się tam udać."

"Pytając się po drodze takich ludzi jak siostry zakonne i żebracy o adres doszedłem do ul. Karmelickiej nr.43, gdzie mieściło się biuro Rady Głównej Opieki /RGO/. Kierownik biura zapytał mnie o kenkartę, której nie posiadałem. Kiedy powiedziałem mu, że pochodzę z Jazłowca on ustosunkował się bardzo przyjaźnie do mnie. Podczas rozmowy dał mi kilka rad jak znaleźć pracę na wsi i dał mi upoważnienie na bochenek chleba i zapomogę

na kwotę 150 złotych. Również otrzymałem od niego skierowanie do przytułku przy ulicy Grodzkiej. Tam spotkałem się ze znajomym z Jazłowca, Emilem Swiderskim, który radził mi, abym szukał pracy na wsi, ponieważ nie posiadam kenkarty."

"Następnego dnia udałem się do klasztoru OO.Kapucynów. Zakonnik przy bramie odprawił mnie z kwitkiem, poniważ nie miałem kenkarty. Natomiast kierowniczka przytułku zapewniła mnie, że za kilka dni zorganizuje dla mnie pracę na wsi. Za jej pośrednictwem dostałem ostatecznie pracę w majątku Sledziejowice koło Wieliczki u hrabiostwa Niedzielskich. Tam pozostałem aż do zakończenia działań wojennych i wstąpienia do Polskiej Armii."

W międzyczasie miasto Jazłowiec było wciąż pod okupacją niemiecką. Dopiero następna ofenzywa wojsk radzieckich, w lipcu 1944 roku, zmusiła Niemców do wycofania się z zachodnich rejonów podolskich. Ludność jazłowiecka powróciła do swoich domów, zniszczonych wojną, i do nieuprawianych pól. Sytuacja żywnościowa przedstawiała się tragicznie. Ponadto obecność władz sowieckich nie stworzyła warunków bezpieczeństwa dla polskiej ludności. Ukraińskie bandy UPA nadal grasowały na peryferiach i w wielu eypadkach zwiększyły nasilienie swojej morderczej akcji. W Jazłowcu, mimo z mniejszenia się ilości jego obrońców, panował względny spokój. Zasługę temu należało przypisać polskiemu oddziałowi, stworzonemu przez Sowietów dla zwalczania band ukraińskich. Oddział ten był całkowicie podporządkowany sowieckiemu komendantowi, który nie był zbyt przychylny Polakom.

W okolicznych wioskach sytuacja wyglądała inaczej. Tam działalność ukraińskich band przybrała na sile. Uzbrojeni Ukraińcy przystąpili do realizacji planu ludobójstwa zakreślonego dla nich przez ich przewódcę Czuprynkę-Szuchewycza. Według założeń tego planu ukraińskie oddziały, ukrytre w ziemnych schronach, miały oczyścić tamtejsze tereny z Polaków przed spodziewaną wojną między Zachodem i Sowietami. Z chwilą wejścia wojsk alianckich oddziały te miały

miały wyjść z kryjówek i opanować polskie tereny w imieniu "Wolnej Ukrainy".

Zgodnie z tym planem rozpoczęła się intenzywna likwidacja Polaków, których obronne możliwości pogorszyły się wybitnie z dwóch zasadniczych przyczyn. Przedewszystkim Polacy byli zmuszeni oddać broń władzom sowieckim. Ponadto większość młodych mężczyzn została powołana do Polskiej Armii. W rezultacie w miejscowościach zamieszkałych przez Polaków głównie pozostały starsze osoby oraz dzieci. Ludność polska ponownie znalazła się w trudnej sytuacji wobec band ukraińskich, które nie omieszkały wykorzystać ten stan rzeczy.

Rozszalały teror ukraiński zwrócił się głównie przeciwko ludnosci wiejskiej. Znowu zaczęły się masakry Polaków oraz palenie ich majątków. Szereg polskich wiosek przestało istnieć. Ci którzy ocaleli osiedlali się do miast, gdzie korzystali z opieki sowieckich i polskich oddziałów bezpieczeństwa. Znowu okolice Jazłowca stały się niebezpiecznym terenem i ktokolwiek wyszedł poza jego granice ryzykował swoje życie.

W ten sposób ofiarami teroru panującego nazewnątrz miasta padły następujące osoby: Stefania Suchocka, Jan Strzelecki, /-/ Piekarz i trzy osoby z Nowosiółki Jazłowieckiej. Ich zmsakrowanie ciała zostały znalezione później przez zaniepokojone rodziny. Teror też nie ominął SS Niepokalanek z Jazłowca. W drodze powrotnej z miejscowości Potoka Złotego dwie siostry zakonne i towarzysząca im kobieta oraz woźnica zostali w bestialski sposób przecięci drewnianą piłą, a ich ciała porzucone przy drodze. Miejscem tej zbrodni była ukraińska wioska Rusiłów, siedziba bandy ukraińskiej.

W lutym, 1945 roku, miejscem potwornej zbrodni stała się polska część wioski Zaleszczyki Małe, położonej o kilka kilometrów na północ od Jazłowca. Zbrodnię tą odkryto w niedziele, kiedy zaniepokojona ludność polska w Jazłowców zauważyła, że nikt z powyższej wioski nie przyszedł na mszę święto. Popołudniu grupa mężczyzn udała się do wioski, aby stwierdzić co było przyczyną nieobecności Polaków z Zaleszczyk na mszy niedzielnej. Widok pomordowanych i zmasakrowanych ciał dał im do zrozumienia, że wioska stała się ofiarą ukraińskiego napadu.

Jak się jeden z nich później wyraził "Przed ich oczyma ukazał się obraz okrucieństwa i piekła".

Na podwórkach i w domach leżały ciała kobiet, dzieci i mężczyzn, pomordowanych w najokrutniejszy sposób. Kobiety postrzelane i pokłute bagnetami, ich dzieci leżące w pobliżu z czaszkami rozwalonymi o ściany, niektórzy mężczyźni leżeli na podłodze z głową odciętą wiekiem drewnianej skrzyni. Napad musiał nastąpić niespodziewanie i równocześnie na wszystkie domostwa, ponieważ nic nie wskazywało na to, aby ofiary stawiały jakikolwiek opór, lub ratowały się ucieczką. W ten sposób zginęły całe rodziny, między innymi, rodziny Bandeckich, Misztalów i Uruskich. Przy życiu zachowała się jedynie jedna dwunastoletnia dziewczynka, Stefania Uruska, która była wprawdzie postrzelona, ale rana jej nie była śmiertelną.

Odpowiedzilność za tą zbrodnię należy przypisać ukraińskiej bandzie UPA z ukraińskiej częsci wioski, lub połączonym bandom z kilku ukraińskich wiosek z okolicy.Straty ludności polskiej są różnie oceniane przez tych, którzy zachowali tą zbrodnię w pamięci. Dwie cyfry jakie zostały wymienione określały stan ofiar na 99 i 199 ludzi. Dzisiaj trudno jest ustalić, która cyfra jest właściwa. Jedno jest tylko pewne, że polska ludność zniknęła zupełnie z tej wioski.

W tym samym czasie z rąk bandy działającej w tym rejonie zginął młody człowiek, Jan Kowalski, który powracał do domu po ucieczce z transportu Polakow wiezionych na robory do Niemiec. Inną tragedią w okolicy było wymordowanie Polaków we wiosce Bazar, na wschód od Jazłowca. Szczeguły tego mordu nie są znane. Panujący teror zmusił polską ludność do uciekania do Jazłowca i osiedlania w domach pozostałych po nieistniejącej już ludności żydowskiej.

Inna tragedia polska miała miejsce we wiosce Latacz, w niedalekiej odległości od Jazłowca, gdzie było dość duże skupisko Polaków. W wiosce tej Polacy zamieszkiwali jej centrum i gdzie mieścił się ich kościół. Ukraińcy natomiast zamieszkiwali peryferie tej miejscowości. Pierwszy atak bandy ukraińskiej w tej wiosce miał miejsce w roku 1943, kiedy ofiarą bandy stała się rodzina Stanisława Karpiaka.

Podczas tego napadu zamordowano 6 osób i pobito starszego człowieka, który zmarł z odniesionych obrażeń.

Poniżej kopia fotografii pomordowanych członków rodziny Stanisława Karpiaka.

To jest moja kochana rodzina: żona Maria lat 42, syn Józef lat 23, córka Genowefa lat 20, syn Władysław lat 18, córka Zofia lat 8, syn Zygmunt lat 6 - ofiary mordu bandy ukraińskiej w dniu 14 grudnia 1943 r. o godz. 19[=] we wsi Łatacz, pow. Zaleszczyki woj. Tarnopol. Na zdjęciu wyżej moja siostra, bratowa i ja. Pozostałem przy życiu, ponieważ byłem nieobecny w mieszkaniu.

Karpiak Stanisław.

Ostateczna likwidacja ludnosci polskiej w Lataczu miała miejsce dnia 17go stycznia, 1945 roku. Napad nastąpił w najbardziej krytycznym czasie dla Polaków, kiedy młodzi ludzie zostali powołani do służby w polskim wojsku i kiedy Ukraińcy zakonspirowani w swoich bojówkach dążyli do zlikwidowania polskiej ludności. Napad zaczął się o godzinie 9tej wieczorem. Uzbrojona banda wpierw otoczyła polskie domostwa i przystąpiła do rabowania mienia. Po zrabowaniu domów przystąpiono do palenia polskiej własności. Polakom nie pozwolono na wychodzenie z domów. Ostatecznie z palących się mieszkań Polacy zaczeli uciekać, aby uniknąć śmierci od ognia. Do uciekających ukraińscy bandyci otworzyli ogień , zabijając i raniąc wielu. Przychwyconych w czasie ucieczki mordowano siekierami i kłuto widłami. Akcja bandy trwała przez całą noc i skończyła się dopiero o 5tej rano. Podczas tego napadu zginęło wiele Polaków. Niektorzy podają cyfrę w granicach 80 osób inni twierdzą, że ofiarą tego napadu padło około 300 Polaków. Między nimi zginęły następne osoby i rodziny polskie:

- Tuligłowski Marian
- Suchowij z żonż, Rusin, którego dwóch synów wstąpiło do służby w polskim wojsku.
- Błażeńkow Aniela oraz jej dwie córki, Maria i Zofia.
- Czernicki Szymon i Aniela
- Domański Stefania, Władysław i jego żona
- Szydłowska Julia
- Bigulak Maria
- Domańska Maria wraz z dziećmi, Stefania, Janek, Franek i Janka.
- Sucharski Stanisław, Jozef, Marii i jedno dziecko ich córki Marii.
- Urban Stanisław i Julia, córka Aniela i wnuczek Stanisław.
- Korczyńska Maryla, nauczycielka z Czernelicy, i jej matka.
- Sandecki
- Szydłowska Sabina

- Gosiecki, znaleziony w lesie, związany drutem kolczastym i zamęczony na śmierć.
- Szyniecka
- Tuligłowska Aniela
- Hostynska Stefania
- Zawadzka

Jedna z ocalałych, Pionowska Maria lat 40, w czasie napadu uciekkając boso po śniegu do miasta Tłustego odmroziła nogi i pozostała kaleka na całe życie.

Nazwiska innych nie zachowały się w pamięci ludzkiej i dlatego obecnie trudno jest odtworzył cały rozmiar tej tragedii.

Ukraińskie bandy operujące w tym rejonie nie ominęły innych miejscowości, głównie tych zamieszkałych przez ludność polską i ukraińską. Napady ukraińskie i połączone z tym mordy dokonane na polskiej ludności objęły następujące wioski w okolicach na południowy wschód od Jazłowca:

- Drohiczówka, 3 km od Latacza, wymordowano wszystkie polskie rodziny. Ilość ofiar nie jest znana.
- Czerwonogród, 11 km od Latacza, wymordowano wiele polskich rodzin. Ilość ofiar nie jest znana.
- Szutromińce, 2 km od Latacza, wymordowano wszystkie polskie rodziny. Ilość ofiar nie jest znana.
- Losy Polaków w takich wioskach jak Burakowka i Chmielowa nie są znane.
- Beremiany, odległe o 8 km od Jazłowca, dokonano napadu w 1943 roku. Podobno ocalała tylko 1/5 ludności polskiej, którą oblicza się na 375 osób
- Słobódka, zamordowano trzech mężczyzn i jedną kobietę.

Z wyżej wymienionych miejscowości jedynie Czerwonogród stawiał opór /napad miał miejsce w 1943 roku/. Polacy uzbrojeni przez Węgrów bronili się całą noc nim ulegli przeważającym siłom ukraińskim.

Bandy ukraińskie również działały w rejonie Czernelicy, miejscowości na

południowy-wschód od Jazłowca. Ataki ukraińskich band rozpoczęły się w sierpniu 1943 roku. Pierwszą ofiarą padł Kostecki, urzędnik monopolu, którego zastrzelono na podwórku przed jego domem. Szczegóły o innych napadach nie są znane, ale według informacji osób zamieszkałych w tamtejszym rejonie Czernelica była przedmiotem późniejszych ataków.

Atakin na ludność polską zawsze zaczynały się od rabowania polskiego mienia które poprzedzało palenie domów. Następnie przeprowadzano egzekucje na bezbronnej ludności, często stosując wyszukane tortury. Napstnicy najczęściej uciekali się do użycia siekier, wideł, noży i drewnianych pił /stara kozacka tradycja/. Kobietom na żywca wycinano piersi, ciężarne przecinano nawpół drewnianą piłą, niemowlętom rozbijano głowy o mur lub wrzucano do płonących domów. Mężczyzn wiązano kolczastymi drutami, torturowano w każdy wyszukany sposób i ostatecznie wrzucano do palących się domów.

Podobne wypadki ludobójstwa miały miejsce w następujących miejscowościach koło Czernelicy:

- Kunisowce, 4 km od Czernelicy, /jesień 1944 r./
- Karolówka, 8 km od Czernelicy, /listopad 1944/.
- Dąbki, 5 km od Czernelicy, /luty 1945/.
- Michalcze, 8 km od Czernelicy.
- Torskie, na wschód od Czernelicy po drugiej stronie Dniestru.

Wyżej przytoczone wypadki ukraińskiego teroru są tylko małą częścią globalnego ludobójstwa, dokonanego przez bandy UPA. Niniejszy opis ogranicza się do bardzo małej części terenów objętych ukraińskim barbarzyństwem. Również informacje opierają się na bardzo nielicznych swiadkach, którzy przeżyli albo słyszeli o gehennie swoich braci, siostr, sąsiadów i rodaków. Całkowity obraz polskich strat i polskiego cierpienia jest w swoim rozmiarze przerażający. Dla dobra ludzkości i dla polskiej historii ten okres ukraińskiego teroru powinien być zadokumentowany w każdym osiągalnym szczegule, aby pamięć ludzka zachowała polską kresową gehennę, jako pomnik dla wszystkich polskich męczenników.

M A P A

MIEJSCOWOSCI POLOZONYCH

NA POLUDNIOWY-WSCHOD OD JAZLOWCA

Polska ludność, która przetrwała okres okupacji niemiecko-ukraińskiej, wnet po drugim wkroczeniu wojsk radzieckich do Jazłowca zaczęła nowe życie od zorganizowania nowego zarządu ich miasta. Nowym burmistrzem został wybrany Kazimierz Kuliczkowski. Istnienie tego samorządu było jednak krótkotrwałe. Polaków czekało jeszcze jedno doświadczenie, które jak wszystkie poprzednie było spowodowane przez politykę wrogich nam sąsiadów oraz naszych aliantów, szukających rozwiązania problemów naszym kosztem.

W rezultacie umowy Jałtańskiej polskie tereny wschodnie zostały przyłączone do Związku Radzieckiego, co w połączeniu z ukraińskim terorem zmusiło Polaków do szukania za bezpieczniejszymi kątami na ziemiach odzyskanych. W Jazłowcu już w 1945 roku powstała organizacja, której przewodniczył Kazimierz Kowalski, mająca na celu przesiedlenie polskiej ludności za zachód. Ostatni transport Polsków z Jazłowca opuścił swoje stare miasto jesienią tego samego roku.

Większość Jazłowczan osiedliła się w Nowej Soli, która stała się nowym Jazłowcem na zachodzie. Inni rozprzestrzenili się po całym rejonie Dolnego Śląska. Zakon SS Niepokalanek przeniósł się do Szymanowa koło Sochaczewa, która była ich własnością jeszcze przed wojną.

W roku 1946 do nich dołączyli Polacy z Sybiru, którzy osiedlili się przy swoich rodzinach. Wśród wysiedleńców z 1940 roku zabrakło kilka osób jak, Władysław Kuriański. - burmistrz miasta, Piwowarski, Goldstaub i Stanecki. Ich pochłonęła ziemia kazakstańska i kaźnia sybiryjska. Natomiast z tych, którzy pozostali przy życiu nikt nie zapomniał swego rodzinnego miasta Jazłowca, będącego dla nich i dla Polski wciąż jak najbardziej polskim miastem, chociaż obecnie znajduje się na ziemi ukraińskiej.

ARCHIWUM WSCHODNIE